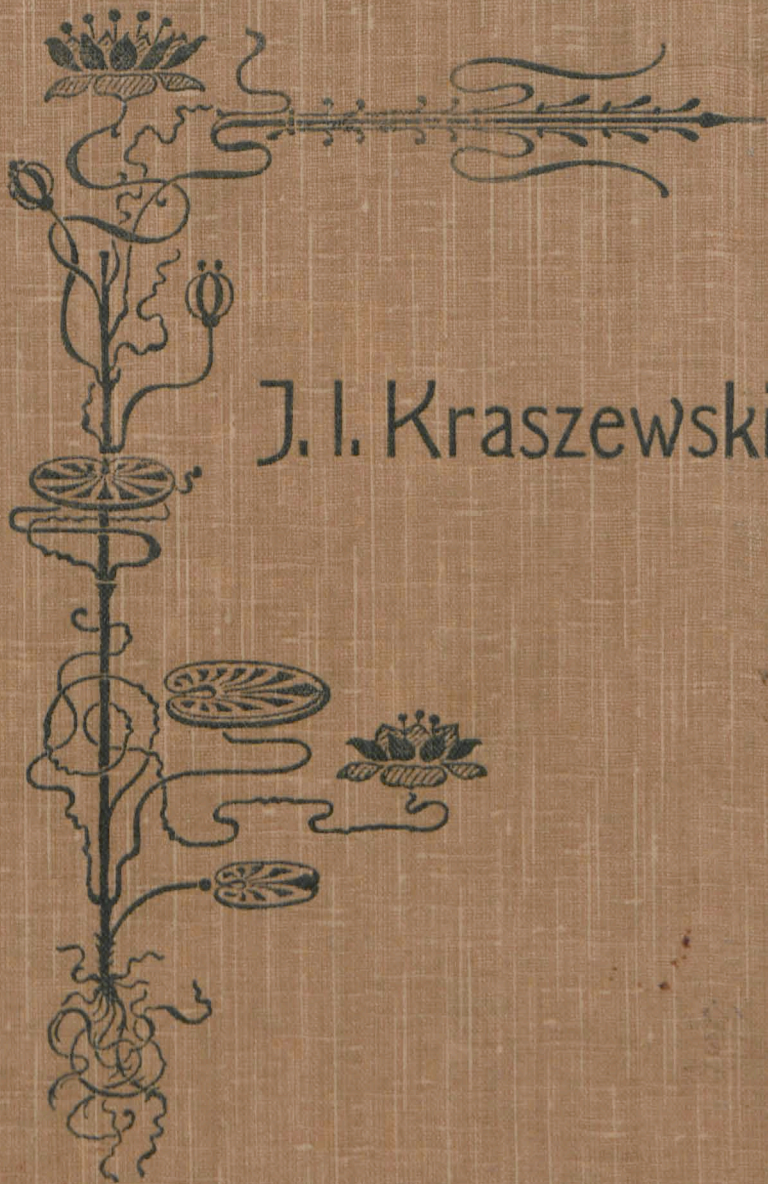




J. I. Kraszewski

STRZEMIĘCZYK

STRZEMIENICZYK

(CZASY WŁADYSŁAWA WARNEŃCYKA)

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego

Kraszewski

TOM II.

WARSZAWA
NAKŁADEM MICHAŁA ARCTA

—
1904

Дозволено Цензурою.
Варшава, 2 Декабря 1903 года.



Ms. 11 284

I.

Wróciwszy z nieszczęśliwej swej wyprawy, z goryczą i niesmakiem w duszy, Grzegorz z Sanoła, potrzebując spoczynku, na czas jakiś zamknął się w swej komorze na zamku, jak najmniej pokazując się na dworze.

Unikał królowej, wiedząc, że dla niej był przykrem przypomnieniem nadaremnych zabiegów, do których teraz się nawet przyznać nie chciała.

Wiedziała dobrze, iż Grzegorz jej nie zdradzi, ale pomimo ufności w nim, spoglądała na niego z jakąś niechęcią, jak gdyby on zawinił w tej sprawie. Świadek ten długo jej zawadzał tak, że spostrzegłszy go, odwracała oczy i niechętnie go widziała. Wstydziała się teraz, ochłonawszy, tego potwornego związku, któremu syna gotową była poświęcić.

Grzegorz czując, iż Sonka nie odboleła jeszcze doznanego zawodu, nie narzucał się wcale, przychodził rzadko, stawał zdaleka. Ale król, który go lubił i nawykł do niego, chociaż z nim w wielu się rzeczach nie zgadzał, dopominał się o mistrza swego i powoływał go do siebie.

Z rozmów z nim przekonał się Grzegorz, iż o zмовie z cesarzową matka nie zawiadomiła młodego Władysława, oczekując, aby ona przyszła mogła do skutku. To tylko jedno królowa wpałała w syna, iż królewskie sojusze i małżeństwa,

nie innego nie mogą i nie powinny mieć na względzie, nad wzmożenie sił państwa i pozyskanie potęgi.

Przekonanie to młodego pana, nie śmiejąc mu się wprost sprzeciwiać, mistrz starał się zachwiać dowodami, że zbytnia pożądlivość władzy i podbojów często państwa i panujących o straty i ofiary przyprowadza. Lecz trudno było walczyć z tem, co niemal z mlekiem wyssał Władysław, marzący jak matka o królestwach, nad którymi miał panować.

Nielaska, w jaką chwilowo popadł Grzegorz z Sanoka, nie trwała długo; skromne zachowanie się jego, zupełny brak ambicyi, życie ustronne, stałość przekonań, dająca miarę człowieka, przywróciły mu wprędce życzliwość Sonki. Nie mówiła z nim tylko o poselstwie ostatniem, najmniejszym słowem nie wspomniała o niem nigdy.

Biedrzyk, który był tak zniknął w Znaimie, że się należało domyślać, iż go kara jakaś spotkała, w kilka miesięcy potem zjawił się znowu w Krakowie i przyszedł pozdrowić dawnego towarzysza podróży.

Niepowodzenie, jakiego doznał, wcale się nie zdawało wpływać na jego humor i usposobienie. Nie mówił wprawdzie, co teraz poczynił, z czem przybywał, lecz łącznie się było domyśleć, że podtrzymywał przyjazne Polsee i królowej stronnictwo w Czechach i nie dawał mu się rozproszyć. W rozmowie, zresztą niezbyt otwartej, półgębkiem dawał do zrozumienia Grzegorzowi, że w Czechach zawsze myślano o jednym z synów Jagiełły.

Mistrz nie dawał się temi nadziejami upoić, nie był on za tem szukaniem cudzych bogów, lecz nie sprzeciwiał się, mileżał.

Po niejakiem czasie i królowa Sonka zbliżać się zaczęła do Grzegorza i używać go do mniej-

szych posług, dając wskazówki, co miał synowi wpajać i jak nim kierować.

Lecz wszystko, co go tu otaczało, nie smakowało mistrzowi, który, gdyby nie wdzięczność i nie nadzieja, że może młodemu królowi być użytecznym, radby był dwór całkiem porzucić. Starczyłoby mu probostwo w Wieliczce i ulubione książki.

Nielatwo jednak, raz wszedłszy w to życie, które nakłada kajdany, uwolnić się od niego. Król nie byłby puścił Grzegorza, a królowa ani mówić o tem nie dawała.

To, co inni zyskiwali pochlebstwem, on zdobywał prawdomównością; szanowano go i wiedziało, że na nim polegać można.

Jedyną pociechę w tych czasach było odwiedzanie starych przyjaciół Balcerów i Frączkowej. Tu mu także nie zupełnie szło po myśli.

W mieście gotowała się walka, tłumiona jeszcze jakimiś względami, w którą Balcerowie mogli być wciągnięci. Kupecy niektórzy, Żupnik krakowski, Mikołaj Serafin, radea Graszar, Wink i stary Balcer, obwiniani byli o bicie i puszczenie w obieg monety, która nie miała wartości nadawanej. Narzucano ją miastu, a biedniejsi potem narażani byli na straty, bo jej po za granicą nie brano całkiem lub za daleko gorszą cenę.

Obwiniano Serafina, Graszara i Balcera, że tą monetą złą frymarczyli, miasto nią zalewali i ubogich ludzi krzywdzili.

W samem mieście dwa się już zarysowały obozy przeciwne, z których jeden bronił monety swej, drugi się przeciw niej burzył. Po kilkakroć przychodziło do starć ostrych na ratuszu w Sukiennicach, do wymówek i pogróżek. Żupnik Serafin i panowie rajcy miejscy ufali w to, że mieli za sobą opiekę możnych, wpływ swoich urzędów, a i gawiedź, którą sobie ująć potrafili.

Dowódcą tych, co przeciw nim występowali,

był niejaki Przedbor Hocz, mieszczanin, człowiek zuchwały a ulubieniec gminu, w którego obronie zawsze stawał. Umiał on sobie tę miłość biednych pozyskać środkiem, nigdy nie zawodzącym. Miał gębę wyparzoną i prawił głośno, zawsze jedno, że biedni obrońców nie mieli, że nie było sprawiedliwości na świecie. Nie łatwiejszego, jak cierpiącym biedakom wmówić, iż oni pokutują nie za swe winy i są ofiarą przemocy.

Hocz wynoszono pod niebiosa za to, iż stawał w obronie uciśnionych. Dawniej hałasował on z powodu poborów, opłat czynszów, na burmistrzów, na ławników, na sądy, na wójtów i tem sobie przygotował przyjaciół.

W sprawie monety, w której mógł mieć słuszość, łatwo mu było potem wystąpić i poruszyć nawet tych, co do żadnych wicherzeń ochoty nie mieli.

Sprawa wszystkich obchodziła. Dobry pieniądz wykupowano, fałszywym zalewano targi, groziła powszechna nędza.

Rajcy miejsca byliby się chętnie pod jakim pozorem pozbyli Hocz, ale miał on też plecy, krewnych, był osiadły, na żadnem przestępstwie nie dawał się pochwycić, gawiedź szła na jego skinięcie, — niebezpiecznie go było zaczepić.

On tymczasem, uzuchwalony, coraz ostrzej występował przeciw rajcom, ratuszowi, żupnikowi i kupcom, co z nimi trzymali.

Balcer był w liczbie tych, co dużo pieniędzy różnych w obieg puszczał. Hocz miał do niego zęb zdawna, bo mu córki odmówił; rad był się pomścić.

Pomimo odgrózek, które ze wszech stron nadchodziły na ratusz do pana Serafina i do Balcerów, lekceważyli oni sobie uliczną gadaninę. Robili swoje. Pieniądz niedobry rozchodził się w znacznej ilości. Płacili nim, mówiąc, że innego nie mają. Dowodzono im, że sami go bili pokątnie.

Ci, którzy na frymarku tym zyskiwali, bronili ich, ale gmin, rad zawsze, gdy do starszyny może się za coś jąć, krzyczał i groził. Hocz podbudzał. Gromadzono się około niego po browarach, na ementarzach po nabożeństwie, słuchano go i przyklaskiwano.

Żupnik Serafin, śmiejąc się, dowodził, że mu było wszystko jedno, choć sobie ulica krzyczała.

— Kiedy ich gardła nie bolą, niech sobie pozwolą. Ja przez to nie schudnę! Bóg z nimi!

Niektórzy szepotali, że Hocz ująłby należało, ale ci, którym zalał sadła za skórę, nie chcieli z nim mieć do czynienia.

O całym tym sporze słyszał wiele Grzegorz z Sanoka i usiłował skłonić Balcera, aby go załagodzono, ale napróżno.

Hocz, którego znał, chodził do szkoły św. Anny z nim razem, nie przyjaźnili się z sobą, ale ława szkolna ma to do siebie, że przyjaźni lub wrogów na całe życie tworzy. Hocz, ów obrońca biednego ludu, a w istocie ambitna sztuka, któremu się w radzie siedzieć chciało z innemi, spotykając się z Grzegorzem, wynurzał się przed nim ze skargami, w nadziei może, iż one dojdą przez niego do biskupa, lub na zamek. Ale Grzegorz z Sanoka do spraw tego rodzaju mieszać się nie lubił. Cenił swój i cudzy spokój nadewszystko i powiadał, że wojnę można było tłómaczyć tylko wtedy, gdy ją prowadzono dla zabezpieczenia pokoju.

— Te żółto brzuchy miejskie doprowadzą nas do tego — mówił Hocz Grzegorzowi, — że my nad niemi sami sobie sprawiedliwość uczynimy, gdy nam jej nie dadzą ci, co ją dać powinni.

— Patrząc — odparł mistrz, — z ludem ulicznym to taka sprawa, iż on dziś z tobą pójdzie na Serafina, a jutro z Serafinem na ciebie.

— Niedoczekanie! — prawił Hocz.

Parę razy już groźne zbiorowiska ludowe,

w rynku i na przedmieściach przybierały rozmia-
ry takie, że miejska straż i Viertelnicy z trudno-
ścią je mogli rozproszyć.

Tumulty podobne w owych czasach wsze-
chnęły się nieraz i z innych powodów, ale te łatwo
było uśmierzyć.

Trafiało się, że gdy studenci, którzy zwycza-
jem dawnym mieli zapewniony kozubalec od ży-
dów, nie byli radzi z wyznaczonych do wyplac-
nia go kampsorów, wyprawiali napaść na pogrze-
by żydowskie i zmuszali do okupu. Zwyczaj ten,
tolerowany poniekąd, z namowy zbyt gorliwych,
począł teraz się zastosowywać i do poszlako-
wanych o husytyzm ludzi.

Oprócz tego między samą młodzieżą, podzie-
loną na różne grupy, parafie i miejskie kwartały,
które przy odśpiewywaniu pieśni, miała prawo
pobierać jałmużnę, przychodziło do starć, gdy je-
dna gromadka w granice drugiej rozmyślnie lub
przypadkiem wkroczyła.

Rzadki dzień przeszedł spokojnie w Krako-
wie, gdzie i cudzoziemcy i kupcy wędrowni da-
wali powód do zwad ulicznych. Urzędy więc miej-
skie, oswojone z takimi rozruchami, ustępujące-
mi przed powagą Viertelników, nie przywiązywały
do nich zbytnej wagi.

Lepszy znawca usposobień ludzi i uważniej
przypatrujący się rosnącemu rozdrażnieniu, Grze-
gorz z Sanoka niepokoił się i przestrzegał, zwłasz-
cza Balcerów i Frączka, o których był niespo-
kojny.

Nie chciano wierzyć w grożące niebezpie-
czeństwo. Tymczasem burza się widocznie zbierała.

Było to w sierpniu, Hocz od kilku dni zbie-
rał tłumy, krzycząc i dowodząc, że sprawiedliwo-
ści niema i że lud powinien ją sam sobie wymie-
rzyć. Inni podżegacze poili motłoch i usiłowali go
do rzucenia się na domostwa żupnika i rajców
namówić.

Szło to jednak opornie. Sądy za gwałty były
surowe, obawiano się wyroków, jakich miano
przykłady.

Gdy parę razy ściągnięta gawiedź rozeszła
się, nie nie poczynając, tylko odgrażając się i krzy-
cząc, Żupnik, Serafin i rajcy sądzili, że się to
uśmierzy i skończy na niczem.

Dnia trzynastego sierpnia wszedł wieczorem
Grzegorz z Sanoka do Balcerów posępny i mil-
czący. Wszyscy byli w domu. Siadł na ławie,
nie mówiąc nic i dopiero gdy go Frączkowa, sta-
nawszy przed nim, zagadnęła, co mu jest, iż tak
smutną twarz im przyniósł, rzekł ostro.

— Żal mi was, żeście głusi i ślepi.

— W czym? jak?

— Powinnibyście się domyśleć — zaczął
mistrz. — Lekko sobie ważycie Hocz a gmin,
a grozi wam wielkie od niego niebezpieczeństwo.

Balcer stary, niewielomówny zwykle, ręką
zamachnął w powietrzu i ramionami ruszył. Grze-
gory wstał z ławy.

— Na miłego Boga, nie puszczajcie mimo
uszu słów moich — odezwał się. — Na jutro umó-
wiona jest napaść na Serafina, na Gracyana, Win-
ka i na was, nie licząc tych, o których nie wiem.
Lud się zmówił, przewódcy powyznaczani; wieść
o tem doszła mnie przypadkiem. Albo zaradźcie
temu, wycofując złą monetę, albo, jeżeli do tumultu
przyjdzie, chrońcie się natychmiast na zamek,
boście życia nie pewni.

— Jakto! jakto! — krzyknął Frączek. — Ta ha-
łastra śmiałaaby się porwać na pana żupnika! na
rajców! To są głupie przechwalki.

— Na które nie zważając, możecie je życiem
przyplacić — mówił mistrz. — Mam dla was obowiąz-
ki, ratować was chcę. — Jeśli mi nie wierzycie, wola
wasza, czyńcie, jak się wam podoba, ale niewia-
sty wasze niech za wasze zaślepienie nie pokutują.
Uprosiłem na zamku u ochmistrzyni królowej

schronienie dla matki Balcerowej i Frączkowej, i obstać przy tem, aby kosztowności zabrawszy, szły ze mną.

Mężczyźni uszom nie wierzyli; zamilkli, ale stanowcze takie oświadczenie, silne na nich uczyniło wrażenie. Spojrzeli po sobie.

— Nie może to być! nie przyjdzie do tego! — zaburczał Frączek.

Balcer się zadumał.

— A możeby trzeba dać znać żupnikowi i rajcom?

— Winka po drodze spotkałem i przestrzegłem go — odparł Grzegorz. — Jutro rano, daj Boże, byście mieli czas zbiedz. Hocz o rannej godzinie kazał się swoim schodzić pod Pannę Maryę, mają uderzyć we dzwony na gwałt i rzucić się na wasze domy!

Pewność, z jaką o tem mówił Grzegorz z Sannoka, dała do myślenia. Frączek się ruszył wychodzić na miasto, gdy wpadł Wink, jeden z najupartszych rajców i tych, którym właśnie rozsypanie złej monety przypisywano. Zawadyaka był zuchwały, ale w duchu tchórz.

Zobaczywszy Grzegorza, siedzącego na ławie, od progu zawołał:

— A, to już wiecie! Odgrają się zbóje, ale mamy straż, która będzie czuwać uzbrojona.

— Pamiętajcież tylko — przerwał mistrz, — że i tej straży, gdy się zawieruszy, nie możecie być pewni. Gdy Hocz górę weźmie, pierwsi Viertelnicy pójda pod jego rozkazy.

— Jakaż rada? — zapytał Frączek.

— Trzeba na ratuszu postanowienie ze złą monetą uczynić i wprowadzania jej się wyrzec — odezwał się Grzegorz.

— Ho! ho! — przerwali mieszczanie.

Mistrz z niemi rozprawiać już nie chciał; zwrócił się do Balcerowej i Frączkowej z powagą i nakazującym tonem.

— Wybierajcie się i idźcie ze mną; nie stanie się nic, — nie zaszkodzi wam nocleg na zamku, a ja was w tem niebezpieczeństwie zostawić nie chcę.

Frączkowa, która słuchała i milczała, odezwała się:

— Mamyż ojca i męża porzucić?

— Kiedy oni nie wierzą i iść nie chcą, ja przynajmniej was zabiorę. Proszę więc za mną w drogę.

Balcer i Frączek głowami kręcili, Wink milczał, Grzegorz przynaglał.

Przez długi przestanek czasu panowała niepewność. Balcer i Frączek nie dawali się skłonić do ucieczki, kobiety się wahały, ale mistrz na swoim postawił i na pół musem uprowadził je na zamek.

Tu już uproszona ochmistrzyni królowej izbie dla nich trzymała w pogotowiu.

Grzegorz, oprócz tego, zawiadomił biskupa Zbyszka, który niedowierzająco przyjął przestrożę.

— Należałoby rozruchowi zapobiedz — rzekł.

— Zdaje się, że już zapóźno — odpowiedział Grzegorz — a tem trudniej sprawę rozsądzić, że Hocz, choć warchoł, ma słuszość.

Biskup z powagą i zimną krwią, sobie właściwą, zamilkł, odkładając radę na jutro.

W mieście żupnik Serafin i najwybitniej zamieszani w sprawę rajcy, dopiero późno w noc, rozesławszy po mieście swoich ludzi na zwiady po język, przekonali się, że obawy przesadzone nie były. Gawiedź, przeznaczona do napaści przeciw nim wymierzonej, całą noc piła po browarach. Viertelników wysłanych, aby ją rozproszyć, potłuczono i rozeznano. Klucze od dzwonnicy u Panny Maryi i w kilku innych kościołach były w rękę zbuntowanych.

Całą sierpniową noc kupki te snuły się po uliczkach, zwolywały i czuwały. Hocz, którego

nigdzie nie było, w istocie był wszędzie. Pokazywał się i niknął.

Popłoch między rajcami był niemały, ale jeszcze mieli nadzieję, że się to na wrzasku i na nieczem skończy. Wszakże Mikłucz Serafin w nocy wywiózł potajemnie pieniądze, jakie miał, do dworca biskupiego.

Do dnia w mieście nie nie było można dożyć nadzwyczajnego, tak, że pospolici ludzie o niczem nie wiedzący, sądzić mogli, iż baśń na postrach sklecono.

Życie się rozpoczynało, jak zwykle, otwierały się kościoły, pobożni szli do nich, dziady stawały przed niemi, okiennice kramików zwolna spuszczano; przekupnie wystawili chleb i mięso na sprzedaż, w Sukiennicach poczynął się ruch powszedni, nie nie zwiastowało żadnego usposobienia do rozruchu. Ulice nawet wydawały się puściejsze, niż zwykle.

Okolo tego czasu, gdy primaryę po kościołach czytają, z zaułków, uliczek, kątów, zaczynała się powoli ściągać gawiedź, której na rynku nie widywano zwykle; byli to ludzie w odzieży poszarpanej, z twarzami dzikimi, jakby obcy tu i nie umiejący się obracać. Szli, niepewnie oglądając się, aby niemi pokierowano, skupiali się, rozpraszali, szeptali z sobą, ustawiali się pod murami. Nieznacznie liczba ich rosła, coraz pomnażała się i milczenie zmieniło się w gwar głuchy.

Nim primarya u Panny Maryi się skończyła, rynek już był przepełniony. Niektórzy z tych ludzi mieli pałki na ramionach.

W pootwieranych piwnicach tłok był niezmierny. Miasto zarówno po bocznych ulicach, jak w rynku, przybrało niezwykłą jakąś fizyognomię. O rozpędzaniu tłumu mowy być już nie mogło, składał się on z tysięcy i pomnażał żywiołami nowymi. Wielka liczba czeladzi ciekawiej przyłączyła się do niego.

Wtem, jakby z pod ziemi wyrósł, zjawił się Hocz, któremu podano, niewiedomo skąd, ogromną beczkę, na której stanął, aby nad tłumem tym górował.

Ze szmeru i gwaru, jaki w rynku panował, nagle cisza stała się wielka i Hocz zabrał głos.

Miał on już dobrą wprawę w ton i sposób, jakim do ludu mówić potrzeba. Wymowa tu niekonieczna i logika nie jest niezbędną, ale orator musi krzyżeć głośno, a bić w krzywdy, uciski i uciemiężenie. Hoczowi to przychodziło łatwo, bo istotnie miał za sobą sprawiedliwość.

— Chodziliśmy na ratusz, kłaniali się i przedstawiali—napróżno; odpędzono nas precz! Słuchać nie chcą, swoje robią, a biedny lud o nędzę przyprawiają. Dla kilku złych mamyż ginąć wszyscy? Lepiej, żeby oni zginęli. Potem naszym się zбогacili, krew z nas wysysają.

Mówił tak coraz goręcej, a lud stojący coraz żywiej mu okrzykami potakiwał. Ruch się zrobił w tych ściśniętych gromadach. Zaczęto krzyżeć.

— Na Serafina! na Graszara! na Winka! na Balcerów! na gałąź z niemi!... Burzyć domy!

I jakby na dany znak tłum ten i zbiegowisko, podzieliwszy się na gromady, runęło ku ratuszowi, rozplynęło się po ulicach.

Hocz sam prowadził jedną kupe, w pałki zbrojną. Na ratuszu nie było już nikogo, ani rajców, ni ławników. Stały izby żelaznemi drzwiami pozamykane.

Natychmiast jeden oddział z Hoczem rzucił się na dom Serafina żupnika, którego już tu nie znaleziono. Wywalono wrota, połamano sprzęty; inni tak samo pędzili ku domom obwinionych rajców.

Szczeńściem wszyscy oni, choć późno, potrafili, ratunku szukając, zbiedz na zamek. Goniono

ich tak, że o mało nie doścignięto, gdy się za nie-
mi wrota zamknęły.

Hocz nie poprzestał na tem i uzuchwalony
z całym tysiącnym tłumem, rozwścieczonym,
gniewnym, rozhukanym jak morska fala, zjawił
się pod murami zamkowemi, domagając się wy-
dania winnych.

Stało się to tak niespodzianie, że królowa,
król, dwór, zostali przerażeni napaścią i młody
Władysław rzucił się już zbierać ku obronie szcze-
płą garstkę rycerstwa, która na Wawelu się znaj-
dowała.

Szczęściem, biskup Zbyszek, tylko co ukoń-
czywszy ranne nabożeństwo w kościele, znajdował
się jeszcze na zamku. W pomoc nadbiegł mu
Grzegorz z Sanoka.

Obleżenie zamku przez te gromady ludzi było
wypadkiem tak niesłychanym, a tak wielkie przy-
bierającym rozmiary, iż nie dając się pożarowi
szerzyć, musiano go natychmiast zażegnać. Hocz
z głównymi przywódcami szturmował do wrót,
domagając się już nie kary na winowajców, nie
sprawiedliwości, ale wprost wydania tych ludzi,
których gmin osądził i skazał na gardło. Dopuszczać
raz taką karę i pomstę bezprawną, było to otwo-
rzyć wrota nieustającym niepokojom.

W chwili, gdy Hocz stał u wrót i gwałtował,
po nad niemi zjawił się w ubraniu swem bisku-
piem, komży i stule, poważny, zimny, surowy, nie-
wylekły bynajmniej biskup Zbyszek.

Znano go, jako męża, który nikomu ustępstw
nie czynił. Hocz pod wrażeniem jego dostojen-
stwa, mimowolnym ruchem zdjął z głowy czapkę.
Nim się odezwał, Zbyszek tym głosem, którym
królów nawykł był gromić, począł go strofować
i domagać się spokoju i odejścia precz gawiedzi.

Hocz dopiero po chwili odzyskał trochę swo-
jego zuchwalstwa, ale ta krótka chwila, w prze-
ciągu której stał milezący z odkrytą głową, star-

czyła, aby otaczającemu tłumowi odjąć butę i ostu-
dzić go.

Biskup natychmiast zabrał głos, naprzód spo-
sób ten domagania się sprawiedliwości potępiając,
potem łagodniej nieco począł obiecywać, iż spra-
wa się rozpatrzy i rozwiąże tak, aby krzywda
i ubytki nagromadzone zostały, wina ukarana. Do-
magał się jednak, aby zbiegowisko natychmiast
się rozproszyło.

Hocz miał czas powrócić do pierwszego swo-
jego zuchwalstwa i zamiast ukorzyć się, domagał
się wydania żupnika i rajców, którzy się w zamku
schronili.

— Tak jest, schronili się tu i nietylko ja
ich pod płaszczyk mój, ale kościół weźmie w opiekę
i da im przytułek, bo to jest przywilejem jego.
Winni, czy niewinni, wy nie macie prawa ich są-
dzić.

Tłum się począł ujmować za swoim przewód-
cą, zaryczał, a ci, co dalej stali, nie wiedząc dla-
czego wrzask ten powtórzyli.

Biskup mówił, nie słuchano go. Naówczas na
skinienie jego wystąpił Grzegorz z Sanoka. Ten
poufałym tonem zwrócił się do Hocza.

— Słyszeliście słowo ojca naszego duchowne-
go, powinniśmy go starczyć dla opamiętania was;
ja przychodzę do was od króla, od królowej, za-
lecając, abyście się natychmiast rozeszli. Spra-
wiedliwość uczyniona będzie, ale wam w gniewie
samym dać ją domierzać, byłoby grzechem, król
tego nie dopuści. Chcecież, aby swoje panowanie
rozpoczął od tego, aby się bronił przeciw tym, co
mu wierność przysięgali! Do domów! Rozehodź-
cie się! Pasterz nasz, rada królestwa tego, wezmą
w ręce sprawę i rozstrzygną. Idźcie spokojni.

Czas jakiś panowało milczenie, ale zdala po-
wtórzyły się krzyki. Natenczas Grzegorz z Sano-
ka zwrócił się do Hocza.

— Pomniście, wy, Przedborzu, że za wszystko
Strzemieńczyk. T. II.

odpowiadać będziecie, za ten ból i srom, jaki uczyniliście królowi, za to, cokolwiek się stanie,—wyście lud ten podburzyli!

— Nie ja, ale niesprawiedliwość, ale krzywda!—przerwał Hocz.

— Wy—powtórzył Grzegorz—wy, bo zamiast w dziesięciu przyjść z pokłonem do tronu prosić o wysłuchanie, zebraliście tłum i chcecie je wymóżyć siłą.—A cóż będzie, gdy na siłę pójdzie siła!

Hocz stapał z nogi na nogę, biskup Zbyszek, korzystając z chwili milczenia, odezwał się z powagą.

— Idźcie w pokoju do domów! Kapłańskiem słowem mem, w imieniu króla zaręczam wam, iż sprawę waszą rozsądzimy wedle prawa Bożego i ludzkiego.

— Do domów!—powtórzył Grzegorz z Sanoka.

Hocz stał jeszcze, gdy przez chwilę upojony tłum, zwolna zaczął się rozstępować, szeptać między sobą i cofać się.

Na wałach zamkowych właśnie zaczęli się ukazywać ludzie zbrojni, łucznicy i kusze, tak, że sądzić było można, że przyjdzie do starcia, gdyby się upierano zamek naciskać.

Hocz począł mówić, ale głos zniżywszy, tłumaczył się, jękał.

Biskup jedno powtarzał.

— Rozchodźcie się.

I w końcu gawiedź zachwiana, a otrzeźwiona—nieznacznie się rozplywać zaczęła.

Gdy raz ruch ten wsteczny dał się uczuć, nikt nie chciał być ostatnim, obawiano się pozostać, aby nie wpaść w ręce straży zamkowej i nie popaść do Dorotki.

Rozchodząc się, kupki kroczyły zrazu zwolna, potem coraz żywiej, kryły się, gdzie kto mógł, wsuwały, nikły, tak, że Hocz, obejrzawszy się nie-rychło, ujrzał, że był z małą kupką sam jeden prawie.

Odgrazając się i mruczając i on w końcu cofnął się ku miastu.

Niebezpieczeństwo było zażegnane, lecz nie odwrócone stanowczo. Zaledwie się ludu pod zamkiem przerzedziło, i biskup Zbyszek poszedł królowej przelęklej donieść i wytłómaczyć, co się stało, gdy Grzegorz z Sanoka kazał sobie furty otworzyć, i śmiało sam jeden wyszedł na miasto.

— Potrzeba było bić żelazo gorące—zawołał na uchodzącego Hocz, który się zatrzymał. Chcesz-li być cały — rzekł — miej rozum i coś popsuł, staraj się naprawić.

W Przedborze wszystko zakipiało. Był warchołem, lecz bądź co bądź, wystąpił w sprawie dobrej.

— I wy, coście z ubogiego paupra wyszli na ludzi — zawołał — nad ubogimi litości nie macie! Bóg mi świadek, sprawiedliwości tylko żądałem.

— Aleś się jej źle domagał — odparł Grzegorz.—Pięścią nie godzi się nie wymuszać. Gdzie ona występuje, tam rozum i prawda milkną.

Uderzył go po ramieniu.

— Zakaż swoim, aby nowych zaburzeń nie wywoływali;—dodał—reszta się dokona, gdy biskup wzięł sprawę w swe ręce.

Nie dość na tem, Grzegorz razem z Hoczem poszedł do miasta, aby dopilnować uspokojenia gawiedzi. Nie powrócił rychło na zamek, ale gdy wieczorem zjawił się zmęczony, mógł upewnić biskupa i królowę, że się zaburzenie nie powtórzy.

Hocz spokorniał.

Zawołano mistrza do króla, który poruszony wielce, na pół uzbrojony biegał po swej izbie, zagadując młodzieź, która go otaczała. Zobaczywszy swojego mistrza, poskoczył ku niemu. Oczy mu pały.

Chociaż miał przed sobą wierny swój lud krakowski, młody pan samem prawdopodobieństwem jakiejś walki, był rozdrażniony. Gotów był

się rwać i iść bić się, nie patrząc z kim. Gorąco począł badać Grzegorza, co to było, jaka niesprawiedliwość mogła lud przyprowadzić do takiej rozpacz.

Dla uspokojenia Władysława mistrz nie znalazł lepszego środka, jak całą rzecz obrócić w żart.

— Miłościwy panie — odezwał się — gawiedzi chodzi o grosze. Sprawa pójdzie przed sędziów i zostanie rozstrzygnięta. Czyżby rycerską rzeczą było występować przeciwko takiemu tłumowi. Polowa tych ludzi nie wiedziała, po co się tu ciśnęła!

— A! krzyki te poruszyły mnie tak — zawołał Władysław. — Było w nich coś wyzywającego do boju. Kiedyż ja się doczekam tego, abym na koń mógł się iść i pójść w pole!

— Aż nadto prędko! — odparł Grzegorz z Sanoka smutnie.

Tak speliło na niczem to poruszenie, które tylko dowiodło królowej, biskupowi i Grzegorzowi, że młodego pana na Wawelu bezczynnym utrzymać nie potrafią. Karmiono go tak rycerskimi kronikami i opowiadaniem, iż teraz przedwcześnie rozgrzany zapał, potrzeba było gasić i łagodzić.

Królowa Sonka, gdy raz obawa przeszła, cieszyła się, widząc w synu tę niecierpliwość i gotowość do czynu.

Grzegorz, który na wszystko miał oko, dostrzegł różnicę wrażeń i usposobień w dwu braciach. Młodszy o lat kilka Kaźmirz całą tę sprawę pojął inaczej zupełnie. Gniew go opanował przeciw zbuntowanym. Nie myślał wcale o tem, aby przeciwko nim wystąpić, ale się oburzał na warcholów i wołał, aby ich siłą precz rozegnano. Dla Władysława wszystko, co rokowało wojnę, było pożądanem; Kaźmirz nie pojmował w podwładnych nieposłuszeństwa i samowoli. Brwi mu

się ściały, ale energia wyrostka była mileżąca. Starszy rzucał się i mówił wiele, zajmowało go to żywo, młodszy wzgardliwym milczeniem zbywał ten poryw, a spytany przez Władysława jakby sobie radził.

— Tłum bym kazał precz rozegnać! — odparł.

Ledwie się to uspokoiło i przestraszeni żupnik i rajcy poczęli łagodzić rozdrażnienie, ujmując sobie ludzi, gdy nowy a daleko groźniejszy niepokój zmusił biskupa i radę do szukania środków poskromienia Spytka z Mielsztyna, Dersława z Rytwian i innych, chcących naśladować w Polsce wybryki husytów czeskich.

Zbierały się kupy zbrojne, mnożyły napady na dobra duchowieństwa, sam biskup był dotknięty nie tylko najazdem, ale wśród tego zamętu dokonany gwałtem.

Narzeczona jego stryjecznego brata, Jadwiga księżniczka, została przez Jana Krzyżanowskiego porwana i uprowadzona.

Potrzeba było, nie dopuszczając szerzenia się nieładu, ukrócić te wybryki, aby nie zakłóciły potrzebnego spokoju. Naznaczono na ten cel zjazd w Korczynie.

Biskup Zbyszek, z powodu tych wypadków, nie miał czasu wglądać bliżej w to, co się w Krakowie i około królowej działo.

Grzegorz z Sanoka, chociaż niewtajemniczony jeszcze, z często potajemnie przybywających tu Czechów, z posyłek do Pragi, z wielkiego ruchu, jaki królowę Sonkę otaczał, mógł łatwo wniesić, że o los swoich synów zbyt cennie zabiegliwa, znowu coś musiała przedsięwziąć.

Jednego dnia wreszcie, gdy wedle zwyczaju przyszedł donieść matce, czem się syn jej zajmował, odezwała się do niego z twarzą rozpromienioną.

— Każko ma już rok trzynasty! Nieprawdaż? Wychodzi z dzieciństwa, o nimby też pomyśleć

trzeba, aby się przepowiednia sprawdziła. Koronę mu zdobyć musimy!

A gdy mistrz słuchał w milezeniu, nie odpowiadając, dodała.

— Jest to jeszcze tajemnicą, wy jej nie zdradzicie, a będziecie się cieszyć ze mną. Wszystko to dziełem jest mojem. Korona dla Kaźka się gotuje...

Z niedowierzaniem spojrzął Grzegorz.

— Tak, tak—potwierdziła królowa wesoło.— Kaźmirz będzie królem czeskim, wszystko już przygotowane. Prażanie i moi przyjaciele w Czechach wybią go. Albrecht nie może panować razem w dwu królestwach; Czesi go nie lubią. Wielkorządcami ich zbywa, — oni chcą mieć własnego pana.

— Tak—dodała raz jeszcze—wybór Kaźmierz przygotowany, pewna go jestem...

— Miłościwa pani,—odezwał się Grzegorz—wierzę w to, że Czesi wybrać mogą naszego księcia, ale czy go utrzymać potrafią? Albrecht nie da sobie wyrwać korony czeskiej, nie stając w jej obronie. Zatem wojna.

— Tak, przewidywać ją można—dodała królowa—ale znajdziemy siłę do prowadzenia jej. Potrzeba tylko jednego oddziału polskiego, a Czesi się do niego przyłączą. Niechętnych Albrechtowi jest więcej, niż przyjaznych mu. Obmyśliłam wszystko, znajdziemy pieniądze i ludzi.

Po chwili namysłu Grzegorz ośmielił się zapytać.

— Czy nasz pasterz jest o tem zawiadomiony i...

Królowa nie dała mu dokończyć.

— Biskup Zbyszek?—zmarszczyła się.—Nie, może się domyśla, lecz nie wie o niczem jeszcze; gdy rzecz zostanie dokonana, dowie się, i zgodzić na to musi.

Na chwilę zachmurzona twarz królowej, roz-

jaśniła się wprędce. Była cała jeszcze przejęta świeżo odebranymi wiadomościami.

— Spodziewam się — dodała, zwracając do Grzegorza,—iż gdybym pomocy waszej w sprawie tej potrzebowała...

Skłonił się pozwany, oświadczając gotowość.

Powróciwszy do mieszkania swego, znalazł już tam Biedrzyka, który oczekiwał na niego. Nie spowiadał mu się z niczego Czech, lecz z mowy widać było, że miał go za wtajemniczonego przez królowę. Był to zresztą człowiek skryty, ostrożny i więcej stworzony do podsłuchów, niż do rozmowy.

Powaga, rozum i nauka Grzegorza już w podróży wielkie na nim uczyniły wrażenie i obudziły poszanowanie.

Po kilku obojętnie rzuconych pytaniach i odpowiedziach, Biedrzyk zrećnie naprowadził mowę na młodych synów królowej. Widocznem było, iż rad był ich charakteru wyrozumieć.

— Król nasz — rzekł mu Grzegorz — jest to rycerskie chłopię, które wzdycha tylko do tego, aby wyjść w pole i bohaterem się okazać. O tem myśli i śni, mówi i marzy. Serce ma dobre, charakter szczodry i otwarty. Jakim będzie królem czasu pokoju... jakim panem dla swojego ludu, to dopiero przyszłe lata okazać mogą. To wiem, że szlachetny jest, miłosierny, a tak hojny i nieopatrzny w rozdawaniu, co ma, jak ojciec.

Biedrzyk słuchał z uwagą.

— A młodszy?—zapytał.

— Tego ja mniej znam!—mówił Grzegorz.—Jako o młodszym nie można zawczasu przesądzać. Są w charakterach braci podobieństwa i różnice. Kaźmirz więcej jest w sobie zamknięty, milezący, silniejszej woli; charakteru może będzie energiczniejszego, niż brat, ale serca dobroć i hojność pańską ma też samą.

— Z nich dwu—dodał Grzegorz, nie potrze-

bując się tać ze swem zdaniem,—bohaterstwa pewno więcej okaże starszy, lecz młodszy królować będzie dzielniej i jeśli z młodzieńczych początków wnosić się godzi, przez cudze oczy patrzeć nie zechce, ani nad sobą ścierpi przewagi panów i rady.

Biedrzyk głową pokręcał, słuchając.

— U nas—mówił mistrz dalej,—gdzie panowie nawykli mieć wielki udział w rządzie, bo Jagiełło przez czas długi zupełnie na nich się zdawał, gdy i teraz nie król, ale panowie ci wszystko czynią, co chcą, i władzę całą mają w rękach, u nas młodszemu byłoby trudniej, gdy z rycerskim panem Władysławem zgodzą się radcy, bo byle mu wojować dozwolili, o resztę pytać nie będzie.

Czech słuchał z wielkiem zajęciem.

— Zresztą—dokończył Grzegorz—wyrokować dziś o ich przyszłości się nie godzi. Czas ludzi zmienia.

— My wam zazdrościm—przerwał Biedrzyk,—bo w Polsce panujący bez rady nie stanowią nie, a my to u siebie mieć chcemy... Albrecht nam nie na rękę, bo ani mieszkać w Pradze nie może, ani sam rządzić, a biada krajowi, który zaocznie wielkorządcy sprawiają! Jeżeli do tego przyjdziemy, abyśmy sobie pana po myśli naszej wybrali, zastrzeżemy się, aby królował sam i swobody nasze poręczył. Do tego dążymy. Gdybyśmy z Polską się połączyć mogli, oparlibyśmy się Niemcom i Węgrom, i bylibyśmy panami w domu, a dla Polski też urosłaby u nas siła niemała.

— Ale wprzód potrzeba—odezwał się Grzegorz,—abyście wy sami z różnych obozów, na które podzieleni jesteście, do jednego się zeszli, aby ten, kogo na tron weźmiecie, nie potrzebował bić się z Albrechtem naprzód, a potem z własnymi poddanymi.

Westchnął Biedrzyk.

— Byleśmy obcych się pozbyli, w domu między braćmi ład się zrobi. Jednej matki dziatki, nie będą z sobą walczyły, ręce sobie podadzą. Zygmunt nam narzucił zięcia i córkę, choć do tego prawa nie miał.

— Przecieżście przyjęli go i ukoronowali—zakończył Grzegorz.—Życzymy wam najlepiej, ale wiercie mi, nie narody sobą i losami swemi, ale Bóg włada niemi. Przyszłość on jeden wie!

II.

Gdy się to działo w kółku, otaczającym królowę, po za niem nikt jeszcze nie przeczuwał tego, co się w Czechach przygotowywało.

Zbigniew biskup, zajęty uśmierzaniem niepokojów, jakie mu husyci polscy wznawiali ciągle, głównie na niego czyhając, zasadzając się i usiłując go pozbyć, jako wroga swojego, — nie miał czasu wnikać zblizka w czynności królowej Sonki.

Obóz husycki niewielki, ale ruchliwy, dążył do tego, aby się wyzwolić w Polsce, jak w Czechach, z pod zwierzchnictwa Rzymu i przewagi duchowieństwa. Oleśnicki widział dobrze następstwa, jakie to za sobą ciągnęło.

Najpierwszem była anarchia, która w kraju, otoczonym nieprzyjaciółmi, zgubęniosła. Wszyscy nieprzyjaciele Polski, a naprzód Krzyżacy, cieszyliby się mocno, gdyby silny rząd, który nawet czasu małoletności czuć się dawał, walką wewnętrzną się rozchwiał.

Całą więc usilność swą skierować musiał na utrzymanie wewnętrznego pokoju i zniszczenie w samych zawiązkach husytyzmu, który mógł Polskę podkopać, ów biskup Zbyszek, będący dotąd

jedynym Polski władcą, choć na pozór dzielił tę władzę z innemi.

Powracając z jednej z wycieczek swych do Krakowa, zaledwie we dworcu swym wysiadłszy, wprzódym nim się z kimkolwiek mógł widzieć i rozmówić, znalazł oczekującego nań Grzegorza z Sanoka.

Królowa, wiedząc już o przybyciu biskupa, wysłała go, aby się od niej pokłonił i na zamek go wezwał. Być może też, że poleciła przygotować go do wcale niespodzianej nowiny.

Nadeszła wiadomość urzędowa z Pragi, że Czechy, wedle przyrzeczenia, wybrały Kaźmirza królem swoim.

Zobaczywszy mistrza, Oleśnicki, który zawsze go raczej jako uczonego, niż do innych spraw powołanego człowieka uważał, powitał go po łacinie.

— O! szczęśliwy człowieczel! Ty sobie tu Bukoliki, Enejdę i Plauta czytasz, a w nich się lubujesz, gdy my pod ciężarem i w jarzmie chodzić musimy. Cóż królowa?

— Pozdrowić was kazała i powitać, z tem przychodzę—odezwał się Grzegorz, patrząc biskupowi w oczy. — Radaby miłość waszą oglądać, bo ma też nowinę pono, którąby się rada podzielić!

— Nowinę?—przerwał niespokojnie biskup. — Zaprawdę, lękam się nowin, bośmy ich syci.

— Ta złą się być nie zdaje, chociaż ja o tem sądzić nie umiem—odparł Grzegorz.

— Mówcież mi ją, jeśliście jej świadomi — zawołał biskup zaniepokojony.

— Z Pragi przyniesiono wieść pewną, że Czesi, tam zebrani, którzy Albrechta nad sobą nie chcą, królewicza naszego, Kaźmirza, obrali sobie królem, i poselstwo, o tem oznajmujące wyprawić wprędce mają.

Pierwsze wrażenie nowiny tej, którą Grzegorz nazwał dobrą, na biskupie uczyniło wrażenie

wielkiego niepokoju, niemal trwogi. Zwolna załamał ręce i usta mu się dziwnie wypaczyły.

— O!—zawołał—ta niewieścia a macierzyńska niecierpliwość, co dobrze życząc dzieciom, może im gotować męczeństwo! To sprawa królowej! Nie wątpię!

I jakby nie zważał na to, że z poufnym sługą królowej mówił,—dodał z goryczą.

— Nie może spocząć, nie chce czekać nasza pani, a gotuje nam i dzieciom troski i brzemienia nad siły... Tak samo układała szalone owe małżeństwo z Barbarą dla niedorosłego chłopięcia, któremu Bóg łaskaw przeszkodził; teraz nam wojnę prowadzi dla korony, której Kaźmirz nie posiedzie... Co tu począć z tą macierzyńską troskliwością!

Grzegorz milczał.

— Czechy! Czechy! — mówił dalej biskup. — Zaraza! husytyzm! herezya! Już mamy w kraju zadatki tej choroby, nad którąbym morowe wołał powietrze! Czechy!

Zmarszczył się biskup.

— Mówią—odezwał się Grzegorz,—iż znaczna większość narodu jest za królewiczem naszym.

— Ale my w domu mamy do zdobycia przedewszystkiem pokój i siłę, po cóż dopiero za granice iść po zdobycze?... Za plecami się nam namnoży Spytków, Dersławów i Zbąskich... I wy, co pokój cenić umiecie, wy, co wiecie, ile on wart dla podźwignienia narodu, oświecenia go, z bogacenia, wy mówicie, że to nie jest zła wiadomość?

— Mówiłem, że o tem sądu wydawać nie chcę—przerwał Grzegorz—królowa się cieszy.

— Niewiastą jest—westchnął biskup. — Widzi tylko blask koron, a ich ciężaru nie czuje. Dziecku na skronie kładzie ten rozpalony obręcz!

Załamał ręce.

Weszli razem do dworu biskupiego i po chwili Zbyszek się uspokoił.

— Idę z wami na zamek—rzekł do Grzegorza—pozwólcie mi tylko na krótką ukłęknać modlitwę i wezwać Ducha Świętego.

Biskup znikł, a Grzegorz pozostał z kapłanem jego i młodym pisarzem amanuensem Długoszem, w którego oczach połyskiwała bystra pojętność, choć przy biskupie pokorny i milczący stawał zdala.

Mówiono o podróży, o zasadzce na życie pasterza, o śmierci Spytka, która cudownie od niebezpiecznego uwalniała nieprzyjaciela, gdy biskup powrócił i natychmiast oświadczył gotowość udania się do królowej.

Sonka oczekiwała na biskupa, którego szanowała, ale obawiała się więcej jeszcze, zawczasu układając twarz wesołą, choć niespokojną była i przeczuwała, że jej zabiegi źle mogą być przyjęte i osądzone. Dlatego może wszystko się w takiej tajemnicy gotowało i biskup dowiadywał się o wyborze Kaźmirza, gdy już posłowie z Pragi do Krakowa się wybierali.

Z zachmurzonej twarzy wchodzącego poważnie, wyczytała królowa myśl Zbigniewa.

Obok niej stał trzynastoletni Kaźmirz, zamyślony nad wiek swój i nie wesół, któremu Sonka rozkazała rękę biskupa ucałować.

— Oto przyszły król czeski! — odezwała się wprost, unikając długich tłumaczeń i wiedząc, że Oleśnicki był uprzedzonym.

— Bodajby nim był!—westchnął biskup—lecz niezem wybór jeszcze... niezem nawet koronacja, potrzeba się orężem dobijać panowania, a my...

— Mamy—przerwała królowa—cały gotowy zastęp kilkutysięczny, który pójdzie z nim—wskazała na syna—do Pragi, na pole boju... i wywalczy mu koronę.

— Mamy — powtórzyła — dowódców, ludzi... i pieniądze... wszystko!

Biskup stał, wcale nie zdając się tem przekonany.

— Wojna z Albrechtem nie będzie łatwą — rzekł—ani krótką. Nie da on nam spokoju.

— W Węgrzech będzie zajęty — szybko dodała królowa. — Turcy mu tam grożą, bronić się musi.

— A my z jego wojny z nieprzyjacielem chrześcijaństwa korzystać będziemy? — spytał biskup.—Cóż na to powie cesarz i Paleolog, i państwa chrześcijańskie?

— Wszakże nam tę koronę przynoszą, nie szliśmy po nią—poczęła królowa coraz żywiej.

Biskup spojrzał, a wejrzenie to wywołało rumieniec wstydu na twarz królowej, bo wiedziała, że Zbigniew starał jej i zabiegów się domyślał, był ich pewny.

Zwolna Sonka ręce złożyła przed nim.

— Opiekunie moich dzieci, dobroczyńco — szepnęła—nie odpychaj dla tego chłopca, co Bóg daje. Samo się to narzuca. Czechy go pragną... żądają... proszą.

Biskup, nie sprzeciwiając się już, przybrał postawę człowieka, który małym się czyni, aby wielkie z siebie zrzucił brzemię.

— Nie do mnie należy rozstrzygać o tem—rzekł. — Jam jednym z rady, ale nie całą radą króla; niech drudzy panowie wyrokuja, czy wojny chcą, bo wybór ten nie innego nie znaczy, nad długą i upartą wojnę.

Dla królowej było to uspakajającym, bo choć władzę i wielką przewagę biskupa znała dobrze, lecz zawczasu już innych panów zjednać się sobie starała. Królowa Sonka z niewieścią umiejętnością dokazywała cudów, gdy jej szło o interesa dzieci. Umiała ona jednych pozyskać obietnicami i dodatkami, drugich łaskawością i uśmiechem, innych zaufaniem, im okazywanem.

Znaczniejsza część wojewodów i kasztelanów,

w radzie zasiadających, mających u biskupa uważanie i względy, ujęta była zawczasu.

Ten sam urok pomnożenia potęgi Polski i rozszerzenia jej granic sojuszem ścisłym z Czechami, który skłonił do zbliżenia się ku Litwie, ciągnął ku Czechom. Zapomniano, w jakim stanie zawiachczenia kraj ten był od dawna.

Królowa poręczała, że sami Czesi dopomoga do uspokojenia i zjednania wszystkich Kaźmirzowi.

Miała już pozyskanych sobie i gotowych za nią przemawiać w radzie, Sędziwoja, Ostroroga, wojewodę poznańskiego i Jana z Tęczyna Sandomierskiego. Ci obiecywali jej innych nawracać.

Oporu można się było spodziewać, bo Zbigniew go swoim zdaniem wywołać musiał. Oglądano się na nie, a wielu przy nim z własnym zdaniem oświadczyć się nie śmiało.

Następne dni królowa spędziła w niepokoju, posyłając swoich na zwiady, usiłując odgadnąć usposobienia.

Jak przewidzieć było łatwo, zdania zostały podzielone. Podawano nawet w wątpliwość, czy posłowie czescy przyjadą. Goniec po gońcu już ich oznajmywał, a jeszcze niespełna wierzono w to śmiałe wystąpienie Czechów.

Naostatek jednego dnia w pięknym poczeie zjawili się zapowiedziani. Na czele ich jechał Hertwig z Rusinowa, Jan z Persztynu i Bieniasz Mokrowas.

Królowa nie posiadała się z radości.

Wielu panów nawróciło dopiero przybycie Czechów i wyrażone przez nich mocne postanowienie utrzymania na tronie Kaźmirza. Biskup trwał w umiarkowanym oporze. Znano jego niechęć dla zarażonych husytyzmem Czechów, obawę, aby się herezye nie zagnieździły w Polsce.

Panowie rady, rozdzieleni w zdaniach, nie chcieli nie stanowić. Biskup nalegał, aby zwołać zjazd w nowem mieście, Korczynie, i to, co cały

kraj w wojnę wciągnąć miało, poddać wyrokowi większości.

Zjazd został naznaczony na św. Floryana.

Dobrze wprzód, nim dzień ten nadszedł, królowa zamówiła Grzegorza z Sanoka, aby się na nim znajdował. Znała go już zbyt dobrze, aby się po nim mogła spodziewać śmiałego wystąpienia. Spełniał jej rozkazy, nie tając tego przed nią, iż duszą nie był za temi łowami na królestwa. Ale miała w nim, mimo to, wiernego i rozumnego sługę. Patrzył, słuchał, radził i choć zimnym się wydawał, pewnym był za to.

— Wy mojej sprawy nie bierzecie do serca, ani mojej, ani dzieci—mówiła przed odprawieniem go do Korczyna.

— Miłościwa pani! Na to potrzebaby, abym jasno widział, iż to, czego dziś się pragnie, jest istotnie dobrem waszem i syna—spokojnie rzekł Grzegorz.—Jam ślepy, czy też nieudolny,—ale nie widzę.

— Korona nie zdaje się wam pożądaną? — przerwała królowa.

— Nie rozprawiając już z nim, bo go przekonać nie mogła, królowa zwróciła rozmowę i dała mu instrukcyę, co miał czynić.

— Jestem prawie pewną wygranej—rzekła,—choć biskup będzie przeciwko mnie. Jeżelibym się jednak zawiodła, baccie! i natychmiast przybądźcie dać mi znać. Znajdę środki!

Przed Grzegorzem, choć tak chłodnym, Sonka nie tała się z niczem. Lice jej pałało.

— Jeśli koronę odrzuca, tak jest, znajdę środki, aby jej Kaźmirz nie postradał! Wojsko, ludzi, ochotników. Nie mogą mi zabronić popierania sprawy syna!

Grzegorz nie śmiał się sprzeciwiać królowej. Nazajutrz z pewnym niesmakiem wyruszył do Korczyna.

Zabiegi królowej, pomimo oporu Oleśnickiego i książąt mazowieckich, wezwanych na zjazd, a oprócz tego wielu umiarkowańszych i niedających się złudzić blaskiem korony, zwyciężyły ostatecznie.

Większość była za przyjęciem ofiary Czechów, a Oleśnicki, oświadczywszy się ze zdaniem przeciwnem, w końcu uległ i przystał na to, co większość postanowiła.

Z tą radosną nowiną, wyprzedzając wszystkich, wrócił do Krakowa Grzegorz z Sanoka i przyniósł ją rozpromienionej pani.

Zwyciężyła! Kaźmirz więc miał włożyć koronę na skronie!

Posłowie do Czech byli, jakby wyznaczeni. Musieli nimi być ci, co z królową razem trzymali i pożąдали czeskiej korony. Sędziwój Ostroróg i Jan z Tęczyna wyruszyli do Pragi.

Nie spoczywająca ani na chwilę królowa, teraz już dniem i nocą zajmowała się zebraniem ludzi i wojska dla syna. Bez niego nie mógł ani się utrzymać, ani nawet wniknąć do swojego nowego królestwa.

Co może miłość macierzyńska i pragnienie zdobycia potęgi, okazała królowa, zmuszona sama starać się o wszystko, ludzi wybierać i jednać, a naostatek wszystko, co miała, oddawać, sypać, płacąc zaciągi, uzbrojenia i pułki.

Nigdy w Polsce nadzieja wojny i walki nie była odpychana, owszem, jak zawsze, tak i teraz, miała dla wielu ponętę, urok, ciągnęła ich.

Wybrani przez królową dowódcy, mieli tylko trudność w wyborze. Gromadami przybywała szlachta z różnych ziem, prosząc się pod chorągwie, ale między nią trzeba było surowy wybór czynić. A choć połowa tych stręczących się rycerzy bez hełmów i broni, lub bez koni nawet i oręża, musiała powracać do domów nieprzyjęta,

pomimo to znalazły się tysiące na wyprawę do Czech.

Rodziła się wątpliwość, czy trzynastoletni królewicz miał wprost sam osobą swoją iść i zyskiwać serca młodością i miłością, jaką ona obudza.

Tu królowa nawet zachwiała się. Kaźmirz był gotów, Władysław rwał się, ale go nie puszczono stanowczo; panowie rady nie chcieli nawet dozwolić królewiczowi jechać. Tylko dowódcy tego oddziału, który był do Czech przeznaczony, pragnęli mieć z sobą obranego króla, jako chorągiew. Nie było najmniejszej wątpliwości, że do walki przyjść musiało. Możnaż było na jej niepewne losy narażać wyrostka?

Były dnie, że królowa stawiała się matką, cisnęła do piersi Kaźmirza i dać go nie chciała. Przychodziły potem inne, gdy blask korony ją znieczulał i zaślepiał, gotową była puścić syna.

W końcu matka zwyciężyła królową i Kaźmirz nie poszedł do Czech.

W jego miejscu chciał sam iść wojować wrzący chęcią boju Władysław, który już dościsnął pełnoletności... Jednomyślnie się temu sprzeciwiano.

Niepokój był i wyczekiwanie na zamku krakowskim, gdy po upływie kilku miesięcy Grzegorz z Sanoka ujrzał jednego dnia wchodzącego do swej komory, w której pracował nad ulubionym poetą, człowieka, zupełnie mu nieznanego.

Był to mężczyzna lat już czterdziestu kilku, z postawy wnosząc, dworak i człowiek dostojny. Ubiór skromny był ze smakiem i pewną wytwornością dobrany do twarzy i postaci. Twarz całkiem nieznana, głos, gdy się odezwał, również nie mu nie przypominający, przywitanie pierwsze uczyniły chłodnem. Nieznajomy nie mówił nazwiska swego i uśmiechał się dziwnie.

— Mistrzu Grzegorzu — odezwał się do niego — czy pamiętacie jeszcze młodsze lata wasze

i wędrówki po Niemczech? Wszakże się nie mylę, podróżowaliście wiele?

— Tak—odparł Grzegorz, któremu to przypomnienie lat młodszych było przyjemnem—podróżowałem, jako jeden z vagantów, *per pedes apostolorum*.

— Przypomnicie więc sobie wasz pobyt w Heidelbergu?—dodał nieznajomy.

Mistrz popatrzył z uwagą wielką na mówiącego.

— Lauen? — zawołał, podając rękę. — Nieprawdaż?

Nieznajomy obie ręce ku niemu wyciągnął.

— Tak, Lauen! — rzekł z pewnem wzruszeniem. — Nie poznaliście mnie zrazu, a i ja, gdybym nie wiedział, kogo mam przed sobą, nie domyśliłbym się w poważnym duchownym wesołego młodzieńca, który tak cudnym głosem pieśni Beaków śpiewał.

— Przeszły te czasy! — westchnął mistrz, — pieśni się zapomniały, smutek duszę ogarnął.

Siedli przy sobie.

— Lecz skądże wy tutaj?—począł gospodarz.—Widzę, żeście w świeckim stanie zostali; co was tu do Polski przyгнаło?

Zapytanie to zdawało się nieco kłopotać przybyłego, chociaż powinien był do niego być przygotowanym.

— Jestem... w podróży na Śląsko, dokąd mnie moje familijne powołują sprawy. Rodzina mojej matki ma tam posiadłości. Dowiedziałem się o was w Krakowie i umyślnie się zatrzymałem, aby z wami dawne dobre czasy przypomnieć.

— Jakież stan obrałeś sobie?—wtrącił Grzegorz.

— Służyłem dworsko przy cesarzu Zygmuncie—mówił Lauen—a teraz liczę się już tylko do orszaku króla Albrechta, chociaż żadnych nie pełnię obowiązków.

Mówiąc to, nieco oczy spuszczał i rumienił się, wasy pokręcał, bąkał jakoś nieśmiało.

— Mówiono mi—dodał,—że wy zajmujecie stanowisko zaszczytne przy młodym królu. Do tej pory jużbyście zaprawdę powinni byli dobić się bardzo wysokiego dostojęstwa!

— Nie pragnę go! — żywo przerwał Grzegorz — wierz mi, że pokój i pracę nad księgami nad wszystko przenoszę. Zmuszono mnie być na usługach przy młodym królu, lecz jest to służba nieoznaczona, nie ciężka i ledwie na to nazwanie zasługująca. Tem lepiej.

— Król wasz młodziuchny; potrzebna mu rada wytrawniejszych mężów—odezwał się Lauen.

Postrzeżenie to Grzegorz zbył milczeniem, zająwszy się gościnnem przyjęciem dawnego znajomego.

Lauen, ubogi współluczeń szlacheckiego pochodzenia, naówczas się do stanu duchownego sposobił. Złączyła ich pewna sympatya i podobieństwo charakterów. Oba lubili poezję i śpiewy.

Grzegorz treściwie zaczął opowiadać o swoim powrocie do kraju i tem, co go tu spotkało. Starzy przyjaciele patrzyli na się, mówili i pewno znajdowali w sobie wielką zmianę. Czasem który z nich uderzył o dawną nutę wesołą, uśmiechnęli się i wnet poważnieli oba.

— Prawdaż to — po długim przestanku zagaił Lauen—że młodszy wasz królewicz do Czech się wybiera przeciw Albrechtowi?

— Wybrano go—rzekł Grzegorz—a korony się nie odrzuca.

— Tak, ale tę wam krwawo zdobywać przyjdzie...

— Zdaje się, że się do tego przygotowują—odpowiedział mistrz,—lecz mnie się o te sprawy nie pytajcie, bo mam wstręt do nich i nie rad się mieszam.

— Jednakże codzień się one o wasze uszy obijać muszą?—pytał Lauen.

— Tak, jednym uchem wlatują, a drugim dają im wyjść, aby mi głowy nie zaprzętały—mówił Grzegorz.

Lauen się zdawał namyślać i rzekł po chwili:

— Mnie one żywiej obchodzą, bom z nauką i książkami zerwałem i stałem się próżniakiem, a bądź co bądź, zięć Zygmunta jest moim panem. Albrecht jest mężem szlachetnym, mielibyście w nim dobrego sprzymierzeńca, a robicie go sobie wrogiem. Jest to człowiek silnej woli, wytrwały i czynny, niełatwo go spożyjecie, a Czech się on nie wyrzecz.

— Wszystko to może być—rzekł Grzegorz,—ale u nas ochota do wojny przemogła, wojsko się zbiera i albo już wyciągnęło, lub, jak sądzę, wkrótce wyjdzie do Czech.

— Spotka się tam z Albrechtowem — dodał Lauen.

O ile Grzegorz nie okazywał skłonności do rozmowy na ten ton nastrojonej, o tyle przybysz zdawał się ją chcieć w nim utrzymać. Uderzyło to w końcu mistrza.

Godzina i więcej przeszła na takich obojętnych pytaniach i odpowiedziach. Wstał w końcu Lauen i choć nie z wielką chęcią, zabrał się do odwrotu. Pomyślał trochę i siadł znowu.

— Wojna — rzekł, — jest zawsze klęską, wy jesteście przy królowej i królu, ja mam przystęp do Albrechta; cobyście rzekli, gdybyśmy spróbowali jej zapobiedz?

Grzegorz zdziwiony poruszył ramionami.

— Nie czuję się do tego powołanym—odpowiedział.

— Mówmy otwarciej—szepnął Lauen.—Zaufać wam mogę. Gdybym ja, przypuścmy, był wysłany dla wyrozumienia, czy się jaki środek pojednania i zbliżenia nie znajdzie?

— Musiałbym się z tem odnieść do królowej, lub do biskupa — rzekł Grzegorz, — bo ja tu nie mam ani znaczenia, ani głosu.

— Temu mi się wierzyć nie chce.

— Nie żądam ich — dodał Grzegorz — lecz mielibyście w istocie poselstwo tego rodzaju?

— Poselstwo, nie!—rzekł Lauen.—Lecz gdybym coś uczynił w tej sprawie, ufam, żeby mi król był wdzięczny.

— Nie widzę środka porozumienia się—odparł mistrz—bez jakiegoś wynagrodzenia za tę koronę, którą nam naród ofiaruje. Będę z wami również otwartym. Królowa matka jest spragnioną dla synów zdobyczy i podbojów. Nie będę jej sądził, ale o ile ją znam, wiem, że się bez okupu nie wyrzecz nadziei.

— Lecz i okup możeby się znalazł — rzekł powoli, mierzając słowa, Lauen.

— Jeżeli o pieniądzach mówicie i wynagrodzeniu niemi—przerwał Grzegorz—wiem, że one nie skuszą.

Lauen milczał, w stół patrząc długo. Oba jeszcze wahali się z wywnętrzeniem zupełnem. Niemiec dodał:

— Gdyby wola była do układów, środkiby się znalazły. Próbowaćby należało.

— Lecz z naszej strony pierwszy krok jest niemożliwy—wtrącił mistrz.

Zachwiał się dalsze w tym przedmiocie rozprawy. Spytany Lauen nie chciał się przyznać, że był wysłany od Albrechta.

— Ale to bije w oczy—rzekł mu Grzegorz.—Jakkolwiek ja w rzeczy rządowe się nie wdaję i nie rozumiem na nich... odgaduję, żeście tu do mnie nie dla odświeżenia wspomnień Heidelbergskich przybyli.

Lauen śmiać się zaczął sucho.

— Sądz sobie, jak chcesz!—zawołał.—Przyznać muszę, że niema w tem nic zdrożnego iść

z gałęzią oliwną i być zwiastunem możliwego pokoju.

— Lecz jestże on możliwy?

Naciśnięty raz jeszcze Lauen rzekł nareszcie.

— Cóżbyście powiedzieli na to, gdyby zamiast jednej korony dzisiaj, dwie się wam zapewniło w przyszłości? Jest to myśl moja. Król Albrecht syna nie ma, tylko dwie córki; spodziewa się wprawdzie jeszcze... ale najprawdopodobniej córka to będzie znowu. Dla dwu starszych—Władysław i Kaźmirz byłiby mężami pożądanymi... a po nich Czechy i Węgry wzięliby bez krwi przelew.

Grzegorz słuchał z uwagą. Myśl ta uderzyła go silnie; znajdował ją szczęśliwą, wielką.

— Albrecht zgodziłby się na to?—zapytał.

— Tak sądzę—mówił Lauen—pod pewnymi warunkami.—Żądałby zapewne od przyszłych zwycięstw sojuszu i pomocy.

Mistrzowi, im więcej rozważał, tem więcej się podobał pomysł Lauena, a raczej plan, z którym był wysłany, gdyż nie można było wątpić, iż tego z siebie wysnuć nie mógł. Podał rękę Niemcowi z wyrazem radości i przejęcia, których nie tail.

— Myśl jest wielka, piękna, szlachetna — rzekł—nie wiem i wątpię, czy ją zdołam przyprowadzić do skutku, ale dla niej ważyć coś warto. Zatrzymaj się tu, spróbuję.

— Nie będę jednak tail przed tobą — dołożył,—że przywiezienie jej tutaj, w chwili, gdy woj-ska nasze do Czech wychodzą, zdradza, że się nas obawiać. Jeżeli to uderzy innych, jak mnie...

Lauen się zmieszał.

— Cóż pocniemy?—zapytał.

— Myśl ta od was by wychodzić nie powinna—dodał Grzegorz.

— Poddajcie ją sami.

— Nie mam ani powodu, ani podstawy. Z tem

wszystkiem—odezwał się mistrz po namyśle—pozostańcie tu, dajcie mi czas, uśmiecha mi się to... będę ważył i próbował.

Podali sobie ręce.

— Tak—rzekł Lauen, wzdychając;—nie mylisz się, potrzebujemy nietylko pokoju, ale posiłków. Turcy nam zagrażają, Czechy się burzą. Nóż mamy na gardle.

— Idź do gospody — odrzekł Grzegorz — i mileż!

Rozstali się tak, a mistrz cały przejęty przywiezioną nadzieją sojuszu, natychmiast się udał do królowej.

Zanadto jednak pochlebiał sobie, sądząc się zdolnym do przebiegłego przeprowadzenia tego, co mu serce poruszało.

Przy wieczery, do której królowa matka, król, Kaźmirz młody, kanclerz i kilku starszych urzędników dworu zasiadło, nie licząc młodzieży rówieśnej, bez której Władysław obejść się nie mógł, zaczęto mówić o wyprawie do Czech.

Grzegorz przybrał wesołą twarz i począł mówić, jakby dworując, żartobliwie.

— Miłościwa pani! Po co by to nam ta wojna i zapasy! Ot, król Albrecht ma dwie córki, a u nas jest dwóch młodzieńców; posłaćby swaty, razem z oblubienicami dwie koronyby przyszły!

Królowa Sonka zadumała się trochę.

— Tak, nie byłoby to złem, ale córki młode, i oni młodzi; nimby do małżeństwa przyszło, długo czekać potrzeba... a wszelkie kontrakty i poręki niewiele ważą. Zresztą nie wiadomo, czyby Albrecht zgodził się na to.

Grzegorzowi wyrwało się nieopatrznie.

— Tak pewnym tego jestem, że gardłobym stawiał!

Zdradził się temi słowy i postrzegł to sam; chciał się poprawić, zawikłał...

Wszyscy nań patrzeli zdziwieni. Królowa matka, która o królestwach dla synów roila tylko, natychmiast po wieczerzy pozwała Grzegorza danym znakiem do siebie. Nastąpiła na niego, iż mówić nie mógł napróżno przy wieczerzy z taką pewnością o córkach Albrechta, gdyby myśli mu tej ktoś nie poddał.

Mimo całego swego rozumu, nieumiejący kłamać mistrz, brzydzący się drogami pokątnymi, przyznał się w końcu królowej, że pomysł ten w istocie nie wyszedł z niego, ale dawny towarzysz i znajomy z Niemiec, w rozmowie mu go na wiatr rzucił.

Królowa nacisnęła gwałtownie, dowiadując się o owego Niemca, i dobyła z Grzegorza, iż się jeszcze w Krakowie znajdował.

Z żywością, która się w niej objawiła, gdy chodziło o synów i zabiegi dla nich, mogące zdumieć biskupa, a dowieść mu, jak Sonka umiała chodzić około ich przyszłości, nakazała Grzegorzowi, aby Lauena nazajutrz do niej przyprowadził.

Poleciła mu tajemnicę jak największą. Odgadywała łatwo, iż to był wysłaniec Albrechta, a obawiała się, aby z kim innym o tem, jak z nią nie mówił; była zazdrosną. Nie chciała się dać wyprzedzić.

Im większa stawiała się potęga Zbigniewa, biskupa, tem ją goręcej chciała przeciwważyć wielką zabiegliwością swoją i niezmordowanemi staraniami.

Lauen, zapewniwszy się, że sam będzie u królowej, poprowadzony bocznymi przejściami, znalazł się wobec natarczywej, badającej niemiłosierdzie, wyzywającej na słowa królowej. Nie zdradził się jednak więcej, niż chciał. Nie miał zdolności Grzegorza z Sanoka, ale przebiegłości daleko więcej od niego.

Mistrzowi potem poleciła królowa rozmówienie się bliższe z Lauenem.

Myśl nie została odrzuconą. Dwie korony w miejscu jednej zachwiały macierzyńskim sercem. Spełniłyby się w ten sposób jej marzenia i przepowiednie.

Stanęło na tem, aby posłowie do układów wyprawieni byli z Launem do króla Albrechta. Nikt o tem wiedzieć nie miał. Wyprawić wszakże poselstwa nie można było bez wiedzy biskupa. Poza plecami jego królowa wszystko mogła przygotować, ale bez niego nie godziło się nie dokończyć, aby nie narazić męża tak wielkiego znaczenia i przewagi.

Biskup daleko radośniej przyjął wiadomość o projekcie, niż wybór Kaźmirza, któremu dotąd był przeciwny. Chętnie się godził na układy, na sojusz, na danie posiłków, byle Polska sama od wojny była wolną.

— Błogosławiona myśl — rzekł — jeżeli nie jest na to rzuconą, aby dać czas Albrechtowi, gdy my układać się będziemy, dopełnić koronacyi w Pradze i zniszczyć znaczenie wyboru.

Odgadł biskup przenikliwy, gdyż układy się przeciągnęły, spełzły na niczem, i Kaźmirz pozostał w domu, a wysłane wojska odbyły daremną wyprawę nie bez strat.

Wśród tych starań, których niepowodzenie królowej nie zrażało, gdyż zaledwie jedno spełzło na niczem, natychmiast rozpoczynała nowe jakieś zabiegi, czas upływał ręczę.

Nadszedł rok 1439.

Wiedziano w Krakowie, iż król Albrecht z Turkami staczał boje, które mu się nie szczęściły, gdy do królowej nadbiegł z Węgier poseł, oznajmujący jej, że w odwrocie z pod Smiderowa w Raseyi (Serbii), Albrecht, nagle zachorowawszy, umarł.

Pozostawała po nim młoda jeszcze żona, Elżka,

dwie córki, nadzieja trzeciego potomka, i na głowie słabej niewiasty, osieroconej, przerażonej, losy dwóch królestw, z których jedno zagrożone było potęgą pogan.

Prawie jednocześnie Turcy, którzy zamierzali rzucić się na Węgry, ślali posłów do Polski, ofiarując jej przymierze.

Wszystko to spadło nagle, niespodzianie jak grom; ale dla królowej było błyskiem, w którym ona wielką przyszłość dla synów ujrzała.

Sonka utrzymywała zawsze stosunki na Węgrzech, jak gdyby przeczuwała, że one jej posłużą do wyniesienia na tron jednego z synów.

Zaledwie poseł z nad Dunaju nadbiegł do Krakowa, gdy stąd już wierni słudzy królowej lecieli na Węgry.

Spelży wybór Kaźmirza w Czechach potrzeba było powetować w Budzie. Węgrzy musieli mieć króla i wodza; mogliż znaleźć dzielniejszego nad tego młodego rycerza, chciwego walk, który im z sobą mógł przyprowadzić zastępy polskie, potomków owego Zawiszy, którego imię brzmiało jako bohatera?

Królowa nie taila przed biskupem, iż pragnęła i starała się o to gorąco, ażeby Władysław w Budzie królem Węgrów był obrany.

Zdania się dzieliły, lękano się ściągnąć wojnę, wziąć nowe brzemie, ale tu nęciło tak wszystko, a młody król Władysław sam z taką niepomąganą żądzą boju wyrывał się na obronę chrześcijaństwa, iż panowie nie śmieli go powstrzymywać.

A matka przyciskała go do piersi i powtarzała:

— Idź i walcz!

Młodzież otaczająca, starzy rycerze, tysiące ludzi, którym wyprawy dalekie się śmiały, upojeni byli tą nadzieją, że pójda wojować z poganą.

Wielka większość przejęta była tym duchem,

a starsi panowie rady, z chłodnym rozumem, rachubą i rozważą prawie się odzywać nie śmieli.

Nikt też królowej nie mógł przeszkodzić do starania się o wybór Władysława, a gdyby nawet jawnie się sprzeciwiano, miała tysiące środków skrytego działania. Ludzie, pieniądze, listy, obietnice, wszystko teraz płynęło na Węgry.

Królowa matka, po niewieściemu, widząc jedyną przeszkodę we wdowie po Albrechcie, gotową była zamiast z jej córką, ożenić Władysława z nią samą.

Elżka miała lat trzydzieści, król zaledwie połowę jej wieku, lecz jeśli małżeństwo z Barbarą uznała możliwym, dlaczegożby po wnuczce jej córka nie mogła z kolei być swataną?

Wszystko to roztrząsało się gorączkowo, pośpiesznie, a dla Sonki nie było ofiary, na którąby się dla korony tej nie ważyła. Nikt nie śmiał się jej sprzeciwiać, milezano.

Znaczna też część panów, pochwyciona tym prądem, zaślepiła się na następstwa. Młody król, byleby mógł iść wojować, gotów był wszystko poświęcić.

On, dwór jego, mnodzy pochlebcy całymi dniami zbroili się w myśli, próbowali oręża, rozprawiali o Turkach i ich sposobie wojowania.

Właśnie też poselstwo ich do Krakowa zdążyło...

Dla biskupa była to chwila trudna, bo jako duchowny wszelkiemu sojuszwowi z niewiernymi przeciwnym być musiał, a jako kierownik spraw narodu w duszy znajdował go może pożyteczniejszem, niż wplątanie się w wielką i groźną wojnę.

Ale tu obowiązki względem zagrożonego chrześcijaństwa musiały brać górę nad interesem Polski. Papież, Paleolog, Włochy, słowiańskie ludy najechane i ujarzmione wołały o ratunek. Biskup Zbigniew zamilknąć musiał. Gotowała się wojna święta, krucjata nowa.

Czekano z Budy wieści z niecierpliwością wielką, nie odprawiając posłów tureckich i trzymając ich z odpowiedzią w zawieszeniu.

Świadek mimowolny tego zaprzątienia, wśród którego nikomu nie wolno było obojętnym się okazać, Grzegorz z Sanoka pozostał widzem raczej, niż czynnym współpracownikiem w robotach, do których nie czuł powołania.

Zapał, z jakim Władysław wybierał się już na Węgry w nadziei wojny, troskliwą o niego matkę zaczął trwożyć w końcu. Chłód Grzegorza, jego rozważa we wszystkim, zdawały się jej właśnie najstosowniejszymi u boku młodego zapaleńca. Z góry już więc postanowionem było, że mistrz, jako kapelan i spowiednik z Władysławem na Węgry pojedzie.

Jeszcze wiadomość o elekcji nie doszła do Krakowa, gdy ze smutnem w duszy przeczuciem poszedł Grzegorz odwiedzić Balcerów.

Sprawa monety szczęśliwie została zatartą ustępstwami. Hocz, wyrobiwszy sobie wziętość u mieszczan, spodziewał się zająć miejsce na ratuszu. Balcerowie byli spokojni.

Życie tu płynęło jednostajnie, niekiedy tylko odwiedzinami Grzegorza uprzyjemniane dla pani Frączkowej. Gniewała się ona na przyjaciela młodości, iż niedosyć często do nich zachodził, ale królewski towarzysz nie był panem swojego czasu. Nie podobało się jej i to, że dawniej wesoły śpiewak, smutniejszym był coraz i w sobie pogrążonym. Nie mógł się on na los swój uskarżać: obasytywano go łaskami, nie zbywało mu na nieczem, a jednak smutek coraz czarniejszy na zwiędłej malował się twarzy.

Na zapytanie Frączkowej, która zwykle od tego poczyniała, iż go badała o ten smutek, mistrz odpowiedział teraz, jak zawsze.

— Widzicie, jejmość moja, gdy kto z drogi zboczy, do której był urodzony i przeznaczony,

koniec jest zawsze taki. On z ludzi, a ludzie niekontenci z niego.

— O jakiejże to drodze mówicie?—zagadnęła Frączkowa.

— Do dworu i jego płatanin nie byłem stworzony, ale do ksiąg, papieru i spokojnej celi — mówił Grzegorz. — Tymczasem wszystko zwiastuje, iż się z tego ukropu nie zdołam wyrwać, a jeżeli Władysław zostanie królem na Węgrzech obrany, i ja będę musiał z nim do obcego kraju, do obozu, na wojnę.

Frączkowa westchnęła.

— Może go też nie obiorą!

— Wybrany będzie—przerwał Grzegorz— już dla tego, że królowa tam ma i wielkimi obietnicami jedna przyjaciół, już że to dla nich pożyteczne, a w końcu, że mnie nie mile. Rzucić więc przyjdzie kochany Kraków, do którego czy powrócimy, Bóg jeden wie; a co nas tam czeka!

Frączkowa lzy też miała w oczach.

— Sumienie nie pozwala—rzekł Grzegorz— królowej winienem wiele, a ona mnie tam widzieć chce. Czuję sam, iż niedoświadczonemu panu będę pomocą... iść więc muszę!

— Króla jeszcze nie obrano?

— Toczą się w Budzie narady, lecz lada chwila przybiegnie goniec, niosący koronę.

Nie mylił się mistrz. Powracając do zamku, spotkał w ulicach dworzanina królowej, który, Węgrów wyprzedzając na zziąjanym koniu, wpadł we wrota z wieścią pożądaną.

— Władysława w Budzie okrzyknięto królem Węgier! Ma zaślubić wdowę po Albrechcie!

III.

Wesoło i huczno obchodzono święta Bożego Narodzenia w Krakowie. Królowa Sonka odmłodziła, wszystko zdawało się skończonem szczęśliwie. Oczekiwano tylko uroczystego z Budy poselstwa. Wdowa po Albrechcie zgadzała się, przynajmniej pozornie, na poślubienie Władysława.

Wiedziano o niej, że była trzydziestoletnią niewiastą, lecz królowa utrzymywała, co potwierdzali ci, którzy ją dawniej widzieli, że córka cesarzowej Barbary była jeszcze wdzięczną i urodziwą, a nadewszystko urokiem mowy i oczu, obejmieniem się z ludźmi, umiejacą ich jednać sobie.

Wzięła po matce nie zalotność, którą tamta słynęła, ale przebiegłość, zręczność o dumę po ojcu. Królowa Sonka cieszyła się tą przyszłą synową, wdzięczną jej będąc za to, że się na małżeństwo zgodziła.

Nie mogło ono jednak wprzód przyjąć do skutku, aż po spodziewanej słabości, od której zależało wiele. Pogrobowy potomek Albrechta mógł być synem. Ale o tem królowa matka mówić nawet i przypuszczać nie dozwalała, boby oderwał Czechy i zachwiał może wyborem.

Ci, co z Węgier przybywali, nim poselstwo pośpieszyło, co innego opowiadali przed królową, inaczej szeptali po cichu.

Głośno zaręczano, że Elżka szła z ochotą za młodego króla, potajemnie powtarzano co Węgrzy mówili, iż łzami oblewała zapowiedź małżeństwa, od którego chciała się jakimbądź sposobem uchronić. Dla dzieci tylko zmuszoną była poświęcić siebie.

Władysławowi matka starała się wmówić, iż małżeństwo to będzie szczęśliwem, a młody król wcale o niem nie myślał. Zajęty był wojną, rycerstwem, większą swobodą, na którą się miał

wyrwać, dotąd krępowany nawykniem posłuszeństwa matce i biskupowi.

Uśmiechało mu się w towarzystwie młodych swych przyjaciół wyrwać się w świat i pełną pierśią oddychać. Zawczasu biskup Zbigniew zapowiedział, że króla na Węgry odprowadzi, ale tam miał już on sam pozostać.

Okolo zapust na ostatek ściągnęło wspaniałe poselstwo węgierskie, na którego czele jechał Jan, biskup Segedynu, Talosz, pan sławoński, Emeryk Marcelli, marszałek dworu i wielu innych magnatów.

Na spotkanie świetnego orszaku, wyjechał w imieniu brata Kaźmirz, z duchowieństwem i panami, a choć pora była resztkami zimy nachmurzona, z obu stron wesołość i ochocze bratanie się—kazały o tem zapomnieć. Stroje i uzbrojenia Węgrów, kilkunastu młodzieży, pięknej i bogato przybranej, której przewodził Michał Orszag, ściągały oczy ciekawych tłumów.

Grzegorz z Sanoka, który wśród dworu królewskiego wybitnego nie zajmował stanowiska, bo go nie pożądał i unikał ściągnięcia na siebie uwagi, mógł się tem lepiej i swobodniej przypatrywać wszystkiemu, szczególnie zaś wrażeniom młodego króla, który poczynił być dla niego zagadką.

W życiu Władysława przychodziła chwila przełomu, ochota wyzwolenia. Nie czuł się na siłach może do zupełnie samoistnego występowania, ale pragnął nareszcie mieć wolę swoją.

Zaledwie piętnastoletni, dojrzalszym był daleko, niż zwykle młodzieńcy bywają w tym wieku. Samo wychowanie pieczołowite rozwinęło go szybko, a w tym roku osiągnięta pełnoletność, złożona przysięga, czyniły go z prawa niezależnym.

Nie dziwnego, że korzystacby był chciał z tego. Lecz wszelkie pokuszenia, to matka, to biskup starym zwyczajem odtrącali i unieważniali. W mło-

dym panu rodziło to chętkę oporu, i pewną niecierpliwość.

Przybycie posłów pochwlebiało dumie z początku; po kilku dniach pobytu ich, gdy się rozsluchał i rozpatrzył — choć król nie dawał tego znać po sobie, zdawało się Grzegorzowi z Sanoka, że dojrzał w jego twarzy jakieś zafrasowanie i zniechęcenie.

Młodzi Tarnowscy, młody Tęczyński, którzy z Węgrami mogli otwarciej się rozmówić, biesiadować i dowiedzieć czegoś więcej nad urzędowe ich sprawozdanie, donosili królowi, co słyszeli. Mniej świetne strony tego panowania na Węgrzech powoli występowały.

W kilka dni po posłuchaniu, Grzegorz z Sanoka znajdował się przy królu na pokojach, a po rozejściu się znaczniejszej części gości zamkowych, pozostał z nim i Ryterskim, marszałkiem dworu, a nieodstępnyi prawie towarzyszami królewskimi, Mikołajem Strzegomią Chrzastowskim i Nerkandą z Sieciechowa.

Rozmowa toczyła się teraz prawie ciągle o przyszłej podróży na Węgry, do której czyniono przygotowania. Król więcej słuchał, niż mówił. Czasami, gdy mowa była o Turkach i wojowaniu przeciw poganom, rozgrzewał się nieco i okazywał ochotę ciągnięcia, lecz po namyśle posepniał i milczał.

Z tych, co z królem byli, pozostał naostatek tylko marszałek dworu, Ryterski, ten sam, którego niegdyś młodemu synowi Jagiełły kraj wyznaczył jako dozorcę i nauczyciela.

Król z nim był poufale i serdecznie, lecz Ryterski, oprócz dobroci serca i miłości dla pana, nie odznaczał się niczem, a najmniej umysłem przenikliwym. Z kolei słuchał królowej matki i biskupa, i spełniał ich wolę. Własnego zdania nie miał.

Pod pozorem jakimś Władysław odesłał mar-

szalka, chciał i Grzegorz z Sanoka odejść, bo godzina była spóźniona, lecz król dał mu znak, aby pozostał.

Byli sami. Władysław, jakby się zbierał coś powiedzieć mistrzowi, przeszedł się parę razy po izbie.

Widać było, że walczył z własną nieśmiałością, którą chciał pokonać.

— Wy mi sprzyjacie? wy mi dobrze życzyście? — zawołał, stając naprzeciw Grzegorza i rękę ku niemu wyciągając — nieprawdaż?

— Miłościwy panie? — odezwał się jakby z wyrzutem mistrz.

— Ja wierzę w to — rzekł pośpiesznie Władysław — i ufam wielkiemu rozumowi waszemu. Jestem w niepewności wielkiej i rozterce sam z sobą. Na wojnę radbym z duszy, ale na to królestwo węgierskie?

Popatrzył na Grzegorza.

— Każą mi się żenić z Elżką, któraby matką moją być mogła — dodał król — z kobietą, którą, wiem to, wcale mnie nie chce. Dwoje dzieci! Trzeciego się spodziewa! Ale ja nie chcę i nie myślę się żenić; ja chcę wprzód zdobyć sobie imię i sławę, ja mam moje królestwo i innego nie pożądam! Część Węgrów jest za mną, to prawda, ale wpływowy i przewagę tam mający Dyonizy, kardynał biskup Ostryhomski, ban kroacki, Gara, Jan Seez i Ulryk Cilly, są przeciwko mnie. Tej korony ja się będę musiał dobijać, przeciwko kobiecie i sierotom.

Zamilkł, patrząc na Grzegorza, który znalazł się w przykrem położeniu. To, co mówił król, on też myślał, ale królowa i nawet biskup Zbyszek sądzili inaczej.

Królowa pragnęła gorąco korony tej dla syna, biskup widział we Władysławie obrońcę chrześcijaństwa, a może i nie gniewał się za to, że podczas niebytności króla on sam królestwem rządzić

będzie. Nawyknienie do rozporządzania wszystkim, do dzierżenia i używania władzy, czyniło go jej żądnym.

Grzegorzowi nie wypadało na tę niespodzianą objawioną niechęć króla odpowiedzieć potakaniem. Lękał się. Z tem wszystkiem była to rzecz sumienia, a on nie należał do ludzi, coby z niem wchodzili w układy. Rzekł więc po krótkim namyśle.

— Miłościwy panie... ja się wcale temu, co mówicie, nie przeciwię... ale, jeżeli takie wątpliwości wam przychodzą, czemu ich nie objawiacie otwarcie królowej i biskupowi?

— Znajdujesz więc, że mogę mieć słuszość! — zagadnął król, zwracając się ku niemu, pilno a natarczywie patrząc mu w oczy.

— Tak! Są to słuszne przyczyny — odparł Grzegorz. — Ja, który na sprawach państw nie znam się i sędzę je po ludzku, powiedziałbym toż samo; ale ci, co patrzą z góry, co interes kraju więcej wazą, niż uczucia ludzkie, sądzą inaczej.

Z niecierpliwością jakąś król dodał poufalej.

— Powiadam ci, chce mi się dusznie na wojnę, ale serdecznie mi się nie chce być tym królem z łaski kobiety i ze szkoda jej dzieci. A jeśli królowa następcę męskiego na świat wyda?

Grzegorz milcząco skłonił głowę.

— Pamiętać jednak potrzeba o tem, — rzekł — że ani wdowa, ani niemowlę, ani Cilly z kardynałem nie obronią Węgier od napaści tureckiej, że tam potrzeba dzielnego rycerza, a z nim rycerstwa, bo inaczej nie Węgry same, ale świat chrześcijański będzie zagrożony. Obok tej wielkiej sprawy ocalenia wiary... cóż znaczą inne? — co znaczy małżeństwo osobiste względy i... i ofiara?

Władysław westchnął.

— Oni mi też to mówią ciągle — dodał król. — Lecz cóż przeszkadza, abym ja z rycerstwem pol-

skiem poszedł w obronę krzyża, nie wiążąc się z tą kobietą?

— Miłościwy panie — przerwał Grzegorz, któremu ta rozmowa ciężła. — Mówicie po rycersku, czujecie szlachetnie, miejcie odwagę otwarcie to powiedzieć!

Zmieszał się nieco młody pan.

— Mój Grzegorzu — rzekł — ja jestem młody. Ty wiesz najlepiej, oni — matka, biskup i wszyscy mają mnie za młodszego jeszcze, niż jestem... za dziecko. Królowa mi mówić nie da, a biskup zważać nie będzie na to, co powiem.

— Tak — odezwał się Grzegorz — raz pierwszy gdy to posłyszają, mogą lekceważyć, lecz obstając przy swoim, zmusicie, aby zdanie wasze poszanowano. Tymczasem korona już tak jak przyjętą jest, posłowie się tem cieszą, trudno będzie się cofnąć.

— Nie! nie! — rzekł namarszczony Władysław — ja się żenić z nią nie chcę. Pójdę, będę z Turkami wojować, będę im służyć rycersko, ale, tobie to powiadam tylko, jeżeli ożenienie będzie do korony warunkiem, żenić się nie chcę! nie mogę! nie ożenię!

Coraz gwałtowniej mówił pod koniec król, i jakby się sam uląkł swojej śmiałości i otwartości, zbliżył się do Grzegorza, na ramionach mu ręce położył, i dodał:

— Chciałem mówić z tobą, nie zdradzajcie mnie! Widzę i czuję, że ty to tak czujesz i rozumiesz, jak ja. — Wydartej dziecku i kobiecie korony nie chcę!

Na Węgry pojedziemy! ale tam znajdę sposób uniknięcia małżeństwa i przywłaszczenia!

Szlachetne te uczucia młodego pana, taką radością nappełniły mistrza, iż ukryć jej nie umiał. Spojrzeniem jednym Władysław mógł się przekonać, że Grzegorz podzielał jego myśli, że je po-

chwalał. To mu dodało odwagi i czoło się wyjaśniło.

— Tak—powtórzył król.—Nieuniknioną już zdaje się podróż na Węgry. Posłowie pojechali do królowej... czekamy tylko ich powrotu. Biskup się oparł zawieraniu traktatu z Turkami. Ojciec św., cesarz Paleolog, Włosi nalegają; pójdziemy bronić chrześcijaństwa.

— I wy ze mną?—dodał pośpiesznie w końcu.

— Na cóż się ja tam przydam? — wtrącił mistrz.

— Abyście mnie dodali odwagi, a gdybym uwieść się dozwolił żądzą panowania i dumą, przypomnieli mi te słowa moje.

Zaledwie dokończywszy tego poważnego wynurzenia się, Władysław jak gdyby mu ciężar wielki spadł z piersi, zwrócił się do swoich ulubionych marzeń.

— Ze wspańiałym i dzielnym wyruszymy orszakiem—począł. Tak pięknego, tak uzbrojonego wojska, jak nasze, jeszcze Węgry nie widziały. Staramy się o to, abyśmy tam wstydu sobie nie uczynili.

— Widzieliście moich przybocznych... moich druhów i towarzyszków! Co to za zastęp żelazny! Co za konie! rynsztunki, zbroje, rzędy i oręże. A! gorączka mnie porywa, gdy myślę o tem. W pole! w pole!

Uśmiechnął się Grzegorz.

— Widzicie, miłościwy panie, że wyprawa na Węgry uśmiecha się wam i pociąga!

— A! tak—zawołał król, nagle smutniejąc—ale gdy pomyślę o ożenieniu, o sierotach, o przekleństwach i złorzeczeniu, które spadną na mnie, wiesz! wyrzekłbym się nawet wyprawy, aby być wolnym od jarzma tego!

Wzdrygnął się młodzieniec.

To pierwsze wylanie się przed Grzegorzem, niespodziane dla niego, otworzyło mu oczy. Ina-

czej poglądał teraz na swojego wychowanka. Nie znał go dotąd dobrze, i miał też za dziecko; objawił mu się w nim człowiek.

Pilno potem przypatrywał się mistrz postępowaniu jego z matką i biskupem, lecz dostrzedz w nim nie mógł żadnej zmiany. Zdawało się, że Władysław, śmiały z nim, przed matką i opiekunem tracił odwagę i otwarcie się im nie przyznawał, co myślał.

Na dworze tymczasem zabawiano się wesoło i przyjmowano węgierskich panów. Biskupa Segedynu ugaszczal Zbigniew, a prałat węgierski miał czas zjednać sobie Oleśnickiego, wystawiając mu potrzeby całego chrześcijańskiego świata i pokładane na Polsce nadzieje. Z każdym dniem Zbigniew więcej się skłaniał do tego, aby koronę przyjąć i dać dzielną pomoc Węgrom.

Gdy się to działo, a Grzegorz nasz, zawsze stojąc na uboczu, nie mieszał się czynnie do dwóch obozów, które się na dworze zarysowywały, królowa matka zagadnęła go wieczora jednego, zobaczywszy mileżącego w ciemnym kątku.

— Wybadajcie Władysława; chmurzy mi się, co mu jest? Radabym go widzieć szczęśliwym. Wszystko idzie po myśli. Nie wiecie przyczyny, dlaczego mi dziecko posmutniało?

— Miłościwa pani—odparł ośmielony mistrz—może dlatego, że się już nie czuje dzieckiem.

— Co to znaczy?—przerwała, rumieniąc się, Sonka.

— Wy, jako matka, możecie go wybadać, jam obcy—dodał mistrz.

— Nie wiecie o niczem?—spytała królowa.

— Domyślam się tylko, że młodemu panu, szlachetnego serca, nie chce się może starszej od siebie wdowie, mającej dzieci, narzucać za pana i męża. Między Węgrami krążą wieści, że wdowa zmuszona tylko przystała na podzielenie się

koroną; mogło coś dojść do króla. Pytajcie go! — rzekł Grzegorz z Sanoka.

Królowa łatwo się niecierpliwiła, pokraśniała, słuchając i uderzyła nogą w posadzkę.

— Plotą niechętni baje! Nie może to być, aby Elżka go nie chciała! Jest że na świecie kobieta, któraby Władysława mogła odepchnąć? Piękniejszego, szlachetniejszego króla niema na ziemi. To perła!

— Tak, miłościwa pani, lecz dzieci matce od pereł są droższe, a wy to wiecie najlepiej.

Zadumała się królowa Sonka.

— Wy go wybadajcie — rzekła.

— Nie mam prawa ani umiejętności po temu — odezwał się Grzegorz. — Za złyby mi wziął mieszanie się do tych spraw.

Z niechęcią, ruszywszy ramionami, królowa odstąpiła krok i wróciła nazad.

— Więc i wy zapewne słyszeliście — rzekła — co ta gawiedź węgierska plecie? Ale to gawieź i ciury! Ani biskup Jan, ani Orszag, ani poważni posłowie nigdy o tem nie wspomnieli.

— Nie mogli mówić przeciw sobie — dodał Grzegorz.

— Wy w to wierzycie? — przerwała królowa.

— Mnie się zdaje prawdopodobnem, że matka broni interesu dzieci! A jeśli syna wyda na świat?

Nie doczekawszy końca, Sonka zawołała gwałtownie.

— Nie może to być! Nie może! Miała dwie córki! Syna mieć nie będzie!

Mimowolnie uśmiechnął się Grzegorz.

Królowa Sonka zrażona, odstąpiła dumnie, rozmowy już nie przedłużając. Grzegorz się usunął do swojego kąta.

Z żywą niecierpliwością oczekiwano gońca z Węgier, który miał dać znać o spodziewanem wkrótce rozwiązaniu. Z każdą chwilą wyglądano

stanowczej wiadomości, na którą i posłowie węgierscy, i królowa z trwogą oglądać się musieli.

Biskup, Jan Segedyński, jeden utrzymywał zawczasu, że gdyby nawet syn na świat przyszedł, nie mogło to zachwiać wyborem króla Władysława. Przewidzianem to było i przeznaczono dla niego dział austriacki i Czechy. Polski król miał pozostać razem węgierskim.

Jednej nocy wreszcie zastukano do wrót zamkowych. Straż, wołając o hasło, dowiedziała się, że goniec ów od tak dawna już upragniony przybywał. Na Wawelu spali wszyscy, zbudzono tylko marszałka dworu, Ryterskiego, a ten z listy i słownem doniesieniem wszedł do Grzegorza z Sanoka, u którego jeszcze lampka się paliła, bo uczony śleczył nad księgą.

Ryterski przychodził, w niepewności co czytać miał, spytał mistrza, czy wypadało budzić królową dla posłańca z Węgier.

— Miły panie — rzekł, wstając z za pulpitu mistrz — jeżeli jej macie co dobrego zwiastować, budźcie; jeżeli złe, nie śpieszcie. Dowie się zawsze za wcześnie.

— Cóż goniec przynosi?

Ryterski zżymnął ramionami.

— Narodził się pogrobowy syn Albrechtowi!

— Syn! — wykrzyknął Grzegorz. — Nie macie po co budzić królowę.

— Tak — odparł marszałek — wiadomość nie będzie pożądaną, ale trudno poradzić na to!

Jednym więc z pierwszych Grzegorz dowiedział się, że los, który zawsze ludziom na przekór sprowadza to, czego sobie nie życzą, dał Elżbiecie syna po śmierci ojca. Dla biednej wdowy było to pociechą, dla królowej Sonki troską wielką.

Jak dzień komornik króla, który o brzasku wstawał i szedł swoje sokoły oglądać a konie,

przybiegł do Grzegorza, Władysław go wzywał do siebie.

Zastał go w rannem ubraniu, z twarzą wesołą.
— Wiesz—zawołał—Elżka ma syna, a ja doskonały sposób wycofania się! Dziecku jej nie mogę odbierać korony.

— Tak, miłościwy panie—rzekł mistrz—ale w układach, które przywiózł biskup z Segedynu, stoi ten wypadek przewidziany, a wyście przyjęli warunki!

— Nie chcę ich! — przerwał król — nie chcę! Nie mogę!

Zaledwie zamienili tych słów kilka, gdy królowa Sonka, w sukni zaledwie narzuconej i chustce na głowie, ukazała się we drzwiach.

Oczyma zmierzyła ich obu. Grzegorz cofnął się chciał, król skinął, aby został.

— Elżka ma syna! — poczęła królowa głosem drżącym. — Któż wie? Może go jej podłożono umyślnie. Ale to nic nie znaczy... nie.

— Owszem, dla mnie to znaczy bardzo wiele—śmiało odezwał się król, patrząc na mistrza, jakby go na pomoc wzywał.—Ja nie chcę dziecku odbierać korony, nie chcę!

Oczy królowej zapaliły się gniewem.

— Monarchowie i prości ludzie, a nadewszystko ci, co rycerzami się chcą nazywać — rzekła ostro—powinni dotrzymywać słowa! My i ty przyjęliśmy warunki, przywiezione przez posłów. Ten dzieciak weźmie sobie księstwo Austrii, no i Czechy,—dodała z niechęcią—a ty koronę węgierską!

Młody król zamilkł, lecz twarz mu się zmieniła. Miał wielkie poszanowanie dla matki, nawykł był do posłuszeństwa, lecz widziała, iż opór stawić będzie. Nie spotkała go dotąd u dzieci i rumieniec na twarz jej wystąpił. Przeszła się mileżąca po izbie i z kolei ona też zwróciła się, jakby w pomoc powołując, do Grzegorza z Sannoka.

— Powiedzcież wy królowi—odezwała się—że co raz się przyrzekło, tego cofać nie można.

— Miłościwa pani — odparł mistrz — właśnie to mówiłem królowi przed chwilą, ale też powie dzieć muszę, że szlachetnego jego uczucia miłości dla sieroty i wdowy—żaden człowiek nie potępi.

— Co za wdowa, jaka sierota?—wybuchnęła Sonka.—Powinna się czuć szczęśliwą, iż takiego męża dostanie, a jej dzieciak takiego ojczyma! Nie ma się co użalać nad jej losem, ale go chyba za zdrościć!

Na to namiętne wystąpienie królowej trudno było odpowiedzieć, nie czekała też odpowiedzi i wyszła zagniewana.

Od rana dnia tego na zamku rozpoczęły się biegania, powoływanie rady, wyprawianie posłów. Panowie zjeżdżali się na zamek. Królowa wzywiała swoich, Sędziwoja Ostroroga i Jana z Koniępola.

Biskup Zbyszek z gościem swym, biskupem Janem, znaleźli się po Mszy na pokojach. Nadbiegli i inni posłowie.

Król zagadnięty przez Oleśnickiego, odważnie mu oświadczył, iż korony nie chce, że ona wydarła sierocie wstręt mu czyni.

Zmarszczył się Zbyszek, lecz nie nad to odpowiedzieć nie umiał, jak że na pierwszym względzie była obrona przeciwko niewiernym, a spadek pogrobowca na szalę z nią iść nie mógł.

Zwołano radę dnia tegoż, ale nim się zjechali panowie, królowa starała się wprzód wydzierać i mówić z nimi, aby ich sobie pozyskać. Pomimo to, w pierwszej chwili podzieliły się zdania. Niektórzy już wiedzieli, a raczej domyślali się królewskiego wstrętu, i szli za nim, inni z królową i biskupem. Na prawie równe dwa obozy rozłamała się rada.

Na Węgrzech widać było niewymowny strach i niepokój. Groziły im nie tylko utrata posiłków,

jakich się w rycerstwie polskim spodziewali, ale zemsta stronnictwa królowej Elżbiety i tych wszystkich, co z nią i Cyllym Ulrykiem trzymali. Powstały lamenta i gwałtowne odwoływania się do zawartych umów.

Przez cały dzień ten nie ustawała niepewność. Król się opierał, ani matka ani biskup niechęci jego do tego małżeństwa przełamać nie mogli. Unikał nawet mówienia o tem.

Oleśnicki powołał do siebie Grzegorza z Sanoka, o którym wiedział, iż blizkim był młodego króla.

— Wpłyńcie na niego — rzekł. — Nie godzi się dla jakichś względów podrzędnych spuszczać z oczów sprawy najwyższej wagi. Turcy opanowali już Adryanopol, cisną się zalać i ujarzmić Europę, grożą cesarzowi w Konstantynopolu, grożą nam i całemu chrześcijaństwu, murem powinniśmy stanąć przeciw nim.

— Król gorąco tego pragnie — rzekł Grzegorz — ale małżeństwem się brzydzi, a ja do niego namawiać go nie mogę.

Oleśnicki się zmarszczył.

— To są płache względy; — rzekł — krzywdą się nikomu nie stanie. Warunki zostały przyjęte.

— Ja na króla wpływać nie potrafię — przerwał Grzegorz — to rzecz królowej matki i wasza, miłościwy pasterzu. Słowo moje nie zaważy.

Z tem odszedł mistrz. Wieczorem król trwał jeszcze nieporuszony w swem postanowieniu.

Królowa, widząc, że inaczej go nie pokona, rzuciła się w inną stronę. Zwołano rówieśników i towarzyszków króla: Tarnowskich, Tęczyńskich, Zawiszów. Wszystkim im żal było tej rycerskiej wyprawy, na którą się gotowali wielkiem sercem. Im poleciła Sonka, aby króla nawracali.

Przez cały też dzień następny, otoczony zasmuconemi twarzami i utyskiwaniami swych rówieśników, król począł żałować tego, że na wojnę

przeciwko niewiernym nie wyjdzie. Widać było wahanie. Szukał jakiegoś środka, któryby dozwolił i na Węgry iść, i małżeństwa nie zawierać.

Ta wojna z niewiernymi, która krucyatą być miała, sławną na świat cały, przez Rzym pobłogosławioną, zwycięską, miała tyle dla młodych uroku!

Grzegorza z Sanoka nie powołał już król do siebie.

Węgrowie tymczasem, nie tracąc chwili jednej, zabiegali na wsze strony. Doniesiono im o panach, którzy odradzali przyjęcie korony; udali się do nich, jednych błaganie, drugich ujmując obietnicami.

Sam biskup czynnym był wielce i gorliwym. Niektórzy w radzie dali się jego powadze ująć, inni zamilkli.

Zbierano się kilka razy, rozchodzono z niczem. Król milczał. Stronnictwo jego zmniejszało się, królowej rosło. Nie starając się syna przekonać, Sonka znajdowała stosowniejszem zyskać radę i jej zdaniem zmusić króla do przyjęcia korony.

Wszystkie więc zabiegi skierowane były ku tym, co jak Jan z Tęczyna i kilku poważniejszych, króla dla siebie mieć chcieli, a Węgier się wyrzekali. Ci wkrótce pozostali w zmniejszającej się coraz garstce, i odzywali coraz słabiej, mniej głośno. Stronnictwo królowej przemagało.

Unikając nalegania, którego się obawiał, król Władysław wyjechał na łowy, gdyż roku tego zima się przedłużała i trzymała ziemię pod śnieżną skorupą, chociaż zbliżała się już druga niedziela postu.

Pod niebytność króla w końcu na radzie przewagę wziął biskup Zbyszek i posłów węgierskich uspokojono, że król przyrzeczenia dotrzyma.

Powracający Władysław, pomimo spóźnionej pory, zastał matkę oczekującą na siebie. Oznaj-

miła mu bez przygotowania, stanowczo, iż wola było wszystkich, zdaniem rady, aby umowa utrzymana została.

Zmarszczony, milezący, Władysław wysłuchał tego wyroku. Nie mógł się razem matce i wszystkim sprzeciwić, lecz okazał, jak był nierad postanowieniu temu.

— Moje więc szczęście i przyszłość nie tu nie ważą? — odezwał się.

Z pieszczotliwym wyrazem, głaszcząc go pod brodę, zbliżyła się matka.

— Będiesz szczęśliwym, będziesz wielkim i sławnym! — zawołała. — Szczęście królów jest w ich potędze... i w błogosławieństwie ludów, a ciebie niejeden naród, ale cały świat chrześcijański wielbić i wynosić będzie, bo mu poświęcisz siebie. Co dla ciebie znaczy ta kobieta!

Ruszyła ramionami.

Nazajutrz powtórzyło się to samo z biskupem i przedniejszymi panami rady, którzy przyszli przekonywać, prosić, błagać, aby koronę przyjął.

Władysław był piętnastoletniem dzieckiem rycerskiem. Daleko silniejszej woli i charakteru człowiek uległby być może takiemu naciskowi, natarczywości, domaganiu się, prośbom i pochlebstwom. Smutny, zawstydzony własną słabością król mileżał i nie sprzeciwiał się już.

Głoszono, że przystał na wszystko. Wieść ta, rozpuszczona po mieście, złamała tych, którzy chcieli popierać Władysława.

Jeden Jan z Tęczyna sam przyszedł do króla ze współczuciem i żalem... a wychodząc od niego, spotkawszy biskupa Oleśnickiego, rzekł mu:

— Stanie się, jakoście chcieli, pasterzu, lecz pomnijcie słowa moje: bogdajbyście kiedyś nie żałowali tego, żeście gałązkę jagiellońskiego szczerpu najdroższą, z ziemi, na której rosnąć i krzewić się była powinna, wyrwali!

Nazajutrz była to druga niedziela postu; jakby chciano postanowienie uczynić nieodwołalnym, biskup w katedrze na Wawelu zarządził uroczyste dziękczynne nabożeństwo. Biskup Jan z Szegedynu, wszyscy posłowie węgiercy, mnogi tłum ciekawością ściągniętych ludzi nappełnił świątynię. Król młody, królewicz Kaźmirz, królowa matka, dwór świetny i liczny, znajdowali się, przytomnością swą uświęcając ogłoszone korony przyjęcie.

Z kościoła wszyscy wprost szli do sali białej na zamek, gdzie król na tronie miał przyjmować węgierskich posłów. Weisnęli się do niego i ciekawi Turcy, oczekujący jeszcze na odpowiedź dla pana swego. Wymowniejszej nad to, co ujrzyć mieli, dać im nie można było.

Skończywszy przemówienie do Władysława, sędziwy biskup Jan dał znak swym towarzyszom i wszyscy padli na kolana przed młodym królem, błagając, aby ich nie opuszczał. To niespodziane upokorzenie się wzruszyło króla. Powstał z tronu, bledniejąc i rumieniejąc się naprzemiennie.

— Bóg mi świadkiem, — zawołał, podnosząc oczy — iż nie dla żądzy panowania, nie dla ziemskich widoków przyjmuję ofiarowaną mi przez was dostojność, ale dla dobra chrześcijaństwa, dla obrony wiary.

Głos mu drżał i piękna twarz młodzieńca wyrażała taki jakiś zapal rzewny a smutny, brzmiało to taką ofiarą wielką a szlachetną, że nawet królowej Sonce, stojącej zdala na podwyższeniu, łzy się w oczach zakręciły.

Była to chwila uroczysta, w której niepojętym sposobem serca się wszystkim poruszyły jakimś przeczuciem bolesnem. W głosie króla brzmiało jakby jasnovidzenie męczeństwa i poświęcenia.

W takim uroczystym podniesieniu ducha, pocichu opuścili wszyscy salę i po chwili dopiero wybuchnęły zapal, radość i wdzięczność Węgrów.

Biskup Szegedynu nazajutrz powtórnie po wszystkich kościołach nabożeństwa dziękczynne odprawiać polecił.

Stało się, lecz Polacy, wyjąwszy młodzieży, rwącej się do boju i chciwej przygód, teraz dopiero, gdy młodego króla postradać mieli, nie wiedzieć na jak długo, poczęli przewidywać, że ciężkiem będzie dla nich osierocenie.

Własne sprawy domowe wymagały oka gospodarza, a młody król w chwili, gdy się miał z niemi oswoić i uczyć panowania, opuszczał kraj, oddając się innemu narodowi.

Zostawała królowa, biskup i po staremu panowie małopolscy do rządzenia, żadnej nadziei, aby się co zmienić mogło. Nie zbywało na tych, którym wielkorządy wojewodów nie były do smaku, a odwołanie się do pana pożądanem. Trwać więc miało bezkrólewie owo długie... bez końca!

Młodzież tylko widziała w tem wszystkim zręczność popisu z rycerską dzielnością, zobaczenia świata, zdobycia imienia. Pomiedzy nią panował zapał nadzwyczajny, radość, gorączka, którą Węgrowie opowiadaniem o kraju swym, jego bogactwie i piękności, podsycałi.

Król nawet, z początku smutny, dał się ożywić i temu usposobieniu, które go otaczało, pociągnąć.

Przy pierwszej jednak zręczności, spotkawszy Grzegorza z Sanoka, uczuł potrzebę wytłómaczenia się przed nim ze zmiany.

— Kochany mistrzu — rzekł łagodnie — nie potępiaj ty mnie. Uległem, prawda, idziemy do Węgier, ale wszystko się może obrócić inaczej. Ja żenić się nie będę potrzebował i do korony jeszcze daleko!

Grzegorz nie powiedział nic, porozumieli się wejrzeniem tylko.

Wybór w podróż, której towarzyszyć mieli najprzedniejsi z panów i szlachty polskiej, pomimo

przynaglania i pośpiechu, nie mógł się odbyć tak skoro, jak żądano. Każdy z panów, z Tęczyna, z Koniecpola, ze Szczekocin, brał z sobą poczet znaczny, wozy i czeladzie, obfity rynsztunek wojenny, a wreszcie i bez grosza ruszyć nie mógł. Rozbiegli się wszyscy po dworach zbierać, ścigać, układać, co z sobą mieć musieli.

Królowa nastawała, ażeby orszak syna jej był jak najświetniejszy i wielkie dał pojęcie Węgrom o bogactwach i potędze Polski. Sama ona z biskupem i królem dobierała osoby, które jechać miały do Węgier.

W pierwszej chwili dla powagi, dla układów, dla zabezpieczenia się na przyszłość, biskup Zbigniew był koniecznym. Sam on zgadzał się na to, aby króla odprowadzić do Budy, tembardziej, że i on i królowa, choć taili się z tem, wiedzieli dobrze, iż królowa Elżbieta nie chciała znać narzuconego jej męża, i siłą tylko wymożono od niej zezwolenie na małżeństwo, z warunkiem, gdyby nie miała syna.

Nie było wątpliwości, że wydawszy go na świat, tembardziej się oprze wyjściu za mąż.

Biskupowi miał towarzyszyć dziekan krakowski, Lasocki i podkanclerzy, Piotr ze Szczekocin. Jan z Tęczyna, wojewoda krakowski, Przedbor z Koniecpola, kasztelan, Wincenty z Szamotuł, Hincza z Rogowa, Mikołaj z Brzezia, marszałek, Łukasz z Górki, wyznaczeni byli do orszaku poważnego, nie licząc młodzieży najpierwszych domów, najstarszych rodów. Węgrowie naglili o pośpiech, o wyjazd, słusznie się lękając, aby zabiegliwa królowa nie zyskała sobie przyjaciół, nie utrudniała królowi objęcia rządów.

Tymczasem spiknęła się i rzeczywiście pośpiechowi uparta zima, a raczej zbyt powolnie przychodząca wiosna, która się to obiecywała, to dawała zimie zwyciężać. Wody rozlewały szeroko, a lody stały i trzymały się jeszcze. Po odwilżach

i deszczach chwytaly mrozy silne. Podróż zwłaszcza ku Węgrom, w okolicach górzystych, strumieniami a rzekami poprzerynianych, stawała się niepodobieństwem.

Potrzeba było czekać, a w owym czasie zabobonów, gdy wszystko uważano na znak z nieba i przestroge, spóźniona wiosna była jakby oznajmieniem, iż król jechać nie był powinien.

Takich złych wróżb naliczono później bardzo wiele.

W istocie przeszkody do podróży się mnożyły. Z Litwy nadeszła wieść o zamordowaniu wielkiego księcia Zygmunta, którego na Wilnie potrzeba było zastąpić nowym wielkorządcą, a dwa wrogie sobie obozy dzieliły na nieprzejednane zastępy, występujące do walki.

Królowa Sonka pamiętna zawsze, aby los synów zabezpieczyć, natychmiast powzięła myśl usunięcia obu stronnictw, a wysłania tam Kaźmirza, któryby w imieniu brata Litwą rządził. Nie mówiła o tem w pierwszej chwili, ale mając w Litwie przyjaciół i stosunki, znając ją dobrze, potajemnie wyprawiła swoich ludzi, aby namawiali Litwę do wezwania i dopraszania się o Kaźmirza.

Ponieważ współcześnie prawie mazowiecki książę zajechał dawniej posiadany Drohiczyn, i obie te sprawy wymagały pilnego czuwania, król w początku spróbował niemi się od Węgrów uwolnić.

Lecz nie dała mu królowa mówić o tem nawet. Wszystko było w gotowości, panowie mający towarzyszyć ponieśli wydatki znaczne, podróż była zapowiedziana, cofać się nie godziło.

Nie brakło ludzi, co mogli zastąpić króla.

Wszystko zdawało się przychodzić w pomoc Władysławowi, aby go uwolnić od korony, lecz zapóźno.

Goniec nadbiegł z Węgier, zawiadamiając o tem, że królowa w Komornie, otoczona doradcami austriackimi, mająca z sobą Cillego i Garę,

posłów Węgrów, których do niej wysłano z Krakowa oznajmując o Władysławie, kazała uwięzić.

Było to wypowiedzenie wojny!

Za węgierskimi postami w ślad jadący do Elżbiety Polacy, Sędziwój Ostroróg i Jan z Koniopola, dowiedziawszy się, co tamtych spotkało, przeźornie zawrócili się z drogi, nie nie sprawiwszy.

Powrót ich wywołał ogromną wrzawę. Królowa, mimo, że to byli jej pomocnicy i przyjaciele, przebaczyć im tego nie mogła, że się ulekli; dowodziła, że jechać do Komorna, bądź co bądź, byli powinni, i starać się przekonać królowę Elżbietę.

Znowu parę dni zapanowała niepewność. Król wahał się, dowodząc, iż wszystko się składało przeciwnie do podróży. Węgrowie przy swoim stali, a co dziwniejsza, biskup Zbigniew trzymał z nimi i dowodził, iż byłoby słabością i sromem uleknąć się i nie strzymać słowa. Wprawdzie królowa Elżbieta siłą postanowiła się bronić, ale stronnictwo jej było słabszem, król prowadził z sobą wojsko, Węgrzy, którzy go na tron wynieśli, stanowili także potęgę, z którą garść zwolenników królowej mierzyć się nie mogła.

Wyprawa jednak cała, która niedawno zdawała się pochodem zwycięskim, teraz już jawnie zapowiadała walkę o koronę.

Biskup Jan Szegedyński zapewniał jednak, że dosyć będzie Władysławowi pokazać się tylko, aby sobie wszystkich pozyskać. Toż samo powtarzała matka, a rycerstwo otaczające króla, domagało się walki właśnie i niemal nią cieszyło.

Wiosna zawsze się jeszcze opóźniała. Od granic przychodziły wiadomości o ogromnych wód wylewach, o niemożności przedarcia się tam. Wspaniały orszak, ciężkie ładowne wozy czekać musiały.

Na zamku, w podwórcach wyglądało wszystko

tak, jakby jutro miano w imię Boże wyruszyć, ale nawet królowa, niecierpliwiąca się i pożądata, aby syn co prędzej uzyskał koronę, nie śmiała namawiać do podróży.

Wiosna nie przychodziła.

Natomiast usłużni gońcy od granic codziennie przynosili nowe wiadomości o królowej Elżbiecie, która z Cillym Ulrykiem, Garą i Austryakami, sposobila się stawić opór i odwoływała do pomocy cesarza Fryderyka. Utrzymywano, że Cilly w pięćset koni już był się wyprawił zająć Budę dla królowej, gdy go biskup, Szymon Rozgon uprzedził.

Rozpowiadano, że na wszystkie strony rozsylała królowa z listami, obietnicami, i korzystała z czasu, aby polskiemu wybrańcowi zatamować drogę.

Nie mówiono o tem głośno w Krakowie, wcale przeciwnie puszczać pogłoski. Niemniej wiedział biskup Zbyszek i królowa, że układy, na które pozornie tylko Elżbieta przystała, zerwane przez nią zostały.

Można było przewidzieć, że powrót do Polski nie nastąpi rychło. Ostatnie dni zajęło wyznaczenie wielkorządców. Przy królowej w Krakowie, po usunięciu Pileckiego, panem krakowskim i starostą został Jan z Czyżewa, do Wielkopolskijechał dawny marszałek dworu królowej, oddany jej i synom, Wojciech Malski.

IV.

Wojna o węgierską koronę była, powiedzieć można, walką dwóch matek, dwóch królowych o losy ich dzieci. Sonka i Elżbieta stały naprzeciw siebie, a królowa polska oddalona od miejsca,

w którym dramat się miał odegrywać, potrzebowała większego wysiłku, przebiegłości, czuwania, niż Elżbieta, wdowa po Albrechcie, mająca za sobą i prawo spadku i znaczną gromadkę przyjaciół zmarłego męża, którzy przy niej spodziewali się panować, opiekując dziećmi.

Posłowie do Polski wyprawieni, biskup Szegedynu, Talloczy, Peren i Marczalli zapewniali w Krakowie wybranego przez siebie pana, że wdowa zgodziła się wyjść za niego, zamieczeli wszakże, iż do ostatka kładła za warunek, jeśliby syna nie miała, a głos jakiś proroczy mówił jej, że Bóg da syna!

Około niej skupiali się wierni, hr. Ulryk Cilly bratanek, Gara i wielu innych austriackich szczególnie panów. W Czechach też jednała sobie zwolenników i poparcie miast niemieckich.

W końcu roku 1439 królowa przebywała w Wyszehradzie. Towarzyszyli jej tu biskup Rabski Benedykt, wojewoda Losonez, sędzia nadworny Stefan, hrabia Franciszek Csak, Stefan Rozgon, Peren i wielu innych panów, którzy wierni jej pozostali. Korona poświęcona królewska znajdowała się w skarbcu. Szło Elżbiecie, aby ją miała w ręku. W przytomności panów otworzono skarbiec, złamano pieczęcie pudła, w którym spoczywała korona i wyjęto ją. Złożyli ją potem przytomni w osobnej skrzynce, razem z mniejszą koroną królowych, a Elżbieta wydała świadectwo hrabiemu Boesing, iż insignia odebrała.

Ale zaraz następnej nocy kosztowny ten klejnot znalazł się w niebezpieczeństwie. W tej samej izbie, w której złożoną była korona, spała królowa z dwojgiem dziewcząt służebnych, Węgierką i Niemką. Przy łóżku królowej, wedle zwyczaju, paliła się świeca, która spadła na skrzynię, zawierającą obie korony, i poduszki aksamitne na nich już płonęły.

Szczeniściem przebudziła się stara, wierna słu-
ga, Kottanerin i pożar ugasiła.

Ale nazajutrz z obawy o poświęconą koronę,
nazad ją do pudła w skarbcu złożono. W kilka
dni potem niespokojna o zamek, królowa klucze
odebrała hr. Boesing i oddała je stryjowi Włady-
sławowi. Ten naznaczył od siebie burgrafa, i ra-
zem z królową odjechał do Budy.

Koronę mniejszą zachowała królowa przy so-
bie, a drzwi od skarbcza na Wyszehradzie dla bez-
pieczeństwa Gara opieczętował, chustą zawiąza-
wszy. Z Budy odjechała królowa do Wyszehradu,
a Cilly Ulryk doradził jej, aby w jakikolwiek spo-
sób koronę poświęconą dostała.

W pierwszych dniach stycznia, królowa znaj-
dowała się już na Wyszehradzie. Mieszkała w dol-
nym zamku. Nie chciała się stąd oddalić, cho-
ciaż mniej się tu czuła bezpieczną, choć Cilly
i Gara doradzali przeniesienie się do Komorna,
dlatego tylko, że tu miała na zamku, w skarbcu
tę koronę królewską, której strzegła. Bez niej,
choćby chciano w Budzie koronować polskiego
króla, obrzęd nie mógł przyjść do skutku.

Tymczasem stan zdrowia Elżbiety wymagał
bezpiecznego miejsca, w którymby słabość prze-
była. Nalegano na to, aby się przeniosła do Ko-
morna.

Królowa nie chciała myśli swej zwierzyć ni-
komu, a bała się oddalić od korony. Swoją, któ-
rą sama koronowaną była, miała już w ręku. Le-
żała ona ukryta pod łóżeczkiem córki jej, Elżbiety.

Korona królów leżała zamknięta w skarbcu.
Tę koronę, którą jej spodziewanemu synowi wy-
drzeć chciano, królowa musiała dostać!

Zmuszono ją niemal do przeniesienia się do
Komorna, królowa jednak pozostawiła w Wysze-
hradzie swoją żeńską służbę. Miała już plan osnu-
ty. Koronę wykraść było potrzeba.

Do starych wiernych sług Elżbiety należała

Niemka, Helena Kottanerin, kobieta prosta, po-
bożna, niezbyt przebiegła, ale oddana jej cała, też
sama, która jej raz od ognia ocaliła insygnia.

Nikt w niej nie mógł się ani domyślać na-
wet narzędzia, które posłużyć miało do wydoby-
cia z Wyszehradu klejnotu, zapewniającego ocze-
kiwanemu synowi panowanie!

Królowa chora, blada, spłakana, chodziła,
ręce łamiąc.

— Heleno moja—szepnęła dnia jednego z go-
rączkowym wysiłkiem do starej sługi—ty musisz
mi służyć, ty jedna możesz.

— A! jabym za ciebie życie dała, królowo
moja — odparła Niemka, podnosząc zapracowane
ręce—ale cóż ja mogę?

— Pan Bóg pomoże! Opieką swą osłoni cię
patronka moja, Elżbieta, której relikwie złożone
są w kaplicy na Wyszehradzie — mówiła królowa
z gorączkowym pośpiechem.—Pojedziesz po dziew-
częta moje, pozostałe w Wyszehradzie. Mieszkają
na zamku... tuż przy izbach, które zajmują, jest
wnijście do skarbcza. Zamki potrzeba wyłamać,
koronę królewską trzeba dostać i przywieźć tu,
aby tego króla cudzego ukoronować nie mogli. Ja
ją mieć muszę!

Kattanerin przelekła się srodze i drzeć za-
częła.

— A jakże ja tego dokazać potrafię?

— Weźmiesz wiernego sługę do pomocy...
wybierz sobie, kogo chcesz — kończyła królowa,
obejmując ją białymi rękami.—Drzwi są opieczę-
towane, dam ci małą pieczęć moją, abyś ją przy-
łożyła na nowo. Nocą wyłamać zamki łatwo.
A! tę koronę, tę koronę, mój syn... bo ja muszę
mieć syna,—winien ci będzie!

Raz powziąwszy szaloną myśl, którą tylko
miłość matki natchnąć mogła, Elżbieta nie chcia-
ła się jej wyrzec. Z chorobliwą natarczywością
zmusiła niemal przerażoną Kattanerin, aby zgo-

dziła się na wykradzenie i wyprawiła ją natychmiast.

Miesiąc zaledwie upłynął od przeniesienia się do Komorna, gdy Niemka, dobrawszy sobie pomocnika w prostym ale odważnym słudze, który miał jej towarzyszyć, dnia jednego rano bardzo puściła się do Wyszehradu, modląc się przez całą drogę.

Było to w styczniu; sanna trzymała jeszcze, Dunaj okryty był lodem. Magyar, człek silny i pewny, wiedział, co miał do spełnienia w Wyszehradzie, ale się ważył, spodziewając nagrody od królowej. Zabrał z sobą na zapas zamki, aby mieć czem połamane zastąpić, pod suknią je krył, a w buty pochował pilki i pilniki.

Przed wieczorem stanęli na zamku. Kobiety królowej i mała Elżka, księżniczka śląska, pozostawione tu same, znudzone, stęsknione, powitały przybywającą po nie Kattanerin z niewymowną radością.

Stara oświadczyła im, że królowa ich potrzebuje i natychmiast kazała im się gotować do podróży. Mnóstwo rzeczy miały zabierać z sobą; pośpiesznie chodzono, szukać desek i skrzynie zabijać.

Przygotowania te trwały do ósmej wieczorem, na zamku chodzono, krzątano się, stukano, pakowano—pełno było ludzi i nie poczynać nie mogli. Obejrzał tylko Magyar miejscowość, obmacał drzwi opieczętowane. Wsunął się do izby dziewcząt, żartował z nimi, śmiał się, swawolił, a tymczasem rozmyślał, co ma robić.

Sam on z pomocą słabej i przestraszonej kobiety nie mógł temu podolać, poszedł więc szukać pomocnika dobrej woli i znalazł go w prostym parobku, którego związał najuroczystsza przysięgą.

W jednej z izb miały spać dziewczęta królowej, tuż obok w drugiej Kattanerin. Z tych, drzwi

prowadziły do skarbcza opieczętowanego. Z drugiej strony przez sień była zamkowa kaplica.

Zima była ostra, izby potrzebowano opalać dobrze, przynoszono drzewa, i Magyar, dosyć nieostrożnie przywiezione pilniki wetknął tymczasem pomiędzy drzewka przy kominie. Służba, która drwa zносиła, dobyła je na wierz!

Sługa, zobaczywszy to, zbładł jak trup, ledwie mógł chowając je gdzieindziej, przemówić do Kottanerin.

— Na miłość Bożą, starajcie się, aby nam światła nie zabrakło! Świec potrzeba!

On i stara Helena, chociaż nie wyrzekali się myśli wykradzenia korony, najniezgrabniej się brali do tego, ale może właśnie dlatego nikt ich nawet o nie nie posądzał.

Była to sobota, wigilia przed niedzielą zapustną. Do posług miała Kottanerin z zamku starą babę, która po niemiecku nie rozumiała, ospała była i ograniczona. Od tej zażądała, aby jej dużo świeczek dostarczyła, bo wieczorem ma bardzo długie do odmawiania modlitwy.

Ale dostawszy świece Kottanerin, niespokojna i tehrzliwa, postąpiła z niemi tak, jak jej towarzyszy z pilnikami, schowała je gdzieś, zapomniała gdzie i znaleźć potem nie mogła. Wszystko się zdawało składać jak niefortunnie.

Dziewczęta pakowały zbyt długo swoje gałganki i Kottanerin musiała w końcu kazać im kłaść się spać co rychlej. Zmęczone, szczęściem, pokładłszy się w drugiej izbie, wkrótce się pospały.

Baba posługująca położyła się w izbie Kottanerin, ale tej się nie obawiała, bo wiedziała, że sypia twardo.

Nadchodziła noc. Na ostatek Magyar, który miał korony dobywać, przyszedł pocichu pode drzwi od kaplicy i zastukał.

Oczekująca na niego Helena wstała, otworzyła

mu i drzwi za nim zasunęła... Mogła się przestraszyć, bo prowadził z sobą namówionego parobczaka, o którym wcale nie wiedziała... Zaręczył jej, że poprzysiągł milczenie.

Zaczęto naprzód świec szukać. Niestety, były one tak dobrze schowane, że Kottanerin, zrozpaczona, wcale ich znaleźć nie mogła...

Tymczasem kury piałły...

Ogarnął ją przestрах niewymowny. Bez światła kroku zrobić nie było podobna. Musiała więc pomocników nanowo odprawić, starą, twardo śpiącą babę obudzić, posłać ją znowu po świece i czekać aż potem usnie.

Godziny upływały. Do wydobywania korony, łamania kilku zamków, do przybijania nowych, czasu wiele było potrzeba...

Baba wyszukała świece, przyniosła je, położyła się, usnęła. Magyara wpuszczono znowu, zapalono je, zabrał przywiezione zamki i pilniki, a w dodatku małą pieczęć królowej, aby główne drzwi skarbcza, związane chustą, otworzywszy, nanowo opatrzyć pieczęcią.

Zaczęło się dobywanie, odjęto chustę, przepiłowano zamek pierwszy i oba pomocnicy weszli do izb, prowadzących do skarbcza. Ale piłowanie i odrywanie nie obeszło się bez stukotu, a na zamku jeszcze ludzie, zajęci przyborami do podróży, nie spali.

Straże chodziły. Zdawało się, że chyba cudem pogłuchną i posłyszawszy hałas, nie nadbiegną. Światło też w oknach zdradzało...

Kottanerin w trwodze niewysłowionej, co chwila, co sekunda spodziewała się być odkrytą i pochwyconą.

Ani ona, ani jej pomocnicy nie mogli zdradzić królowej, czekała ich więc kara za rabunek skarbu publicznego... śmierć! A śmierć naówczas, gdy występki był zuchwały, zadawano taką, aby winowajca cierpiał; sprawiedliwość była okrutną.

Niemka ze strachu uklękła na modlitwę, prosząc Boga, aby dla miłości królowej pomógł biednej i ocalił ją. Gdyby zaś zginać miała, aby się nad jej duszą zlitował...

Wśród rzewnej modlitwy, w nocnej ciszy, przerywanej tylko dochodzącym ze skarbcza stukiem, nagle usłyszała Niemka pod samymi drzwiami, jakby ciężki chód uzbrojonych ludzi i chrząst oręża... Czekala już tylko, rychło drzwi wyłamią.

Nie wiedząc, co począć, porwała się biedza, przestrzedz pracujących, aby poprzestali; ale na myśl jej przyszło naprzód zbliżyć się do drzwi, od których dochodził ją szelest... Wtem ustało wszystko, zrobiło się znowu cicho.

Kottanerin najmocniej była przekonana, że upiory i strachy narobiły tej wrzawy, padła więc znowu na modlitwę, ofiarując się odbyć boso pielgrzymkę do Maria-Zell, miejsca cudownego, a dopókiby ślubu tego nie dopełniła, wszystkie soboty, na pamiątkę tej, sypiać bez pierzyny, dziękując Bogu i Najświętszej Pannie za ocalenie i opiekę...

Wtem, w czasie modlitwy, pod drugimi drzwiami izby, w której spały służące królowej, dał się słyszeć taki sam chrząst i hałas...

Tym razem Kottanerin ze strachu straciła zupełnie przytomność, zaczęła drżeć, potnieć, była pewną, że nie strachy, nie upiory, ale ludzie idą, usłyszawszy hałas, chwycić ich na uczynku...

Nie wiedząc, co z sobą robić, czekała tylko, czy przebudzone dziewczęta nie poczną krzyczeć. Pobiegła pode drzwi, ale hałas natychmiast ustał.

Klękła tedy Bogu dziękować, utwierdzona w tem przekonaniu, że wszystko to było nieczytą sprawą szatana.

Tymczasem niepokój nowy: w skarbcu zrobiło się cicho, ludzie nie powracali, a przez drzwi niedomknięte zaczynało być czuć spaleniznę i dym.

Chciała iść zobaczyć, co się dzieje z pomocnikami, gdy naprzeciw niej wyszedł Magyar, oznaj-

mujać, że mogła być spokojną, bo od drzwi zamki już poodrywali.

Ale w skrzynce, w której spoczywała korona, zamek był tak mocno przytwierdzony, iż ani go odpiłować, ani wyłamać nie było można. Musieli więc go opalać, a od spalenizny tej powstał taki swąd i dym, że go wszędzie czuć było...

Nowa więc trwoga, modlitwy jeszcze gorętsze.

Robota około ostatniego zamku trwała bardzo długo; naostatek dobyto z pudła koronę... Trzeba było napowrót zamki poprzytwierdzać dla niepoznaki, a w głównych drzwiach chustę, jak była, przypieczętować.

Wszystko to wiele jeszcze czasu zabrało... Naostatek wrzuciwszy piły i połamane zamki w miejsce bezpieczne, w których ich nikt szukać nie mógł, Kottanerin z pomocnikiem zanosła koronę do kaplicy, w której ołtarzu znajdowały się relikwie św. Elżbiety, patronki królowej.

Tu ze strachu ofiarowała się biedna Niemka, za mające się popełnić świętokradztwo, w imieniu królowej, sprawić nowy ornat i pokrycie do ołtarza... Wzięto bowiem z niego czerwoną aksamitną poduszkę, rozdarto ją, wyrzucono z niej część pierz, włożono do środka koronę i Kottanerin zaszyla ją, jak była...

Nim się to wszystko wykonało, dzień dobry robić się zaczął, wszyscy na zamku pobudzili się, ruch powstawał. Czas jechać było, aby stanąć w Komornie.

W ostatniej chwili już o mało stara baba nie zdradziła ich mimo woli. Wynosząc koronę ze skarbcza, zabrano z nią część złamanego futerału, który pozostał na ziemi i baba go podniosła, pokazując a pytając, co to było?

Starą tę, która dziewczętom usługiwała, wziętą z Budy, królowa, jako niepotrzebną już kazała opłacić i odprawić stąd do domu. Z wieczora była

już zaspokojona, ale kręciła się jeszcze, i ów futerał ciekawość jej obudził...

Kształt jego zdradzał koronę, którą okrywał. Kottanerin, prawie nieprzytomna ze strachu, pochwyliła z jej rąk połamane szczątki i co prędzej rzuciła do pieca. Szczęściem nikt nie zwrócił na to uwagi, ale obawiała się już babę zostawić tu, aby nie plotła, i niby przez miłosierdzie nad nią, zaofiarowała się zabrać z sobą i wyrobić łaskawy chleb w Sankt-Merten...

Wreszcie miano już wyjeżdżać... Ładowano, wynoszono, pakowano sanie i wóz. Koronę w poduszcze potrzeba było nieznacznie przenieść. Magyar kazał słudze, który mu pomagał, wziąć ją na ramiona i umieścić w saniach, na których on i Kottanerin jechać mieli.

Wziął tedy chłop drogocenny pakunek, a w dodatku okrył go ogromną skórą krowią wyprawną, z długim wiszącym ogonem, który z tyłu spadał i we wszystkich, przypatrujących się odjazdowi fraucymeru, wzbudzał śmiechy szalone.

Ruszyły sanie z pod dolnego zamku w Wysehradzie, ale za niemi w ślad biegła trwoga, aby nie odkryto, co się stało w nocy, nie wysłano pogoni i nie pochwycono rabusiów.

Kottanerin usadowiła się wprost na poduszcze z koroną, choć nie bardzo jej wygodnie być musiało. Co chwila ona i jej towarzyszy oglądali się i przysłuchiwali,—a nuż gonia!

Na zamku wszakże ani drzwi popsutych, ani nieładu w kaplicy nie dostrzeżono...

Pomimo pośpiechu wpół drogi popasać było potrzeba. Magyar zdjął z sań poduszkę i dla bezpieczeństwa położył na stole przed Niemką, aby ją ciągle miała na oczach.

Na tem nie koniec: noc już była czarna, gdy nadciągnęli nad brzeg Dunaju, naprzeciw Komorna. Tu rzekę po lodzie przebyć było potrzeba...

Puszczono się wprost, nie przypuszczając, aby lód mógł osłabnąć.

Wtem na samym środku rzeki wóz, na którym jechały dziewczęta królowej, załamał się.

Krzyk, trwoga, popłoch niesłychany. Kottanerin nie o sługi, nie o książniczkę śląską, ani o siebie nawet nie chodziło, ale o tę z trudem takim zdobytą, oczekiwaną tak niecierpliwie przez królowę koronę, od której w przekonaniu jej, losy potomka zawisły!

Prawdziwym cudem nie utonął jednak nikt; dziewczęta się na sanie przesiadły, korona ocalała. *)

Oto i zamek w Komornie, a w oknach u królowej światło, a ona się modli, rozpacza, i płacze.

Elżbieta przez cały ten dzień z największym niepokojem wyglądała powrotu sługi, a gdy ją oznajmiono, przywitała okrzykiem radości. Kottanerin, chwając się, osłabła, niosła swej pani poduszkę!

Wzruszenie bieynej wdowy było tak wielkie, iż zaledwie uściskawszy wierną swą Helenę, zachwiała się, osłabła i musiała pójść do łóżka...

Przestrach i radość przyspieszyły spodziewane narodziny. Też same nocy nadedniem wydała na świat pogrobowca.

Milczenie panowało w komnacie: drżąca matka nie śmiała spytać, czy Bóg spełnił jej życzenia.

— Syn! — zawołały kobiety.

Radosny krzyk królowej rozległ się po zamku.

— Syn! król! — powtarzano po podwórcach.

Syn! Było to oswobodzenie się od małżeństwa, od niewoli!

Arcybiskup Denis Szechy tegoż dnia ochrzcił go, dając mu imię Władysława, jakby umyślnie na

*) Opowiadanie własne Kottanerin służy za podstawę.
P. A.

przekorę temu jednoimiennemu wybrańcowi, którego im narzucano.

Przyjście na świat pogrobowca dało nową siłę królowej, która w imieniu swego dziecięcia postanowiła bronić się do ostatka... przynosił z sobą wojnę...

Rozumieli to w Krakowie posłowie węgierscy, usiłujący pośpieszyć z królem do Budy, i nimby Elżbieta do oporu przygotować się mogła, ukończyć go... Nie wiedziano o tem, że z Wyszehradu korona była wykradziona, i że wkrótce niemowlęciu miano ją włożyć na skronie, aby polski król nie mógł ani jej dostać, ani się ważyć stanąć przeciw pomazańcowi!

Wiadomo, jaką wagę w tych wiekach przywiązywano do poświęconych insygniów, do starych koron, które przynosiły z sobą błogosławieństwo i nadawały prawo władania narodem...

V.

Przyszła nareszcie oczekiwana wiosna, lody puszczały, wody zbiegały, odsłaniał się błękit niebios i ptactwo przylatywało z południa...

Wyprawa na Węgry, pod jakąś niedobłą wróżbą, którą czuli wszyscy, choć nikt się do tego nie przyznawał, wyruszyć miała z Nowego Sącza... Tu wszyscy na króla oczekiwać mieli, którzy w części dla przyjęcia posła papieskiego, w części dla niewytłómaczonego jakiegoś ociągania się, którego sam sobie nie tłumaczył, bawił jeszcze z bratem w Krakowie.

W chwili, gdy już miał kraj opuścić, chociaż rycerska ochota ciągnęła go, żal jakiś, tęsknota i niepokój wstrzymywały.

Dwaj bracia, choć parę lat wieku ich rozdzielało, zrosli tak byli z sobą razem, nigdy się prawie nie rozstając, nawykli do jednych zabaw, wspólnego życia, że teraz na myśl rozdziału, obu im lzy prawie mimowoli wilżyły oczy...

Tysiąc rzeczy mieli do powiedzenia i do polecenia sobie.

Władysławowi ani Tarnowscy ukochani, ani inni towarzysze nie mogli zastąpić brata! Kaźmirz czuł się także sierotą bez niego.

Jego miano wyprowadzić na Litwę, w której się wszystko burzyło, gdzie go czekali zazdrośni i niechętni.

Lecz matka rozkazywała, kraj tego po nich żądał, wiedzieli zawczasu, iż ich dostojność wielka była największą niewolą.

W Sączu oczekiwała już na nich matka, która wyprzedziła Władysława, aby go tam pożegnać raz jeszcze, biskup Zbyszek, całe grono panów, którzy mieli pozostać, i tych, co mu towarzyszyć mieli...

Z widocznem ociąganiem się Władysław ruszył z Krakowa... W progu obejrzał się na stare zameczysko... to gniazdo, w którym wzrósł; potem szedł na Wawel pomodlić, potem pięknego dnia wiosny, z małą garstką, wyjechali tak smutni, jakby się dla nich młodość na progu skończyła...

Grzegorz z Sanoka towarzyszył też królowi. Miał on prawdopodobnie powrócić jeszcze do Krakowa, ale i ten jechał pogrążony w jakichś przecuciach czarnych. U wrót zamkowych stali ludzie, pragnący raz jeszcze zobaczyć młodego króla. Tu stała i pani Frączkowa z matką...

Mistrz jadący w orszaku, opuścił go na chwilę i zbliżył się do nich... On, im był smutniejszy, tem zawsze mniej z ludźmi dzielił się tem, co mu dolegało. Uśmiechał się.

— Spodziewam się — rzekł z udaną wesołością do kobiet, które chustki przy oczach trzymały —

że z Węgier gościńca przywiozę pięknego. Ludzie głoszą, że tam się drogie kamienie po gościńcach walają!

— Wracajcie tylko sami cali i zdrowi! — zawołała Balcerowa, córkę wyręczając — a już gościńca od was nie zażądamy.

— Bóg łaskawy! — rękę wyciągając, dodał mistrz, i skinąwszy, orszak już oddalający się napędzać musiał.

Nie był on przesadnym wcale, naówczas jednak nawet umysły tak jasno widzące jak jego, ulegały temu powszechnemu przekonaniu, iż Opatrzność ostrzega człowieka, gdy mu grozi niebezpieczeństwo...

Rzadko tyle się razem zbiega złych wróżb, jak przed tą królewską podróżą. Nie było prawie dnia, nie było przy wyborze wypadku, któryby się nie odznaczył jaką przeszkodą, zawadą, groźbą.

Konie króla chorowały, ludzie mieli przecucie jakieś i wymawiali się od służby, nikt nie szedł ochotnie... Smutek ciążył na wszystkich... Zaledwie wyjechawszy z zamku, król z bratem postrzegł z daleka ciągnącą na wozie trumnę, która mu drogę przejechała. Nie uszło to baczności towarzyszy jego. Wprawdzie, wedle ludowych przekonania, trumna i pogrzeb nie rokowały nie złego, lecz wrażenie czyniły przykre. Ani król, ani Kaźmirz nie rzekli słowa, udali, jakby nie widzieli... Nie śpieszono też wcale...

Pierwszego dnia zaledwie dojechawszy do Wieliczki, Władysław stanął tam i zatrzymał się.

Zapomniano relikwii, które król miał wziąć z sobą i posłano po nie do Krakowa...

Drugiego dnia nocowali w Niepołomicach, tu napędził ich komornik z relikwiarzem... Ulubiony sokół Władysława zachorzał i zostawić go musiano. Ze zwieszoną głową, z najeżonemi piórami, nie chcąc jeść, siedział jakby czekając śmierci.

Królowi tak go żal było, że stąd wyjazd do Bochni przyspieszył.

Czwartego dnia znaleźli się w Sączu, który podobniejszy był do wielkiego obozowiska, niż do małego miasta...

Spodziewano się jednak daleko większego zjazdu. Na zamku dowiedział się Władysław, że bardzo wielu z tych, którzy mu towarzyszyć mieli, dotąd nie przybyli. Brakło tych prawie, na których najwięcej rachował. Królowa i biskup obstawali przy tem, aby poczet był jak najświetniejszy, a ci, co mu dodać mieli blasku, właśnie dlatego, iż się kosztownie sztyftowali, gotowymi na czas nie byli.

Władysław niemal był rad zwłoce... tak mu się kraju opuszczać nie chciało; ale królowa matka, widząc to, wesoło, natarczywie budziła w nim męstwo i ambicję.

Nie dano zresztą królowi myśleć o sobie... narzucano mu wyznaczenie rządców, kasztelanów po grodach, towarzyszków i opiekunów dla brata.

Władysław losem Kaźmirza gorliwie się zajmował i to jedno go żywiej obchodziło. O Węgrzech nie mówił, a gdy zagadywano, odwracał rozmowę.

Wypożyczenie brata, kosztą ogromne podróży, obowiązek pomagania rycerstwu, które z nim szło do Węgier, zmusiło króla — przy wyczerpanym skarbie — zaciągnąć wielki dług u biskupa krakowskiego, który zastawem wziął ziemię Spiską.

Szemrano na to...

Układy, przygotowania, oczekiwanie na spóźnionych panów przeciągnęły pobyt w Sączu aż do czwartku przed św. Wojciechem.

Chociaż brakło jeszcze bardzo wielu z rycerstwa, dłużej już na nich oczekiwać nie było podobna.

Ci, którzy się opóźnili, mieli króla dognać na Węgrzech.

Pomimo to dwór i wojsko, które miało przekroczyć granicę, było tak świetnem, pięknem i takim duchem ożywione, że wobec rycerstwa chrześcijańskiego wszech krajów Europy, na równi z niem stanąć mogło.

Co było zacofanego, uboższego, mniej wytwornie uzbrojonego, pozostawało w kraju. Kwiat i wybór wychodził z młodym panem.

Smutne było pożegnanie; król ukląkł przed matką, aby go pobłogosławiła, uściśkał brata i milczący poszedł dosiąść konia, który, zwykle łagodny i spokojny, zbliżyć się do siebie nie dawał.

Wszystko to miało w uroczystej chwili znaczenie...

Nie wesoła była podróż do węgierskiej granicy i Kieszmarku, gdzie na opóźnionych oczekiwać miano... Tu Szymon Rozgon, biskup jagierski, który świeżo opanował dla młodego króla i osadził Preszów, przybiegł witać w poczcie znacznym węgierskich panów.

Ten pierwszy dowód, iż wybrany miał przyjaciół, którzy go wszelkimi siłami na tronie utrzymać postanowili, jeżeli nie dla Władysława, to dla biskupa Zbyszka i innych był wielce pocieszającym.

Grzegorz z Sanoka, który starał się odgadywać uczucia, jakie króla ożywiały, nie dostrzegł w nim ani radości, ani nawet młodzieńczego ożywienia. Jak gdyby przeczuwał, co go czekało, był ciągle pogrążony w sobie i milezący.

Dla Węgrów potrzeba się było zatrzymać w Kieszmarku dla naganiających pocztów. Przez cały ten czas młody pan, posłuszny skinieniom biskupa Zbyszka, obracał się, wychodził, mówił, co mu doradzono, ale nie dał znaku własnej woli.

Drugiego dnia wieczorem, gdy się spodziewano opóźnionych, a szczególnie marszałka Ryterskiego, którego król z sobą mieć żądał i Mikołaja z Szarleja, niespodzianie zjawił się poczet

Litwinów. Ci dniem i nocą gnali za Władysławem, aby u niego się dopraszać wysłania co najrychlejszego brata Kaźmirza na Litwę.

Wyjazd ten już był postanowiony, ale Litwini: Andruszko, Dowojna i Raczek, chcieli jak najprędzej mieć księcia, aby Michał nie zasiadł się w Wilnie. Malowali oni nierozważnie, gadatliwie stan Litwy tak groźnym, rozdwojenie, wojnę domową, tak niebezpieczeństwo brzemienne, że nawet biskup Zbyszek na chwilę się czuł tem zaniepokojonym.

Grzegorz z Sanoka miał sobie wyznaczoną izbę nieopodal królewskiej, i zdziwił się, późno w noc widząc Władysława, który już był suknie z siebie zrzucił, w jednym kaftanie, wchodzącego do ciasnej komory, jaką zajmował.

Chmura jeszcze widoczniejsza, niż zwykle, okrywała czoło młodego pana.

— Cóż ty na to wszystko? — odezwał się od progu. — Nieprawdaż, mistrzu Grzegorzu, że uczynilibyśmy oba lepiej zawracając nazad do Krakowa! Zważ, proszę: na Litwie się burzy wszystko, tam potrzeba kogoś... a mnie ślą na zdobycie królestwa nowego, w którym się nie utrzymam. Wierzę w rozum i radę zawsze zdrową biskupa Zbyszka, ale w tem go nie poznaję. Kaźmirz sam na Litwie, nawet z pomocą dodanych mu, trudnoby sobie poradził. Młody jest i dobry. Nasby tam dwu nie było za wiele. Mam ochotę rzucić tę całą wyprawę, a! i powrócić do Polski!

Oczy mu błysnęły.

— Do Polski! do Krakowa! Po co mam wydzierać królestwo cudze, gdy we własnem tyleby było do czynienia! — dodał król, ręce ściśnięte zwieszając.

— Miłościwy panie — rzekł, odwracając się ku niemu Grzegorz. — Wszystko to prawda, ale przychodzi zapóźno. Litwie, dla Boga, żadne nie zagraża niebezpieczeństwo!

Zmarszczył się król, słuchając.

— Nie o Litwę idzie — dodał mistrz, — ale wam srodze żal Krakowa!

— A, tak! I z tem się nie taję przed tobą — rzekł Władysław porywczo — a sędzę, że i drudzy to rozumieją. Tak jest! Tęskno mi za Krakowem! Jam tu obcy... a nawet ten tak przyjazny biskup Szymon, co zajął Preszów dla mnie, nie taił, że mnie tu bój i walka czeka. Królowa ma za sobą Niemców, ma cesarza, Czechów i znaczną część węgierskich magnatów.

— A znaczniejszą jeszcze — odezwał się Grzegorz — wy, miłościwy królu, mieć będziecie, bo ich pozyskanie łatwo. Cofać się zapóźno! Ja tak, jak wy, więcej czuję wstrętu, niż powołania do tego zdobywania Węgier, lecz wrócić zawsze czas będzie. Teraz wyprawa postanowiona, pierwsze kroki uczynione... jesteśmy już na tej ziemi. Ludzieby tłómaczyli obawą powrót do Polski.

Władysław poruszył się cały.

— Obawa! Ja się nie lękam niczego — zawołał dumnie — oprócz — bym przeciwko sumieniu własnemu nie wykroczył!

Grzegorz stał milezący; król przeszedł się po małej izdebce.

— Masz słusność — rzekł — rycerzowi nie godzi się dać posadzić nawet, że się uląkł czegośkolwiek. Zwyciężywszy nieprzyjaciół, rzucę im to królestwo pod nogi... z ich królową razem!

Z gorączką jakąś wyrzekł to młody pan i jeszcze raz powtórzył:

— Mogliby to tłómaczyć obawą! Musimy więc iść — dodał, wzdychając.

— Miłościwy panie — szepnął Grzegorz — idźmy tylko z temi uczuciami, jakie dziś masz, a nie uczynimy nic przeciwko sumieniowi. — Węgry oddały ci się, bo się czują zagrożone, bo Niemców nad sobą mieć nie chcą; zaufaniu ich i miłości trzeba odpowiedzieć... ofiarą.

— Wielką i gorzką ofiarą — dodał król. — Jutro rada; spodziewam się mieć za sobą ludzi, których o strach posadzić nie będzie można. Będę mileżał, lecz jeśli oni postanowią, że Polsce na-przód służyć nam należy, posłucham ich z rado-ścią i... powrócę.

Na samą myśl powrotu, piękna twarz króla rozjaśniła się.

— Mistrzu mój! — westchnął — a! gdyby wró-cić było można!

Nie mówili więcej.

Nazajutrz biskup Zbyszek przyszedł wziąć króla na radę. Oprócz niego znaleźli już zgro-madzonych w dolnej sali: Jana z Tęczyna, kra-kowskiego wojewodę, Przedbora z Koniecpola, Win-centego z Szamotuł, Piotra ze Szczekocin, Rafała z Obidzowa, Hinczę z Rogowa i innych.

Dowojna ze swym towarzyszem znajdowali się tu także, wywodząc już żale nad stanem Litwy i konieczność szybkiego ratunku.

Król wszedł poważny nad wiek, milezący i za-jał miejsce swoje.

Zamilkli wszyscy, spodziewając się, że Zby-szek zagai to posiedzenie, gdy król po małej chwili odezwał się sam.

— Czynie was sędziami tego, co najpilniej-szem mi się widzi! Sądziłiśmy, że wybór był zgo-dny; tymczasem widzimy już coraz dobitniej, że królestwa i korony orężem się dobijać potrzeba. Nie lepiejżeby było zaczekać, aż się Węgrowie zgodzą i wybór ten uznają, a teraz powrócić do Polski?

Spojrzał po przytomnych, którzy czas jakiś milezeli. Marszczył się biskup krakowski.

— Zaprawdę nie będę tał — wtrącił Jan z Tę-czyna — że ja zupełnie podzielam to zdanie. Czeka-nas tu wojna... a król, co przelewając krew przy-szłych poddanych, dobijać się musi panowania...

Nie dał mu dokończyć biskup krakowski.

— Garść warcholów jest przy królowej, wszyst-ko co zaciejsze z nami! — zawołał. — Mam ufność w Bogu, że tak, jak Preszow się poddał, inne mia-sta przyniosą nam klucze. Szymon, biskup jagier-ski, ręczy nam za to.

Za biskupem zaczęli odzywać się inni, pota-kując mu i twierdząc, że cofać się byłoby sromem i zawodem uczynionym narodowi, który Polsce i królowi jej zaufał.

Jeden tylko wojewoda krakowski i Przedbor z Koniecpola z królem trzymali. Władysław, raz wypowiedziawszy myśl swoją, nie odzywał się wię-cej. Słuchał, dając tylko oznaki, iż mimo zdania większości, on zostawał przy swoim.

Rada przeciągnęła się długo; na ostatku sta-nowczy opór biskupa Zbyszka zamknął ją posta-nowieniem, że na Węgry zmuszała iść cześć i dane słowo. Sędziwój z Ostroroga, wojewoda poznań-ski, poparł to zdanie; Jan z Tęczyna i Przedbor z Koniecpola umilkli. Król powstał, nie odzywa-jąc się już i salę obrad opuścił.

Zatrzymano się jednak przez dni kilka na-stępnych w Kieszmarku. Szło o powierzenie zam-ku i miasta Polakowi lub Węrowi. Panowie pol-scy raili Dzierżka z Włostowie, biskup Szymon — Węgry, Mikołaja Peren, za którego ręczył. Król rozstrzygnął za ostatnim, znajdując, że niezna-jacemu kraju, choćby najdzielniejszemu rycerzowi, tak ważnego grodu dawać nie było można.

W dzień św. Floryana, patrona Krakowa, ru-szył wreszcie król z obozem i dworem z Kiesz-marku, tak ponury i milezący, jak tu przybył, smutniejszy może jeszcze.

W Sobinowie powolny pochód musiał się zno-wu zatrzymać, bo tu króla napędził poseł nowo obranego papieża, Feliksa V, chociaż Eugeniusz IV żył i panował na Apostolskiej stolicy. Zdawało się, że co krok coś nowego opóźnia naumyślnie dalsze posuwanie się w głąb kraju.

W Przeszowie obchodzono uroczystość św. Stanisława. Tegoż dnia niesłychanej wielkości grad spadł na obóz królewski, co w umysłach, już potrwożonych, było nową przepowiednią złowrogą. Mnożyły się te oznaki.

Dwór króla, pragnąc go rozerwać, nazajutrz po drodze do Rozgonu namówił Władysława, który myśliwstwo z sokoły lubił, aby z niemi na kaczki zapolował.

Ten, który pierwszy myśl tę poddał, ulubiony królowi pisarz jego, Jan, syn Sęka z Sennowa, puścił się zapalczywie za sokołami ku rzece... i utonął.

Nie śmiano dać o tem znać królowi, który był do niego przywiązany, lecz i zataić nie było podobna. Musiano się zatrzymać po drodze w Wisdowie dla uroczystego pogrzebu, na którym smutniejszy, niż kiedy, król sam się znajdował.

Z każdym dniem pochód się stawał mniej wesołym, a wszyscy mimowolnie czuli się ogarnięci jakąś trwogą i niepokojem.

Jedynym, co nigdy żartować i drugich rozśmieszać nie przestawał, był znany z niewyczerpanego humoru swojego, Wincenty z Szamotuł, kasztelan międzyrzecki. Mąż poważny, wieku już dojrzałego, sam nie śmiejący się nigdy, odwagi i zimnej krwi niezem niezamąconej nigdy, kasztelan miał taki sposób wyrażania się, że najsmutniejszych pobudzał, choć chwilowo, do śmiechu. Dodawano go też królowi do boku, aby czasem rzuconem słówkiem młodego pana rozchmurzył; lecz i to niewiele pomagało.

Droga wiodła do Budy, której wprędce spodziewano się osiągnąć, gdy nadchodzące wieści o wyprawie hr. Cilly z pocztem zbrojnym dla opanowania jej, rzuciły popłoch między Węgrów, towarzyszących królowi.

Szymon, biskup jagierski, Wincenty z Szamotuł, Jan z Sienna Wojnicki, Andrzej z Tęczyna

i znaczny poczet Węgrów, musiał poskoczyć przodem, aby się o posiadaniu Budy zapewnić.

Nie było tak dnia prawie bez jakiejś wieści zatrważającej, przeszkody, zwłoki i powodu do zniechęcenia. Król znosił to cierpliwie, lecz wszyscy widzieli, że coraz bardziej był pogrążony w sobie i jechał, jakby zmuszony tylko.

Jeden Grzegorz z Sanoka, któremu się zwierzał, wiedział, co cierpiał i jak mężnie to znosił.

Pozostali przy nim panowie węgiersey mówili ciągle i gorączkowo o mającej natychmiast nastąpić w Budzie koronacyi, przekonani, iż uroczysty obrzęd młodego króla węzłem nierozrywającym z krajem połączy.

W wigilię Zielonych Świąt przybył Władysław do Eger i stanął na zamku. Tu, jak wszędzie po drodze, znaczny poczet magnatów wystąpił na powitanie, lecz pomimo wysiłku ich, aby okazać radość, Grzegorza z Sanoka, równie jak innych, uderzyła ta okoliczność, iż wszyscy byli pomieszani wielce i jakby gniewni.

Pomiędzy przybyłymi a tymi, których na zamku zastali, wszczęły się szeptu jakieś i najmniej wprawne oko dostrzedz mogło, że jakaś zła wieść wszystkich zatruwała.

Grzegorz z Sanoka domyślał się najgorszego, to jest zajęcia Budy przez hr. Cilly, gdy, nieco już z językiem Madziarów oswojony, bo miał wielką łatwość wyuczenia się każdej mowy, usłyszał coś o koronacyi. Jeden z panów węgierskich, z którym się poprzyjaźnił w podróży, zaledwie się na zamku rozłożyli, wpadł do niego błady, z zaciśniętymi pięściami.

— Widzę, że się coś stało znowu dla nas niepomysłnego—odezwał się Grzegorz do niego;—mówcie otwarcie, abym w potrzebie króla do tego przygotował.

Węgier ręce podniósł do góry i począł z żywością krwi swej właściwą krzyżeć na głos cały.

— Stało się, stało się to, czego nikt na świecie spodziewać się, ani przewidywać nie mógł. Słuchajcie! Ten, co opowiada, wie to od naocznego świadka! Królowa Elżbieta wykradła koronę węgierską i dwanaście niedziel zaledwie mające dziecko w Białogrodzie ukoronowała. Łotr ten, kardynał Dyonizy Szeii, dopełnił obrzędu! Za dziecko przysiągł hrabia Cilly! Ale co warta koronacya ta i przysięga... zdepczemy ją nogami!

Węgier był wściekły; Grzegorz z Sanoka przyjął nowinę, myśląc o królu. Wykradzenie korony, ukoronowanie pogrobowca dozwalało Władysławowi cofnąć się.

Zawahał się, czy ma z tem iść do króla, czy zdać na innych oznajmienie mu o wypadku, gdy już komornik wołał go do niego.

Z rozpromienioną twarzą stał młody król w otwartym oknie. Był sam, gdyż wiadomość o koronacyi wszystkich od niego odciągnęła. Szli rozpytywać, radzić. Polacy byli oburzeni, Węgrowie miotali się z gniewem wielkim, odgrażając na sprawców, a szczególnie na Gare, któremu straż korony była powierzona.

— Mistrzu Grzegorzu! — zawołał, zobaczywszy go król, prawie wesoło. — Widzi mi się, że ten raz już nas Węgrowie puszcza, bośmy im niepotrzebni. Mają trzymiesięcznego króla ukoronowanego, a korony, gdyby mnie chcieli wieńczyć, nie dostaną, bo ją królowa wykradła!

Z dziecinną prawie radością mówił to król. Grzegorz stał, jak zwykle, dosyć chłodny.

— Dlaczego się nie cieszysz ze mną? — począł Władysław. — Jawna rzecz, że zrzeczna pani... do tronu mi drogę zaparła, za co jej wdzięczny jestem. Możemy teraz powracać!

Na te słowa wszedł Jan z Tęczyna, który w Kieszmarku głosował za powrót do Polski, mocno zarumieniony i wzruszony, a gniewny.

— Nie! Powracać już nie czas. Można było

odepchnąć ofiarowaną koronę, ale dziś zagrabioną musimy dla czci waszej odzyskać. Jestem przekonany z tego, com słyszał i widział — dodał Tęczyński — że to, co w przekonaniu królowej tobie, panie, przeskodzić miało, pomoże właśnie i przyjaciół ci zjedna.

— Wojewodo — odparł Władysław — wiecie dobrze, iż ja korony tej nie pragnę.

— I możecie się jej zrzec — dodał Jan z Tęczyna — ale dziś ją odzyskać należy.

Drzwi stały otworem; towarzyszący królowi Marzellim wszedł z twarzą zaognioną, bijąc się ręką po piersi.

— Na naszą cześć nastała królowa — zawołał — tak, jak wprzód, na wolność naszą nastawała! Ale Magiarowie nie dadzą się ani z niepodległości i prawa rozporządzenia swym losem, ani ze czci ogołocić. Tego, któregośmy obrali, ukoronujemy! Koronę odzyskamy, choćby Wyszehrad przyszło w perzynę i kupę gruzów obrócić!

Tuż za Marzellim szli już inni panowie węgiersey, tłumnie, gwarno, zapominając niemal o czci królowi należnej, tak byli rozpaleni gniewem i zagrzani zemstą.

Wszyscy powtarzali za nim:

— Igraszkom kobiecym nie ulegniemy! Kardynał arcybiskup odpowie nam za to! Gara głowę dać musi! Cillym sobie przewodzić nie damy!

Król w milczeniu, poważnie przyjął te wszystkie oświadczenia, ani dziękując za nie, ani objawiawszy, co myślał.

Nierychło w noc cokolwiek się na zamku uspokoiło. Władysław, który się spodziewał, że koronacya pogrobowca zmieni zdanie biskupa Zbyszka i rady, przekonał się, iż wszyscy zgodnie głosili za tem, aby nie ustępować.

Grzegorz z Sanoka, który się już był do swojej izby wycofał, dumając, jak się to wszystko skończyć może, życząc dla młodego pana, aby mógł

pożądaną odzyskać swobodę. Królestwo to wkładało na niego kajdany... i dotąd poilo tylko goryczą.

Ten sam Węgier, który mu przyniósł pierwszy wiadomość o koronacji, wszedł już uspokojony nieco, ale bardziej zaszepiony, niż kiedy, zwierając się, iż ktoś przybyły z Budy powiadał, jakoby palatyn Wawrzyniec wzdygał się z poddaniem zamku w Budzie, stawiając warunki, których w żaden sposób przyjąć nie można było.

Cierpliwy zawsze mistrz Grzegorz, usłyszawszy to, wybuchnął nareszcie.

— Zaprawdę—rzekł—czci to wam nie czyni, żeście nas tu ściągali obietnicami, których dotrzymać nie umiecie... Prędzej w królu i w nas, co go miłujemy, obudziecie niechęć, niż życzliwość, takim postępowaniem. Daliście nam koronę, której, jak się okazało, nie mieliście; złudziliście obietnicami, nie mając mocy ich dotrzymać. Sami sędziami bądźcie...

Węgier pochwycił za rękę mówiącego.

— Czekaj — rzekł — przekonacie się, iż to, cośmy postanowili, spełni się! Chytrąś niewieścią i przewrotnością ludzka stanęły nam na przeszkodzie, lecz... pogrobowiec panować nie będzie!

To mówiąc, Węgier wybiegł.

Co się działo pomiędzy magnatami, którzy się zamknęli osobno i długo wrzawliwie naradzali, a potem nocą kilku z pomiędzy siebie do Budy wysłali, w obozie polskim nie wiadomo. Niewzruszenie tylko głośzono, iż we czwartek po Zielonych Świątach król musi odprawić uroczysty wjazd do Budy...

Z Grzegorzem młody pan unikał rozmowy w ciągu tych dni, twarzą i postępowaniem okazując, iż ulega konieczności, nie zmieniając zdania swego. W oczach malowało się znużenie, obrażona duma i niecierpliwość...

Zapowiedziany zjazd uroczysty nie nastąpił

wprzód aż w sobotę, w wigilię św. Trójcy, gdyż z palatynem Hedrewarą potrzeba się było jeszcze o wydanie zamku układać. Oczekiwał król na to do soboty i dnia tego dopiero statkami wraz ze dworem swoim popłynął Dunajem do Budy.

Na Sykańskiej górze czekały na niego konie i ludzie przodem wysłani.

Miasto całe wysypało się na przyjęcie wybranego i chwila ta mogła choć w części nagrodzić wszystko, co Władysław doznał w tej nużącej podróży. Zakony, duchowieństwo, mieszczanie, chorągwie kościołów i cechów wystąpiły na powitanie... Tłum niezliczony okrywał przyległe wzgórza i ulice, do Zygmunrowskiego zamku wiodące.

Władysław zsiadł z konia dla ucałowania relikwii i krzyża, skinął okrzykującemu go ludowi i dosiadłszy konia znowu, jechał w ogromnym orszaku na zamek...

W bramach miasta na trzy oddziały podzieleni stali ci, których król przodem wysłał przed sobą dla zajęcia Budy. Pierwszy z tych, w pełnych zbrojach, składał się z wyboru najprzedniejszej szlachty i panów, drugi z towarzyszków ich, także uzbrojonych, z kuszami, trzeci z samej młodzieży w szyszakach, z tarczami ozdobnemi i dzierytami. Wszyscy oni, pokłękawszy przed królem, cześć mu oddali.

Przez otwarte na oścież wrota do zamku w Budzie, wspaniale przez cesarza Zygmunta przebudowanego i ozdobionego, wjechał Władysław w orszaku panów swych i rycerstwa na przyszłą stolicę...

Z okrzyków tłumu, z nacisku magnatów węgierskich, z oznak poszanowania wnosząc, można było rokować, że młodego króla witano tu, jako pożądanego opiekuna i obrońcę, przynoszącego państwu pomoc i sojusz rycerskiej Polski. Lecz baczniejsze oko, przenikliwszy umysł, który mógł przebić powierzchowne osłony, dojrzał za niemi

łatwo zmacone dno niezgłęzionych, tajemniczych ciemnic.

Na wszystkich tych dumnych twarzach magnatów i wojowniczych nawet biskupich obliczach, bo tu pasterze często pod rozkazami mieli pułki i dowodzili oddziałami, można było czytać więcej rozdrażnienia, namiętności, niepokoju, niż radości.

Grzegorz z Sanoka, który za dziekanem Lasockim jechał w orszaku króla, nie mógł się oprzeć temu wrażeniu i szepnął po polsku do niego:

— Zaprawdę, wspaniałe to i piękne, lecz za wierność tych, co nas otaczają, nie chciałbym ręczyć. W oczach wielu błyska niechęć i grozi zdrada!

— Wszyscy to widzimy z wami zarówno — odparł Lasocki pocichu — lecz ufajmy w Bogu, że większość będziemy mieli za sobą, a ta garści warcholów i przekupionych przez wdowę Albrechtową, nie da nam nic uczynić złego! Wszelako na wojnę się gotować potrzeba!

Z tem uczuciem i król i wszyscy wjechali na zamek do Budy... Cel zdawał się osiągnięty, bo tu już natychmiast poczęto wołać o koronację, aby dopełnieniem jej okazać, że pierwsza, na pogrobowcu spełniona, żadnej wagi nie miała.

Władysław w ciągu podróży, odbytej z Krakowa do Budy, jak się Grzegorz mógł przekonać z niewielu słów, które miał czas usłyszeć od niego, cudownym niemal sposobem dojrzał i spoważniał.

Wszystkie te przeciwności i wróżby, jakie spotkał na drodze, walka, na którą był wystawiony, nie tajone mu przez biskupa trudności i zawady, jakie miał do przełamania, podziały na niego potężnie. Z chłopięcia i młodzieńca stał się mężem. Dzieją się takie cuda, i wypadki są czasem czarodziejską różczką, która otwiera źródło myśli...

Na smagłej, a teraz trudem wewnętrznym

duszy sposepniałej twarzy króla, widać było, iż pracował nad sobą, stał na straży każdego słowa swego i postętku... Tysiące też oczów wpatrywało się w te jego rysy, tajemniczo przysłonione, aby w nich wyczytać, co na przyszłość obiecywały...

Nawzajem król, mało się wywnętrzając, pragnął odgadnąć, na kogo tu mógł rachować. W tem Grzegorz z Sanoka był mu pomocą wielką, bo miał większe doświadczenie i daleko lepszą zręczność przysłuchania się między swojemi i obcemi, co o kim trzymano.

Mistrzowi zaś bystry, przenikliwy, a zawsze wesół i tą wesołością, na pozór lekkomyślną, umiejający się wszędzie weisnąć, Wincenty z Szamotuł dostarczał wiele postrzeżeń. Ponieważ wprzód był wysłany do Budy i miał tu czas, zabawiając się, o ludzi ocierać, o każdym z magnatów miał już pewne dane i poczynione postrzeżenia...

— Nie rozpaczam — mówił tegoż wieczora Wincenty — że my ich powoli sobie zjednamy; ale z wyjątkiem kilku, na których dziś już rachować można, bo wiedzą, że się od wdowy przebaczenia spodziewać nie mogą, za resztę bym złamanego nie dał szeląga. Ale jak jest, to jest pewna, że liczba zwolenników naszych wzrasta z dniem każdym... Siła ma też swój urok, a nie ulega wątpliwości, żeśmy silniejsi! Cesarz dla swojego krewniaka pogrobowca nie poruszy ani wojska, ani da pieniędzy. Królowa ostatkami goni.

— Nie mówciez tego królowi — przerwał Grzegorz z Sanoka, — bo i tak się on nad losem jej użala. Cześć nie pozwala mu się cofać, lecz wiem to od niego, iż gdyby mógł, rychlejby wdowie i jej dziecku pomógł, niż z niemi wojował...

— Wojowanie to pewnie nie potrwa długo — odezwał się Wincenty z Szamotuł. — Powiedziałem, że Elżbieta ostatkami goni i wiem to od Węgrów, którzy są o każdym jej kroku uwiadomieni, że

koronę mniejszą królowych zastawiła cesarzowi za kilka tysięcy czerwonych złotych, za które w Czechach i po Niemczech robi zaciągi, ale wysiłek ostatni...

Po przybyciu do Budy nie było prawie chwili spoczynku, tak wiele rzeczy do spełnienia zostawało. Biskup Zbyszek wziął na siebie wprawdzie największą część spraw drażliwych, lecz i młody król obcym temu, co go tak blisko obchodziło, pozostać nie mógł.

Przychodzili magnaci, biskupi, wojewodowie, banowie, wielkorządcy ziem, do Węgier należących, oddawać mu hołdy i pokłony, a raczej wypatrzyć zaważasu, czy miał dosyć silną dłoń, aby ich utrzymać w posłuszeństwie.

Nie zbywało na dworze i owych dwulicowych postaci, które królowa Elżbieta wysłała, aby w obozie nieprzyjacielskim mieć ucho swoje i oko.

W przededniu wjazdu jednego takiego człeka, któremu się obelżywe słowo wyrwało, pod zamkiem rozsiekano...

Wincenty z Szamotuł utrzymywał, że z dobrych ust miał, jakoby wysledzono zabójcę, co króla przed koronacją z polecenia Cillych chciał zamordować. Lecz wojewoda się śmiał z tego, bo młody król był ciągle otoczony rycerstwem, które nad nim dzień i noc czuwało, a Zbyszek biskup sam go uprosił, aby do czasu pod kaftanem koszulkę drucianą nosił.

— Strachy to być mogą próżne—mówił biskup—lecz ostrożność nigdy nie jest zbyteczną.

Na zamku wrzało i kipiało... Zjeżdżali się wszyscy dostojnicy państwa, urzędnicy wieley, biskupi, a Władysław król z własnej woli zapewnił i obstawał przy tem, aby wszystkim nieprzyjaznym sobie były wydane glejty, poręczające bezpieczeństwo osób...

Był to najlepszy sposób zbliżenia się i przejednania, chociaż zwolennicy króla, magnaci, w my-

śli mieli użyć go podstępnie na pozbycie się swoich przeciwników.

Wśród tego natłoku panów, którzy już od blisko pięciuset lat do świata chrześcijańskiego należeli, widać i czuć było plemię, ze wschodu przybyłe i osiadłe, z krwią gorącą i obyczajem, którego kilka wieków złamać, ni poskromić nie mogło.

W tym wieku nawet, który w ogóle bujniejszym był i sprzeczności a wybuchów pełnym, Madziarowie Polakom wydawali się namiętniejszymi i gorętszymi, niż oni sami byli. Co chwila wśród narad występował jakiś zuchwały wniosek, który hamować musiał Zbyszek i polscy panowie.

Panowie węgierscy zjednoczenia i uspokojenia chcieli dokonać siłą, polscy i król szczególnie, łaskawością i dobrocią. Zgadzano się pozor- nie, ale Węgrowie w duszy pozostawali przy swoich przekonaniach...

Wśród tych wielu przybyłych tu Taloczków, Peren'ych, Orszagów, Palouczów, Czakich, uderzał wybitną swą osobistością jeden mąż szczególnie, już wslawiony zwycięstwami, którego postać rycerska, pełna szlachetnej powagi, odznaczała się bohaterskim jakimś majestatem.

Chociaż nie ubiegał się o okazanie swojego znaczenia i wpływu, widać było, że go uznawali wszyscy. Oglądano się na niego.

Meżem tym był Jan Huniady, który młode- mu królowi i panom polskim przy pierwszym spotkaniu wydał się jakby głową i wodzem wszystkich. Wiedzano w polskim obozie, iż zdanie jego przeważało przy wyborze Władysława. Przy rozprawach i układach teraźniejszych Huniady nie występował czynnie i widocznie, był przedewszystkiem żołnierzem i dowódcą, zdala tylko patrzył na zabiegi duchowieństwa i świeckich ludzi, mając ich na oku.

Jednego dnia, gdy się właśnie najgorętsze

o przyszlą koronację Władysława toczyły rozprawy, Huniady zrana wszedł do króla, który od dawna zbliżyć się do niego pragnął. Z zaufaniem i współczuciem jakimś młody pan się zbliżył do niego, domyślał się w nim jednego z tych ludzi, z którymi sercem otwartem mógł się rozmówić.

Długie milczenie ugniatało mu serce, młoda pierś z trudnością znosiła zamknięcie...

Byli sami. Grzegorz z Sanoka znajdował się opodal nieco, umyślnie usunawszy się, aby poufnemu zbliżeniu się ich nie przeszkadzał.

Huniady przystąpił z twarzą wesołą i jasną, spodziewając się może, iż w młodym panu znajdzie niedojrzałe pachole, które lada czem zabawić potrzeba.

— Miłościwy panie—rzekł—spodziewam się ja i wszyscy, co cię tu witamy sercem wielkiem, że i kraj nasz i ludzie podobać ci się będą? Jest że na świecie piękniejszy? A jeszczeście wszystkich jego cudów nie oglądali!

— Kraj piękny — odpowiedział Władysław smutnie i poważnie—lecz wierzajcie mi, panie, że najpiękniejszy zawsze człowiekowi ten, w którym się on urodził... Gdybyście wy nasze lasy, drzewa i rzeki widzieli!

— Węgry przecie musicie sobie, jako ojczyznę, przyswoić i ukochać—rzekł Huniady.

— Tak, ale na to czasu potrzeba — odezwał się król powolnie a przyznacie mi, iż dotąd więcej wygląda kraj ten, jako zdobycz, o którą wojować potrzeba, niż jako podarek. — Jechałem tu w innej nadziei, z myślami innemi, przyznam się wam szczerze. Sądziłem, że zgodnie pożądalście mi oddać koronę, a ja o nią z wdową i sierotą walczyć jeszcze muszę!

— Wy nie, miłościwy panie—rzekł Huniady—my dla was... Niestety! Zgoda u ludzi w rodzinie,

w domu rzadka, cóż dopiero w kraju takim... w takie czasy!

Westchnął, podnosząc wzrok na Władysława, który słuchał go uważnie i bacznie, tak, że do mówienia wyzywać się zdawał.

— Królów korony i dostojęństwa są ciężarem, miłościwy panie—mówił Huniady—i myśmy wiedzieli, że nie lekką korona św. Szczepana dla was będzie, ale ją okryjecie sławą i chrześcijaństwem się zasłużycie. Wdowa i sieroty nie mogą wchodzić w rachunek, gdzie o losy narodu chodzi. Cóż znaczą prawa rodu wobec praw narodu?—Nie chcieliśmy i nie chcemy panowania wdowy po Albrechcie, bo nam tam groziły frymarki niemieckie ziemią naszą; krajanie jej dla potomstwa, rozdawanie na posagi... Kto wie, jakie kalectwo dla miłości cesarzów...

My nasz kraj, da-li Bóg, rozszerzać pragniemy, ale ani piędzi jego nie damy oderwać!

Huniademu oczy czarne zaświeciły, podniósł głowę.

— Wybraliśmy was, miłościwy panie, jako młodego rycerza krwi dzielnej, bo nam i dłoni młodej i serca potrzeba, a w królu wodza i żołnierza... Poganie leją się z Azyi na kraje nasze i sąsiednie; my murem tu stać musimy, aby krzyż nie obalili i Europy nie obrócili w perzynę.

— Nie skarżcież się, miły panie — dodał — bośmy was do wielkiego i sławnego dzieła powołali. Co znaczy płacz niewieści i pisk dziecięcy, gdy Chrystus woła na nas: brońcie znamienia mojego! Musimy być głusi...

— Miły panie—odparł Władysław—tem prawda, serceście mi rozgrzali, ale nie mniej jam tu przywłaszczycielem, dopóki wy nie jesteście zgodni, i nie królem—ale najeżdżcą, dopóki pół Węgie przy królowej stać będzie.

— Nie potrwa opór—przerwał Huniady!—Za koronację pogrobowca i kardynał Dyonizy, i kroacki

ban, który korony strzedz był powinien, odpowiedzą. Ukoronujemy was, i wszystko się skończy, gdy my złożymy przysięgę wam, a wy nam.

Władysław pozostał milejącym chwilę.

— Wspomnieliście—rzekł ciszej—o odpowiedzialności, do której pociągnąć chcecie arcybiskupa i bana; proszę was, jako o pierwszą mojej woli oznakę, abym mógł wszystkim przebaczyć...

Huniady, jakby te słowa odkryły mu nową stronę charakteru młodego pana, zmierzył go oczyma.

— Piękna jest łaskawość — rzekł zimno, — lecz wierzajcie mi i pomniście to, rodzi ona niewdzięczników, uzuchwala nieprzyjaciół, odwleka koniec. Surowym być musicie i my także, mniej ofiar padnie. Pobląkanie rozplenienia złych!

Mówiąc to, spoglądał spokojnie, lecz Władysław mógł poznać, iż mąż ten nieustraszonej odwagi, był zarazem człowiekiem dobrowolnie i z przekonania nielitościwym.

— Zostawcie nam—dodał Huniady—rozprawienie się z tymi, którzy się sprzeniewierzyli krajowi.

Rumieniec oblał twarz śniadą Jagiełłowego syna.

— Poleje się-li krew—rzekł z siłą wielką—ja korony nią skalanej na skroń moją nie włożę!

Słowa te, któremi rozmowa z Janem Huniadem zakończoną została, bo w tej chwili wszedł kanclerz Maciej, biskup wesprymski z banem sławońskim, Taloczym, uczyniły na nim wrażenie zapewne dobre, gdyż znamionowały siłę i energię, której Huniady po panującym wymagał.

To pierwsze zbliżenie się do najdzielniejszego z wodzów węgierskich było początkiem stosunków, które wprędce poufalszy przybrały charakter. Król znalazł w nim doradcę i pomocnika, choć mu się mężnie sprzeciwiał, budził wiarę w siebie i poszanowanie.

Jeszcze narady o koronację przyszlą nie były skończone, gdy nadbiegła wieść o wzięciu Jawryna i pojmaniu Fryderyka hr. Cilly, wuja królowej, którego w krzakach na wyspie wśród Dunaju zbiegłego, pochwycono.

Prawie razem z gońcem, który oznajmił o tem, przyprowadzony został do Budy i sam jeniec skrepowany.

Węgrzy z radosną wieścią o tem przybiegli do Władysława i sądzili, iż się on też ucieszy pojmaniem jednego z najczynniejszych pomocników królowej, lecz król oznajmienie to przyjął milejąco, chmurno i wejrzeniem, rzuconem na przytomnego Grzegorza z Sanoka okazał tylko, iż mu to przyczyniło frasunku.

Odgrążano się przeciw hr. Cilly, jako zdrajcy.

Nim pierwsza wrzawa, tym wypadkiem obudzona ustała, Władysław wydał rozkaz, aby przyprowadzono do niego więźnia do wielkiej dolnej sali zamkowej.

Hr. Cilly był tak przełękły i niepewien losu, jaki go czeka, że we drzwiach, idąc, zachwiał się o mało nie padłszy. Dumna jego twarz, ogorzała, okryta pyłem, zmęczone oczy, poszarpane suknie, skrepowane w tył ręce, cała postać pańska a nielitośnie przez żołdactwo sponiewierana, obudzała litość. Ludzie, którzy go prowadzili, gdy się zachwiał, zmusili paść na kolana przed królem, lecz dumny hrabia podniósł się prędko sił ostatkiem.

Król, poruszony, pośpieszył mu na pomoc i podźwignął.

Cilly, któremu ten dowód niespodziewany sympatyi trochę wlał nadziei, niezrozumiałemi kilku słowami powitał króla, mierząc go oczyma, w których razem nienawiść, trwoga i zdumienie się malowało.

Król stał przy nim i naprzód dał rozkaz, ażeby go rozwiązano.

Wszyscy oczekiwali odezwania się Władysła-

wa, a w twarzach Węgrów pewien niepokój widać było.

Władysław począł łagodnie.

— Bracie i przyjacielu—rzekł—nie zasłużyłem na to, abyście nieprzyjacielem mi się okazali. To, co cierpicie dziś, nie jest moją winą, ale waszą. Na wybór mój wyście sami zezwolili, położyliście na nim pieczęć własną i złamaliście słowo... Waszej radzie królowa i ja zawdzięczamy wojnę.

Wiecie najlepiej sami, żem ja pierwszy nie pożądał, ani się o królestwo ubiegał. Na wasze naleganie przybyłem tu, a jeśli nie zgodzicie się na wybór mój, w każdej chwili gotów jestem do mojego królestwa powrócić.

Cilly powiódł ręką po czole, chciał coś mówić, lecz głosu dobyć nie mógł. Słowa króla odbiły się tylko przykro na przytomnych Węgrach, którzy spojrzeli po sobie. Pierwszy to raz tak głośno i stanowczo mówił o opuszczeniu Węgier i powrocie do Polski. Czuć było, że nie wyrzekł tego lekkomyślnie i na próżno.

Cilly, gdyby był chciał i mógł, nie znalazłby środków tłumaczenia się. Po chwili król, odstąpiwszy kilka kroków, rozkazał swoim Polakom odprowadzić go do izby, w której oni na straży pozostać mieli.

— Chcę—rzekł do Hińczy z Rogowa—abyście z więźniem obchodzili się, jak jego dostojność wymaga; krzywdy mu nie czynicie, los mu ją już wyrządził.

Węgrzy nalegali o kajdany, aby z pomocą przyjaciół, jacy się w Budzie znaleźć mogli, nie uszedł, król nie dozwolił na nie.

Narady, dosyć burzliwe ciągle, z różnym skutkiem przeciągnęły się do św. Piotra i Pawła. Wygodniejszym znajdowano odbywać je w klasztorze św. Jana u braci św. Franciszka w wielkim ich refektarzu.

Przez cały ten czas król bywał na nich przytomnym, lecz więcej słuchał, niż się odzywał. Grzegorz z Sanoka, który teraz po śmierci Jana z Sennowa, często przy panu pisarza zastępował, śledził w nim skutków tych narad i wrażeń. Znajdował tylko zniechęcenie coraz większe.

Pytany, król poruszał ramionami i myśli swej nie tłumaczył.

Widać było jednak ze wszystkiego, że to królestwo go nie cieszyło, i że nie myślał się dobijać o nie.

O powrocie do Polski mówił często ze swoimi. Biskup Zbyszek tymczasem pilno się właśnie o to starał, aby koszta, mozoły i nadzieje nie zostały stracone. Z nim król, nawykły do poszanowania i uległości, nie wchodził w spór żaden.

W dzień św. Piotra i Pawła, gdy się wszyscy znowu gromadnie zebrali, a nikt się nie spodziewał, ażeby król głos miał zabrać, zarumieniony młodzian powstał z siedzenia. Oczy wszystkich zwróciły się ku niemu.

Począł mówić. W początku gwar, który się jeszcze nie uciszył i głos słaby nie dawał usłyszeć słów króla, lecz wprędce sama ciekawość sprawdziła milczenie.

Prostemi słowy przemawiał do nich od serca, że rzucając kraj swój, spodziewał się, powołany głosi wolności, znaleźć zgodę, pokój i porządek na Węgrzech. Dla nich się poświęcając, opuścił Polskę i Litwę, która właśnie jego przytomności potrzebowała, będąc po śmierci Zygmunta zakłóconą. Powtórzył, że o własnym koscie, z wielkim wysiłkiem przybył ze znacznym pocztem na głos ich i powołanie a nie dla żądzy panowania.

— Opierałem się długo; zmuszony zostałem prośbami waszemi, nie przewidując, co mnie spotkać miało. Zastałem wasze zdania podzielone, kraj w rozterce. Proszę was i błagam, nie pomijcie na mnie, nie uwodźcie się żadnemi wzglę-

dami, czyńcie, co się wam zda lepszem dla kraju. Ja, jakom przybył chętnie, tak chętnie i bez żalu ustąpię.

Taka była treść przemówienia króla, który, coraz się więcej ożywiając, sam poruszony, wszystkich też poruszył szlachetnem tem odezwaniem się, które wywołało zdumienie.

W słuchaczach widać było szczere i serdeczne współczucie dla tego młodzieńca, który korony gotów się był wyrzec dla sumienia.

Wszyscy podzielili się na gromadki, powychodzili niektórzy, widać było gorące i żywe rozprawianie i narady, i w parę godzin dopiero Palatyn Hedrewar wystąpił z odpowiedzią w imieniu zgromadzonych.

Wytłómaczył, jak i dlaczego we Władysławie sobie obrali pana, dla silniejszej od pogan obrony, jak zgoda zdawała się zapewnioną, bo i wdowa po Albrechcie przystała na nią. W końcu wybór ten pierwszy a niezmienny dzisiejszym okrzykiem zgodym potwierdził.

Palatyn mówił długo, gorąco, zapewniając króla o wierności, o gotowości do poświęcenia, aby koronę niepodzielną osiągnął. Ofiarowano przysięgę wierności i posłuszeństwa.

W czasie mowy Palatyna ani jeden głos się nie odezwał przeciwny, owszem ciąglemi okrzykami słowa jego potwierdzano, a całe zgromadzenie podnosiło ręce i zdawało się ożywione uczuciem wdzięczności i gotowością ofiary.

Król zaledwie kilku cichemi słowy podziękował, prosząc, aby nie doznał zawodu.

— W obronie i dla dobra kraju tego, nie będę szczędził trudu!—rzekł w końcu.

Dyonizy, arcybiskup strygoński, przyniesiony krzyż ucałował pierwszy na znak przysięgi ze wszystkimi towarzyszącymi mu biskupami. Po nim ślubowali wierność Palatyn Gara i wszyscy inni.

Starym obyczajem pochwycono potem króla

na ręce i podniesiono po trzykroć do góry, z wołaniem wielkiem wiodąc do kościoła, gdzie arcybiskup dziękczynną pieśń zanucił.

VI.

Wprzód jeszcze, nim król na zamek powrócił, mistrz Grzegorz w towarzystwie Węgra Paloczego, z którym, jakeśmy wspomnieli, dobrą czasu podróży zabrał znajomość, wyszedł z kościoła, aby świeżem odetchnąć powietrzem.

— Dzięki Bogu, wszystko teraz skończone, choć długośmy na to czekali—rzekł Paloczy, który i Polaków i młodego pana, obcując z nim dłużej, polubił bardzo. — Mistrzu Grzegorzu, myślcie teraz, abyście sobie tu gniazdo usłali takie, by po Krakowie nie tęsknić. Nie puścimy was już do Polski.

Spojrzał nań Grzegorz z Sanoka.

— Wszystko to jeszcze są słowa—odpowiedział na przekór Paloczemu, drażniąc go. — Myślicie o koronacyi, a korony nie macie; my zaś nie damy naszego pana uwięzić inaczej, jak tą pobłogosławioną, której królowa Elżbieta wam nie da!

Paloczy dziwną minę zrobił.

— My na to sposób znajdziemy!—rzekł zagadkowo.

— Jaki? Chyba poślecie Polaków Wyszehrad zdobywać? he? — odparł, uśmiechając się, Grzegorz. — Razem z koroną potrzebaby zdobyć i królowę, a tej ani nasz pan, ani my dla niego sobie nie życzymy.

— I bez wyszehradzkiej znajdzie się poświęcana korona—rzekł Paloczy.

— Nie słyszałem, abyście mieli zapaśną — przerwał Grzegorz.

— Przecież widzieliście dziś na zgromadzeniu własnymi waszemi oczyma Władysława Garę, któremu straż koron powierzona była. Mamy go w ręku, musi nam albo koronę dać, lub...

Tu Paloczy powiódł ręką po gardle.

— Takich panów i magnatów jak on — rozśmiał się Grzegorz — na gardle nie karzą nigdy; małych ścinają, wielcy uchodzą cali... my mamy na to przysłowie.

— A my — gorączkowo przerwał Paloczy — przysłowia nie mamy podobnego, ani zwyczaju; im przestępstwo większe, a popelni je mąż, któremu ufano i powierzono wiele, tem kara straszniejsza być powinna.

Grzegorz chciał w żart obrócić to, co Węgra w gniew wprawiało.

— Choćbyście Garze głowę ucięli — rzekł — korony przez to nie odzyskacie!

— Musimy ją mieć, albo inną, któraby tej była warta—dodał Paloczy, żywemi ruchami popierając mowę swoją—bo koronacya nieuchronna, tem śpieszniej i konieczniej, ażeby pierwszą nie-mowlęcia Albrechtowego zniweczyć.

— Pamiętajcie tylko—począł Grzegorz z Sanoka, poważniejąc—gdyście poznali młodego pana, że korona, którąbyście krwią zmazali, lub gwałtem dla niego zdobyli, na jego czystej skroni nie spocnie. Mielście zręczność zrozumieć go wy sami; my powiedzieć możemy, że teraz go dopiero poznajemy bliżej i lepiej, bo w oczach naszych jak kwiat się rozwinął; jest to natura bohaterska, piękna, szlachetna, brzydząca się gwałtem wszelkim i przemieszaniem. Banowi Garze daliście listy żelazne, zaręczające mu bezpieczeństwo; raczej Władysław zrzecze się korony waszej, niż dozwoli, ażeby mu tu włos spadł z głowy.

Namarszczył się Paloczy.

— Bądźcie pewni — rzekł, — że na wszystko radę znajdziemy, a koronacya rychło nastąpić musi.

Grzegorz z Sanoka poruszył ramionami i chcąc dłuższego sporu uniknąć, zamilknął.

Nazajutrz, jak Węgier przepowiedział, panowie węgierscy napadli na bana Władysława Garę, stróża korony, o sprzeniewierzenie się i, nie pytając króla, natychmiast go uwięzić dali—za osobę jego czyniąc odpowiedzialnymi Szymona, biskupa jagierskiego, palatyna i Mikołaja z Frysztadu.

Król, zaledwie wstawszy, ubierać się począł, gdy mu Tarnowski Gratus wiadomość tę przyniósł.

Powolny w innych sprawach, gdzie o cześć jego chodziło, Władysław uniósł się wielką niecierpliwością i gniewem. Nie chciał czekać przybycia panów, którzyby mu o tem oznajmili; posłał Gratusa, aby Huniadego i kilku przedniejszych do niego natychmiast prosił.

Nie widzieli go jeszcze nigdy tak poruszonym przyboezni, do jego łagodności i dobroci nawykli.

Zaledwie Huniady z kanclerzem ukazali się w progu, gdy król żywo podszedł ku nim z brwiami ściągniętymi.

— Nie chcę wierzyć temu, co mi przyniesiono—rzekł dumnie.—Prawda-li, żeście bana Władysława uwięzić kazali?

Huniady wystąpił pierwszy.

— Tak jest, miłościwy panie — odparł stanowczo i śmiało.—Ban miał powierzona straż insygniów królewskich, był odpowiedzialnym za nie. Wydał je, lub niedbalstwem swem dozwolił je królowej przywłaszczyć. To ułatwiło śmieszna koronacyę pogrobowca, a drugą koronę królowa zasztaftowała cesarzowi i za okup jej wojnę prowadzić będzie. Słuszna rzecz, żeby stróż za skarb odpowiadał.

— Z tego, com słyszał i wiem—rzekł król—

widzę, że królowa i jej służba więcej winna, niż Gara. Ale, winien czy nie, ban ma list żelazny, za którym, słowu mojemu ufając, tu przybył; nie dozwolę go więzić i zatrzymać.

— Listy dane były, gdy wino jego nie została dowiedziona — przerwał kanclerz. — Nie one nie znaczą!

— Słowo moje — zawołał król — droższe mi jest, niż korona. To jedno powiedzieć wam chciałem i uroczyste oznajmić, iż, Bóg świadek, jeżeli ban nie zostanie uwolniony, ja koronować się nie chcę, nie będę i natychmiast do Polski powracam!

Młody król wyrzekł to z taką mocą, głosem podniesionym, i skończywszy z dumą taką cofnął się w głąb izby, dając czuć, że dłużej o tem rozprawiać nie myśli, iż Huniady i kanclerz odpowiadać nie śmieli.

Po chwili milczenia, Władysław zwrócił się do Huniada.

— Bądźcie posłem moim, to ostatnie słowo. Skinął i wszedł do sypialni.

Kanclerz z towarzyszem, nie zwlekając, zwrócili się do izby, w której obradowano, odnosząc wyrok królewski.

Długi dość przeciąg czasu upłynął, nim oznajmiono królowi, że nadeszli węgierscy magnaci, wiodąc z sobą bana Garę.

Widać było po nich, jak gorącą i namiętą walkę stoczyli. Twarze i oczy były rozognione, piersi buchały, z ust wyrwały się słowa, jak bryzgi ukropu. Szli sporząc jeszcze, a Władysław Gara w pół strwożony, na pół roznamiętniony doznaniem upokorzeniem, ciągnął za niemi, nie ustając wyrzekać i tłómaczyć się.

Dopiero w sali umilkli, oczekując na króla, który wyszedł sam jeden, a spojrzenia nań dosyć było, aby dowieść, że zdania swojego zmienić nie myśli.

Kanclerz w imieniu rady począł się rozwo-

dzić, usprawiedliwiając uwięzienie, gdy król mówił mu nie dając, przeciał zaraz.

— Słyszeliście wolę moją; tej nie naruszy żadne dowodzenie przeciwne.

Gara podniósł głos, bijąc się w piersi i krzyząc namiętnie.

— Nie wydawałem korony... wyrwano mi ją, stał się gwałt! rabunek! rozbój! Ślijcie, przekonajcie się, pudło jest złamane, pieczęcie pokruszone.

— Dobrowolnieś ją wydał! — przerwał jeden z magnatów. — Trzymałeś z królową!

Zaczęto wołać ze wszystkich stron i wrzawa się stała, która królowi była uwłaczającą i nieprzyjemną.

Powtórzył krótko i stanowczo, że żąda uwolnienia Gary. Kanclerz na to wybuchnął, spojrzawszy po swoich.

— Na rozkaz wasz, miłościwy panie, dajemy mu wolność; ale pomniście, że wrogiem był i będzie. Stanie się-li co przez niego, własnemu pobłażaniu przypiszeć to, miłościwy panie... my nie będziemy winni!

Król spojrzął na Garę, który powiódłszy oczyma pełnemi nienawiści po stojących dokoła, ze złożonymi rękami zwrócił się do młodego pana i pokłonił mu.

— Pókim żyw, dobrodziejstwa tego nie zapomnę — rzekł — a przekonam oszczerców, iż mnie osadzili niesprawiedliwie.

Tak przeciwko wszystkim zawyrokowawszy, król odpuścił ich, nie chcąc słuchać ani dziękczynień bana, ani usprawiedliwień sędziów jego.

Wszyscy tłumnie i z wrzawą ponowioną wysypali się z królewskich pokojów.

Do dalszych uchwał, dotyczących się koronacyi, król mieszać się nie chciał, bo mu wcale o przyspieszenie jej nie chodziło. Unikał nawet dowiadowania się o nie.

Za to Grzegorz z Sanoka, który nie miał do czynienia wiele, bo go poniekąd z umysłu, niedowierzając mu i lękając się niezależnego charakteru, o który go posądzano, — zastępowano przez dziekana Lasockiego... stosunki pozawiazywawszy z Węgrami, nauczywszy się już ich języka, przestając ciągle z niemi, najprędzej był o każdej czynności uwiadomionym.

Wszystko, co się tu działo, nie było mu po myśli. Żałował Władysława, przeczuwał, że mógł się stać w rękach ludzi ofiarą swego szlachetnego charakteru.

Dziekan Lasocki i biskup Zbyszek, słysząc czasem swobodnie i ironicznie odzywającego się mistrza Grzegorza, nie dowierzali mu, obawiali go się przy królu. Była już parę razy mowa o wysłaniu go do Polski, ale król okazał, że radby go zatrzymać przy sobie.

Do czasu więc nie ruszano go, patrząc nań tylko zdaleka.

Biskup Oleśnicki zaraz po koronacyi, o którą nalegał wraz z Węgrami, chciał i musiał powrócić do Polski. Na swem miejscu, jako *alter ego*, zostawiał Lasockiego, a dla większego bezpieczeństwa byłby chętnie zabrał Grzegorza z Sanoka. Wszystkie śmielsze odezwania się króla, słusznie czy nie, jego wpływowi przypisywano.

Nim na dworze wiadomem było, co panowie postanowią w sprawie koronacyi, Paloczy przybiegł już do mistrza.

— Tym razem — rzekł, siadając zdyszany — skończone wszystko, zaprawdę! Dla sprawdzenia, że korona wykradziona została, posyłają do Wyszehradu braci Jaczków; a w miejsce tej, którą królowa sobie przywłaszczyła, mamy świętszą jeszcze i ubłogosławioną, tę, która spoczywa na głowie św. Stefana.

— Jakto? — zakrzyknął Grzegorz, łamiąc rękę. — Z grobu, ze zwłok chcecie świętokradzko

porwać koronę, aby nią koronować... jakby na śmierci przepowiednię! Na Boga! Pomyślcież, gdzie się to? Z grobu? z trupa?

Paloczy ruszył ramionami.

— Jest to najdroższa relikwia nasza! — zawołał — a któraż korona nie spoczywała na umarłych skroniach? Nie możemy młodemu panu dać lepszego dowodu miłości naszej, jak uznając go godnym tej korony, która na głowie apostoła Węgier czekała na niego!

— Nie potraficie przecież odjąć i jemu, i nam tej myśli, że wy go nie koroną żywych, ale umarłych uwieńczyliście, jakby był sam na śmierć przeznaczonym! — odparł Grzegorz z Sanoka, wzdychając.

— Władysław Gara jedzie z Jaczkami zdać Wyszehrad królowi — dodał Węgier. — Koronacya naznaczona w Białogrodzie na dzień świętego Aleksego.

Wszystko to mniej obchodziło mistrza; w myśli jego utkwiło jedno to, że koronę z grobu brać musiano. Nie mógł się oprzeć tej smutnej wróżbie, jaką z sobą niosła, a więcej nad wszystko obawiał się, aby na królu wiadomość o tem nie zrobiła przykrego, odrażającego wrażenia. Ale temu podejmował się zapobiedz biskup Zbyszek, który miał Władysławowi ukazać koronę św. Stefana, jako ubłogosławioną i błogosławieństwo przynoszącą relikwię.

Grzegorz z Sanoka wcale nie śpieszył się oznajmywać królowi, czekając raczej, aby on mu pierwszy o tem powiedział i swoje zdanie zwierzył. Zwykł był bowiem król, najczęściej, gdy dzień się urzędownie skończył i wszyscy porzucali, powoływać do siebie mistrza i poufale z nim rozmawiać, radzić się, lub użalać.

Być może, iż poufne te, ciche rozmowy, o których komornicy Władysława wiedzieli i donosić o nich musieli, niebezpiecznemi się wyda-

wały biskupowi Oleśnickiemu, na miejscu Grzegorza z Sanoka, żądającemu widzieć Lasockiego. Tego król chętnie też słuchał i nim się posługiwał, lecz skłonności do zwierzenia mu myśli swoich nie okazywał.

Wieczorem, jak zwykle, znalazł się Grzegorz dla odczytania modlitw w sypialni królewskiej.

— Wy wszystko wiecie naprzód i prędzej, niż ja — odezwał się do niego Władysław — więc i o koronacyi pewnie już wam mówiono.

— Naznaczono ją na dzień św. Aleksego — rzekł Grzegorz — słyszałem o tem.

— Dali mi dowód czci swej niemały — dodał król; — najdroższą relikwię, koronę św. Stefana przeznaczając na ten obrzęd.

Grzegorz czekał, co król o tem powie i przekonał się, że to, co go uderzyło, owa przepowiednia grobowa, na umyśle Władysława wcale się nie odbiła. Widział tylko świętość korony. Uradował się temu prawie, iż on sam tylko doznał uczucia przykrego, które młodemu panu pobożność jego nie dozwoliła podzielać.

— Tak więc — mówił król z pewnym smutkiem, dokonać się ma to, co mi było przeznaczonem. Tyś świadkiem, żem nie pragnął brzemienia tego, nie mogłem się mu bronić. Potrafili ja dźwignąć je?

— Miłościwy królu — rzekł, pocieszając, Grzegorz z Sanoka — już ten pośpiech i gorącość, z jaką cię na tron wiodą, wróżą, że u boku twego do stoją wiernie. Zatem, w Bogu nadzieja.

Zamyślony Władysław nie odpowiedział nic; rozpoczął wieczorne modlitwy.

Nazajutrz Gratus Tarnowski, dwaj Zawiszowie i kilku młodzieży, pragnący znużonego króla rozerwać, zrana do łowów się z nim przysposobili.

Były one rozrywką dla niego, ale nie taką namiętnością, z jaką się im ojciec oddawał. Z so-

kołami szczególniej Władysław jeździć lubił, a tu mu na nich nie zbywało. Codzień prawie przynoszono je w podarkach, tak, że sokolniczych do nich zastarczyć było trudno.

Dzień się obiecywał skwarny. Konie już stały w podwórzu zamkowym, gdy dała się słyszeć wrzawa jakaś w izbach, poprzedzających królewskie. Rozeznąć w niej mogli łatwo głosy krzykliwe, spór jakiś i wołanie Węgrów, stojących z Polakami u drzwi na straży.

Codzień prawie się trafiało coś podobnego, więc wagi do tego nie przywiązywano; Gratus z Tarnowa wybiegł się dowiedzieć o przyczynie sporu, i po chwili wrócił błądy, a zaniemiały.

Król wstrzymał się z wyjściem, choć już rękawicę ptasniczą miał w ręku.

— Cóż to za wrzawa? — zapytał.

— Zaprawdę, — bąknął Gratus pomieszany — nie wiem! Człek jakiś dobija się do króla, chcąc go widzieć koniecznie... strażę nie puszczają. Krzyczy umyślnie, aby się dał słyszeć.

— Któż to? pokrzywdzony może? potrzebujący sprawiedliwości? — odparł król, posuwając się naprzód.

Gratus zastąpił mu drogę.

— Miłościwy panie, włóczęga jakiś. Ks. Lasocki na rozkaz wasz wspomógł go jakim datkiem, nie wychodźcie.

— Ale ja chcę go widzieć! — przerwał Władysław, marszcząc się i zlekka usuwając Tarnowskiego!

Stał w progu sali wielkiej król, gdy w drugim jej końcu, wyrrywający się z rąk dwom drabom, mężczyzna ogorzały, silny, wielkiego wzrostu, w odzieży potarganej, z odsłoniętą piersią obrosłą, krzycząc, wcisnął się, a ujrzawszy króla, rękę podniósł i wołał:

— Muszę z królem mówić! muszę!

— Puszczajcie go! — zawołał Władysław.

Nim ten rozkaz spełniono, już po za nieznanym człekiem znaleźli się niespokojni o bezpieczeństwo królewskie: Huniady, Orszag i kilku innych.

Puszczony rzucił się wprost, oczyma szukając króla. Domyślił się go z postawy i oblicza. Padł na kolana, lecz nie mógł mówić, bo walka ze strażą i jakieś roznamietnienie oddech mu zatamowały.

Tymczasem Huniady i inni nadbiegający stanęli tuż.

Kłęczący na ziemi, obłąkanemi oczyma wodził dokoła, potem rękami drżącemi począł dobywać coś z za sukni i worek skórzany, w którym brzęczało złoto, rzucił na podłogę. Podniósł rękę ku królowi i mówić począł żywo, niezrozumiale, bełkotliwie, po madziarsku.

— Oto złoto — krzyknął, — które mi dali słudzy królowej z jej rozkazu, za to, abym cię zabił, panie! Tak, przysięgam na to... chciało mnie kupić, wysłano z tem... i oto przychodzę ci wyjawić! Nie będę zbójcą!

Król nie uląkł się wcale, lecz pobladł i czoło zmarszczył. Nim miał czas odpowiedzieć, rzucić pytanie, rozmyśleć, co czynić z winowajcą, już za nim dał się słyszeć krzyk i na znak Huniada, porwała się na niego straż węgierska, schwyciła, jeden za gardło go ścisnął i na rękach prawie miotającego się wynieśli.

Na rozkaz króla pobiegli zaraz Polacy, lecz Węgrzy byli tak rozjuszeni i wściekli, że niepodobna było do nich przystąpić, ani mówić z nimi.

W mgnieniu oka znikł i ten człowiek, i ci, co go porwali. Cisza zaległa w podwórcach.

Król wstrzymał się z wyjazdem. Cały dwór polski zbiegł się w jakiejś trwodze o pana swego. Stało się to w chwili, gdy o żadnem niebezpieczeństwie nie marzono nawet i nie przypuszczano.

Napróżno wyglądał Władysław, ażeby mieć

jakąś wiadomość o człowieku tym i przygodzie... nikogo na zamku znaleźć nie było można do południa.

Nadechodzący biskup Zbyszek nie wiedział o niczem. Nierychło wreszcie zjawił się Huniady z tą twarzą, jaką miewał zawsze, nawet gdy wszyscy się roznamietniali... poważną i chłodną. Przystąpił do króla z pokłonem i uprzedzając jego pytanie, rzekł spokojnie.

— Wrzawa niepotrzebna. Człowiek szalony, jak się zdaje. Skwar słoneczny przepalił mu czaszkę, — plótno od rzeczy. Niema o czem mówić.

— Cóż z nim uczyniono? — przerwał król.

— Zapewne, jako szalonego, zamkną go — dodał obojętnie Huniady.

Nie więcej dowiedzieć się już nie było można. Panowie węgierscy dali sobie słowo zapewne, iż toż samo będą wszystkim powtarzać.

O losie człowieka nikt nie wiedział; starano się wypadkowi odjąć wszelkie znaczenie i wagę. Król się jednak uspokoić tem nie dał, ale domaganie się jego zbywano odpowiedziami obojętnymi.

Wszyscy usiłowali przez dzień cały uwagę od tego wypadku odwrócić i zatrzeć jego wspomnienie. Na królu wszakże widać było, iż nim znowu niepokój owładnął.

Grzegorz z Sanoka, który nie był wypadkowi przytomny, dowiedział się o nim dopiero od jednego z Tarnowskich. Natychmiast poszedł na zwiady, ale Paloczego, na którego najwięcej rachował, nie znalazł. Gdy się już nad wieczorem zjawił, miał oblicze nachmurzone. Zapytania mistrza zbywał w początku, tak samo jak inni, tłómacząc przygodę szaleństwem i usiłując ją lekceważyć. Lecz Grzegorza z Sanoka niełatwo oszukać było.

— Kłamcie sobie przed królem, co chcecie — rzekł — ja wam nawet w tem dopomagać jestem gotów, ale dla siebie chcę wiedzieć prawdę.

— Kiedy pono nikt jej tu się już nie dowie— szepnął po naleganiu Paloczy. — Człowiek albo istotnie przez sługi Elżbiety przekupionym był, bo ta, co koronę dla dziecka wykradła, mogła dla niego i na zabójstwo się ważyć... albo kłamał dla zyskania nagrody.

— Przecie w końcu pod grozą kary przyzna się— rzekł Grzegorz.

Paloczy ręką zamachnął i szepnął cicho:

— Ja tam nie byłem. Brali go na męki! brali! kleszczami go rwali, piekli!

Dokończył ruchem tylko znaczącym.

— Żyw?— zapytał Grzegorz.

— Rozszarpać go kazano — odparł Paloczy jeszcze ostrożniej i oczy podnosząc, dodał:

— Któż ich wie? może ci, co się obawiali, aby ich nie wydał, śmierć mu przyśpieszili!

— Zewsząd więc jeszcze otacza nas niebezpieczeństwo!— łamiąc ręce rozpaczliwie, wykrzyknął Grzegorz. — O! ten biedny młodzian nasz, po co jemu i nam było leżeć w to gniazdo osie!

Wstrząsnął się Paloczy.

— Nie mówcie tego, nie mówcie. Żłem się wygadał. Srogości tu potrzeba było, dla tego ukarano podłego złoczyńcę! I nikomu nie przebaczymy. Wasz pan za dobry jest, ale my za niego okrutni być musimy. Niech i człowiek ten, i pamięć o nim przepadnie!

Paloczy nie już więcej powiedzieć nie chciał. Wypadek też zatarty żadnych dalszych następstw nie miał. Utajono przed królem los, jaki spotkał winowajcę, czy szaleńca, o którego nazwisku sami nawet Węgrowie nie wiedzieli. Pastwiono się bowiem nad nim z wściekłością taką, z takim zapamiętaniem, że nie badając prawie, życie mu wzięto.

Tajemnicą więc na wieki okryte było to wrzekomie targnięcie się na życie króla, a domysł tych, którzy przypuszczali, że naślanego zbójcę zadła-

wiono, aby ohydę czynu od królowej odwrócić... może nie był bez podstawy. W pośród tych, co Władysławowi przysięgali wierność i służyli mu, znaczniejsza część potajemnie sprzyjała wdowie.

Nadszedł w ostatku dzień ten uroczysty, w którym na skroń młodzieńczą polskiego króla miano włożyć koronę św. Szczepana.

Wszystko, co otaczało Władysława w Peszcie, pociągnęło do Białogrodu. Tu naprzód wobec Jaceków i panów polskich okazano rozbitą skrzynię, z pieczęciami złamanymi, z której korona wykradzioną została przez starą Kottanerin. Znalazły się w niej berło, jabłko i ów podwójny krzyż, który w r. 1000 papież dozwolił nosić przed królem Węgier, gdy mu koronę, dla Bolesława polskiego przeznaczoną, oddawał.

W niewielkim kościele białogrodzkim zaledwie celniejsi panowie, dostojnicy i duchowieństwo pomieścić się mogło. Tłumy oblegały go dookoła. Arcybiskup Dionizy dopełniał obrzędu.

Szaty, w które przybrano króla, stojącego przed ołtarzem, były też same, które się od tysiącznego roku przechowywały, ze starości wytarte i zszarżane, ale starością swą samą uświęcone.

Z kościoła po nabożeństwie i obrzędzie, w którym Zbigniew Oleśnicki uczestniczył, poprowadzono w pełnym ubiorze królewskim Władysława do grobu Giejszy i Adelajdy.

Wszystkie obyczaje dawne zachowane zostały, sąd pierwszy i na wieży kościoła św. Marcina dobytym mieczem na cztery strony świata cięcie w powietrzu, oznaczające, iż gotów był bronić państwa od wszelkiej napaści.

Wspaniała uczta, turnieje i zabawy, wśród radości powszechnej zamknęły ten dzień pamiętny.

Teraz mógł Paloczy powiedzieć w istocie przyjacielowi, że wszystko skończone zostało.

Władysław przed ołtarzem wziął ślub nierozzerwany z państwem, za które wojować musiał. Był

panem dwóch królestw, a biskup Zbyszek po skończonym obrzędzie, z rozrzewnieniem go witając, rzekł mu słowa, które w duszy młodej wypiętnowały się jak wyrok i przepowiednia.

— Spełniły się wróżby. Bóg ci dał potęgę. Dwakroć namaszczone skroń twoją! Apostolski krzyż niesiono przed tobą, stałeś się rycerzem Chrystusowym, obrońcą świata chrześcijańskiego na granicy, którą szczybi miecz pogański. Walcz za wiarę w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

— Amen! — szepnął król pocichu.

Od dnia, w którym przebył granicę, aż do tej chwili wielkiej, rozstrzygającej o posłannictwie jego, Władysław rósł w oczach wszystkich i dojrzywał cudownie. Dawało się to najwięcej czuć w porównaniu z rówieśnikami, z którymi wyjechał z Polski, stojąc na jednym stopniu, czując się im bratem. Dziś, i on, i oni sami codzień się przekonywali, że przerósł ich głową i sercem. Zdawał się duchem pracować nieustannie, aby odpowiedzieć temu wielkiemu przeznaczeniu wodza chrześcijańskiego, które na niego włożyły losy.

Dokoła nieustannie słyszał to powoływanie, to wzywanie na wodza, na obrońcę. Do ostatka w pokorze i obawie wzdragał się wziąć brzemię nad siły, lecz gdy raz uczuł, że wyrok był nieodwołalny, starał się dorosnąć do swych przeznaczeń.

Po dniu tym nabożeństwa i znużenia, gdy Grzegorz wszedł po wszystkich innych powitać go i winszować mu, znalazł złamanego trudem niezmiernym, ale z obliczem rozjaśnionem.

— Nie winszuj mi — rzekł — ale mi życz, abym godnym był tego, co otrzymałem... krzyża i miecza poświęconego! Teraz dopiero poczynę się życie moje, które promienieć powinno cnotą i sławą!

Podniósł ręce do góry i twarz sobie zakrył niemi.

— Grzegorzu mój — szepnął poufalej — gdybyś ty był w sercu mojem, a wiedział, co się w niem działo dnia tego i co przesunęło się przed oczyma mojemu! Czułem, jak moc jakaś wchodziła we mnie z tych szat apostoła, z tej korony świętego, z tych modlitw i pieśni! Łzy mi na oczach stawały... a za niemi widziałem Polskę naszą, której się stałem niewiernym.

— Abyś służył sprawie Chrystusa — dodał również wzruszony Grzegorz — Chrystusa, którego ta nasza Polska jest córką!

— Kiedy ja ją zobaczę? — westchnął król. — Kiedy się dowiem, co się z nią, z matką i Kaźmierzem dzieje?

— Biskup powraca do Krakowa — odezwał się Grzegorz, uspokajając — posiłki też z Polski są potrzebne, bo Turek około Białogrodu stoi. Nie opuszczają nas tutaj.

W kilka dni potem Władysław powracał do Budy, dokąd na pozór pomyślna przyszła wiadomość, że królowa Elżbieta, dowiedziawszy się o koronacyi, zrozpaczona, we łzach cała, przeklinając wiarołomnych Węgrów, z Presburga wyjechała do Austrii, udając się pod opiekę cesarza Fryderyka wraz z synem.

Mogło się zdawać krótkowidzącym, że wojna była skończoną, a przynajmniej zachwianą, bo Fryderyk, ten «pan małego serca» własnych korzyści szukając w opiece sieroty, pomagać mu nie myślał; ale Elżbieta ostatni łańcuch i pierścień gotową była poświęcić dla sprawy syna, a ochotnicy, których łup wojenny łudził, cisnęli się pod chorągwie Giskry, aby Węgrom nie dać spokoju.

VII.

Najprzewielebniejszemu panu, opiekunowi najlaskawszemu, ojcu Wincentemu, z Bożej łaski arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, Grzegorz z Sanoka, sługa najmniejszy, zdrowia i powodzenia życzy:

Buda, 10 grudnia 1442 roku.

Najmiłościwszy Panie i Ojczel

Przez powracającego z Krakowa ojca Klemensa, który miał to szczęście miłość waszą oglądać i z nią obcować, otrzymawszy zlecenie, abym o tem, co się tu z nami, a najbardziej z królem, naszym panem najmilszym, dzieje, listownie doniósł, śpieszę rozkaz miłości waszej spełnić tem ochotniej, że tą spowiedzią jakobym zrzucił z serca ciężar i brzemię, które często je ugniata.

Aczkolwiek jest nas tu niemało swoich, a i obcych przyswojonych nie braknie, nie wszystko można i godzi się zwierzyć, bo słowo jest jako lekarstwo, które zarazem trucizną być może, gdy się je nie w porze i nie w pełni zdrowia ludziom zadaje.

Myśmy zaś tutaj, przewielebny ojczel, wszyscy bez mała chorzy, a w nieustannej gorączce trwający, i jednemu dziwić się przychodzi, że lat oto już trzy bez mała słabując, jeszcze się przy życiu trzymamy.

Wiadome są miłości waszej pierwsze przygody na Węgrzech nasze, jakośmy na gotowy tron i królestwo otwarte wesoło śpieszyli, a znaleźli kraj srodze zawichrzony, przyjaciół niepewnych, wrogów skrytych i jawnych, pułapki i zasieki na każdym kroku.

Jeżeliśmy dotąd szczęśliwie i z chwałą wielką dla pana naszego wyszli z onych zasadzek, za-

sługując na imię dobre u blizkich i dalszych, szczególnej to opiece Bożej i modlitwom pobożnych zawdzięczamy.

Zważyć albowiem potrzeba, żeśmy i my dosyć nieświadomi kraju tego przybywali i król nasz jeszcze sztuki rządzenia nie miał czasu się nauczyć tem, co najskuteczniejsze, doświadczeniem.

O pierwszych, jakieśmy tu mieli do przezwyciężenia, trudnościach, nie potrzebuję donosić przewielebności waszej, albowiem one powszechnie są znane.

J. M. ks. biskup krakowski, powracając z Budy po koronacyi, najlepszą z tego zdał sprawę, co oglądał, przebył i w czem (*pars magna fuit*) brał udział wielki.

Zdawało się ludziom płytkiego umysłu, że z tem uwięzieniem pana naszego tak uroczystem, koroną apostolską Stefana świętego, wszystko szczęśliwie dokonaniem zostało. Powieźli tę wiadomość królowej pani do Sanoka ks. biskup krakowski i wojewoda. Aliści rozpoczęły się tu dopiero ze zwolennikami matki i syna, nieskończone utarczki, branie i odbieranie zamków, ściąganie coraz nowych oddziałów z Czech i Niemiec, wszelkiego najemnika, który zbroje dlatego przywdziewa, aby żądzy łupiestwa i mordu zadość uczynił.

Co król nasz pod te czasy od nieustannych zdrad ucierpiał, od tych właśnie, którym żywot i cześć łaską swą darował, od Cillych, od Gary, od innych panów węgierskich, tego opisywać nie chcę ani mogę. I jakom ja też za posiłkami do Polski jeździć musiał i ich się dopraszać na zjeździe, o tem miłość wasza wiecie dobrze.

Z jednej strony mając oddziały najemników królowej Elżbiety, z drugiej pogan od Adryanopola na granice i w same wnętrzności niemal państwa tego wkraczających, a okrucieństw swemi i zuchwalstwem zagrażających, król musiał do

Polski się odwoływać o ludzi, aby dwojakiemu nieprzyjacielowi podołać.

A jako ten pan nasz, przez wszystek czas upłyniony, monarszym swym obowiązkom, mimo młodego wieku, krewkości i złości ludzkiej, cudownie podołał, tego tu wszyscy świadkami są, jednogłośnie wychwalić się go nie mogąc. Jedno mu tylko Węgrowie, szczególnie wojewoda Huniady zarzuca, iż zbytnią łaskawością złych uzuchwala. Ale do srogości go nawet własne niebezpieczeństwo skłonić nie mogło, gdyż wziął to sobie za godło, iż monarchy przywilejem najdroższym jest życzliwość.

Widzieliśmy go też i widzimy, ilekroć tylko może, przebacającego, a nie zdarzało się go nam widzieć domagającego kary.

Ta dobroć króla, choć mu wiele sere pozyskała, nie potrafiła jednak wojny ukrócić i królowej wdowy skłonić do układów, wielkroć przedsiębranych.

Zbliżka będąc przy królu ciągle, a często powiernikiem myśli jego, najlepiej poświadczyć mogę, jak go boli, iż go Węgrowie postawili w takiej ostateczności, że świat cały, nawet Ojciec św. Eugeniusz IV i zachodni monarchowie Europy widzą w nim przywłaszczyciela i wydziercę korony, komu innemu należnej.

Niemal krwawemi łzami nieraz opłakiwać mu to przyszło, iż się skłonić dał do przyjęcia korony, którą mu gwałtem narzucano, a z nią razem potwarzą okryto. Stokroćby się jej był rad wyrzec, a do Polski powrócić, ale go tu związane przysięgą, i musi bronić nie tylko Węgier, ale chrześcijaństwa całego, do których one są jakby wrotami dla pogan.

Na straży więc bramy tej, na której wierzchołku krzyż Chrystusowy jest utkwiony, stać musi ten wielki duchem, choć młody wiekiem pan nasz.

Walk tych z Turkami z jednej strony zwycięsko wiedzionych przez walecznego wodza Huniady, z drugiej przez ochotników naszych polskich, opisywać nie będę.

Wiadomem miłości waszej, jak ciężko dotknięty jest Kościół i cały świat chrześcijański tą rozterką, która Ojca św. Eugeniusza IV, papieża z Soborem poróżniła i skłoniła do wyboru Feliksa V, przez co rozdwojoną została zwierzchnia nad Kościołem władza w chwili, gdy ona całą siłę swą przeciw poganom obrócić była powinna.

My tutaj, nie rozstrzygając sporu tego, aczkolwiek akademii krakowskiej za nowo obranym Feliksem V się oświadczyła, w Węgrzech pozostaliśmy wiernymi dawnemu panu. Z obu stron też do króla naszego i cesarza wyprawione zostały poselstwa w celu pojednania i zawarcia pokoju, aby tem skuteczniej przeciwko poganom uderzyć było można całą siłą.

Od Feliksa V wysłany biskup trydentyński, patriarcha akwilejski, książę Aleksander mazowiecki, rodzony wuj króla naszego, nie bez myśli, iż węzłem krwi z nim połączony, skuteczniej na myśl jego wpłynąć może.

Ze strony Eugeniusza IV wybór posła najmniej był trafny i szczęśliwy, padł bowiem na dawno w Polsce znanego i oswojonego ze sprawą i ludźmi naszymi najprzewielebniejszego biskupa Sabińskiego, kardynała Juliana Cesarini. Komukolwiek posłowie oba bliżej znani byli i kto ich na dworze cesarskim oglądał, łatwo mógł zawczasu przewidzieć, przy kim z nich będzie zwycięstwo.

Nie odmawiając ani powagi, ani innych przymiotów kardynałowi Aleksandrowi, żadną jednak miarą porównać go do biskupa Sabińskiego nie było można. Wszystko, na czem zbywało akwilejskiemu patriarsze, Cesarini posiada w najwyższym stopniu. Wielką znajomość ludzi i spraw,

bystrość i żywość umysłu niezrównaną, pracowitość niezmordowaną, dar wymowy nadzwyczajny, naostatek w podobnych okolicznościach najniezbędniejszą śmiałość i wiarę w siły własne.

Już na cesarskim dworze zauważonem było, że patriarcha akwilejski w tropy Cesariniego wchodził, sam drogi swej niepewny, co przewidywać dozwalało, że mężowi takiej rzutkości i śmiałości, a przenikliwości wielkiej podobać nie może.

Węgry też, jako stały wprzód przy Eugeniuszu IV, tak wierni mu być postanowiły.

Można rzec, że przybycie biskupa Sabińskiego do Budy i króla naszego nowe jakoby życie w nas wlało. Zważyliśmy już byli o możliwości pokoju i układów z królową Elżbietą, a wojna z nią walkę z poganami hamowała.

Cesarini, przybywszy tu, odrazu natchnął nas nadzieją, niemal pewnością tą, że królowa wdowa pojednać się musi z panem naszym, będąc do tego zniewoloną zupełnem wyczerpaniem skarbu i straconą nadzieją, aby cesarz Fryderyk miał jej i synowi być pomocnym. Zabrał on wprawdzie sierotę i koronę jego, ale zagarnął razem austriacki dział nań przypadający i dochody z niego, a królowej wszelkiego posiłku odmawiał.

Przybywszy tu w czerwcu, kardynał Cesarini ani chwili nie stracił, namawiając do pokoju i zgody. W panu naszym znalazł do nich takie usposobienie, iż lepszego pożądać nie mógł. Do niczego bowiem od wstąpienia na tron król Władysław nie wzdychał, tylko do przejednania się z wdową Elżbietą. O ile mu niewłaściwe dla wieku małżeństwo z nią zawsze wstrętnem było, o tyle układ jakiś, bodaj z ustępstwem części swych praw, upragnionym.

Bliżsi go będąc, niż inni, jako domownicy, najdowodniej o tem poświadczyć możemy. Tu więc ziarno padło na rolę dobrze przygotowaną i uprawną.

Byłem przytomnym, gdy biskup Sabiński po raz pierwszy życzenie to wynurzył, na co król mu odpowiedział: «Nikt nademnie goręcej tego nie pragnie, ale też i mniej się tego nie spodziewa. Posyłałem do królowej niejednokrotnie do Presburga i do Jawrynu, ofiarując gotowość do wszelkich ustępstw; królowa zawsze je odrzucała. Z panami węgierskimi zagać sprawę tę było trudniej, gdyż niewielu z nich pojednania żądało, z różnych powodów się go lękając, a najmożliwszy podówczas Huniady oświadczył się stanowczo i wyraźnie przeciw wszelkiej zgodzie, któraby jakkolwiek uszczerek królestwu przynieść mogła.»

Nie zraził się tem jednak Cesarini, i poczęły się odtąd podróże jego do Jawrynu, kędy królowa przebywała, dłuższe na dworze jej zamieszkiwanie i przygotowywanie.

Nie bez podstawy ufał kardynał potędze słowa swojego, albowiem mało jest ludzi na świecie, którzyby równą jemu obdarzeni byli. Nie spotykałem w życiu mężów, coby zręczniejsi, wchodząc zawsze na pozór w myśl tego, z kim mieli do czynienia, zwolna go na to pole wyprowadzać umieli, na którem mieć chcieli. Sądzę też, choć świadkiem rokowań nie byłem, wnosząc z tego, jak się one z drugimi odbywały, że kardynał i królowę do zamierzonego celu doprowadzić się starał.

Jeżeli mu się to nie tak prędko i nie tak łatwo dało spełnić, przypisać potrzeba macierzyńskiemu uczuciu, obrażonej dumie, niewieściemu uporowi i kilkoletniej walce, która nadzieję dalszego jej przedłużania usprawiedliwiała.

Częstokroć tygodni kilka zostawał kardynał w Jawrynie, powracając do Budy z niczem, ale z umysłem niezachwianym, nigdy nadziei nie tracąc.

Z królem zaś o zgodzie mówić nie potrzebował, tu on miał cel inny i równie jak pierwszy do osiągnięcia łatwy. Usiłował skłonić Władysława,

aby stanął na czele wojska chrześcijańskiego dla złamania tureckiej potęgi. Więc obietnice pieniężnego zasiłku od papieża, ogłoszenia krucjaty, wysłania w pomoc floty, nadejścia posiłków z Niemiec, Włoch i dalszych krajów, wszystko to powtarzaniem było. Lecz żeby wodzem stanąć na czele tej potęgi, potrzeba było wprzód Węgry zabezpieczyć, z królową i cesarzem pokój, lub rozejm zawrzeć długoletni. Tego żądał król i Węgrowie, a potrzebę widział kardynał.

Wszelkie więc staranie ku temu skierowaniem być musiało.

Rachował Cesarini na to głównie, iż w Jawrynie przebywając, miał zręczność przekonać się najdowodniej, jak wszelkie zapasy i środki pozyskania pomocy pieniężnej wyczerpane zostały. Na tem zubożeniu królowej Elżbiety wszystko się budowało.

Jednakże przywiedziona do ostatka wdowa, widząc, jak pokój był potrzebny nie tylko Władysławowi, ale światu całemu twarde stawiała warunki, z godnością, dostojęstwem, nawet cześć pana naszego nie dające się pojednać.

Stojąc przy tem, że syn jej był dziedzicem królestwa, wymagała, aby Władysław zrzekł się tytułu królewskiego i praw z nim połączonych, rządu zaś królestwa sprawował w imieniu jej syna, aż do dojścia jego do pełnoletności, to jest lat piętnastu.

Za poniesione koszta ofiarowała wprawdzie królowa ziemię spiską i sumę na Śląsku, a gdyby syn jej zmarł przedwcześnie, następstwo po nim przyznawała Władysławowi i obie swe córki dwu braciom (Kazimierzowi młodszemu) oświadczała dać w małżeństwo; ale warunki te przyjęte być nie mogły i z oburzeniem przez panów węgierskich odrzucone zostały.

W ten sposób wszystkie ich czynności, uroczysta koronacja w Białogrodzie, a jako oni mó-

wili, wszelkie ich prawa w niwecz byłyby obrócone i na pośmiewisko wydane.

Aliści na tem właśnie rozbijało się wszystko, że królowa prawa wyboru króla przyznać im nie chciała, gdy oni przy swobodzie wybierania monarchy obstawali.

Zdawało się więc po kilkakrotnej bytności kardynała w Budzie i Jawrynie zachwianem wszystko.

I zaprawdę, dla każdego innego pośrednika jużby było nietylko niepewnem, ale straconem. Tylko bystrości umysłu i niezmiernej wytrwałości kardynała zawdzięczać należało, iż się wszystko na próżnych słowach nie zerwało odrazu. Choć los później inaczej dokonał, co przeznaczonem było.

Przeciagnęły się te rokowania nadaremne do miesiąca grudnia.

Tu na słuszną pochwałę pana mojego powiedzieć muszę, iż weale latom swym i dostojęństwu niezwykłą okazał cierpliwość i krew zimną.

Nie zwykliśmy monarchów młodzieńczego wieku widywać tak powolnymi rządzeniom losu, tak łagodnymi w przeciwnościach, tak łaskawymi dla ludzi, którzy na nich nastają i nalegają.

Nie można bowiem, uwielbiając wielką umiejętność obchodzenia się z każdym, zaprzeczyć temu, iż kardynał natarczywością swoją, namowy, argumentami króla niejako w oblężeniu trzymał przez kilka miesięcy. Tyleśmy, mogę powiedzieć śmiało, pokoju mieli, póki siedział w Jawrynie, a częstokroć dopiero wolnośmy oddychali, gdy nas opuścił, nalegać i boleć przestał.

Ale naówczas zastępował go dziekan Lasocki, mąż, którego nauki, powagi i wielkiego umysłu będąc czcicielem, niemniej przyznać muszę, iż królowi i nam stawał się często przez natarczywość swą nieznośnym. Albowiem nie było dnia i godziny, u stołu i przy rozmowach, abyśmy nie słyszeli zawsze tej samej pieśni, jako pokój był po-

żadany dla Kościoła, chrześcijaństwa i kraju, a sławy pana naszego.

Jeżeli nam kardynał nie śpiewał tego hymnu, nucił sekwenę o tem dziekan Lasocki. Na co my pobożnym responsem chórem odpowiadaliśmy:

— Bóg daj!

A przyszło-li potem z panami węgierskimi mówić, burzyli się i wołali, że jakkolwiek pokój był, oni go ze sromotą dla siebie i z uszczupleniem granic kraju zawierać nie mogą.

Przybył wreszcie, zmięczywszy już królowę kardynał, wielce uradowany tem, co przywoził, w grudniu, oznajmując, iż królowa gotową była osobiście z Władysławem widzieć się w Jawrynie i sama z nim to pojednanie układać.

Małą się to rzeczą zdala wydawać może, przecież było wielkiem nad umysłem królowej odniesieniem zwycięstwem. Albowiem wiedzieć potrzeba, jakośmy tego mieli dowody, iż królowa dawniej nienawiścią i chęcią zemsty najgorętszą przeciwko panu naszemu pałała, a nietylko na oczy go przypuścić, ale imienia jego przy sobie nie dawała wspomnieć bez obelżywych dodatków. Nie obeszło się więc bez łez, bez wielkich wysiłków, bez upokorzenia, zanim umysł jej dumny i serce goryczą przepelnione skłonić się dało do tego ustępstwa.

Niektórzy z panów węgierskich, ułękli się tak samo zasadzki jakiejś i zdrady, jak królowa Elżbieta, która (co się później okazało), spodziewając się przybycia Władysława, znaczną liczbą Czechów i Austryaków zamek zawczasu obsadziła.

Węgiersey panowie zrazu króla do Jawrynu puścić nie chcieli, pomimo poręczeń kardynała i zaklęć jego. Powiadali, że po królowej, która już nie jeden raz na życie Władysława czyhała i zabójców nań nasadzała, wszystkiego się spodziewać można.

Lecz wtem król sam, mąż wielkiego zawsze serca i szlachetności takiej, że nikogo o nieszlachetność posądzać nie umiał, rozstrzygnął. Z góry zapowiedział, że królowej ufa i z małym poczem pojedzie tak bezpieczny, jakby do własnego domu.

Napróżno go usiłowano przekonać; żelazną wolą obstawał przy swoim, a ile razy ją objawiał, wiedzieli Węgrowie, że się złamać nie da. Dobroci niewyczerpanej, do przebaczenia zawsze gotowy, jak ojciec hojny i rozrzutny, miał to do siebie król, że gdy myśl własną z serca zaczerpnął, nie dozwolił jej odjąć sobie nikomu.

I tym więc razem wyjazd do Jawryna postanowiony został, na co Węgrowie koso patrzyli. Do orszaku też króla wyznaczono przeważnie polski dwór. Dwóch młodych Tarnowskich, dwu Zawiszów, ze starszyny też kilku, dziekan Lasocki, bo ten nigdy nie odstępował, gdy o ważniejsze chodziło sprawy, naostatek i ten, który słowa te pisze, jako kapelan i spowiednik do orszaku został włączony.

Kardynał Cesarini towarzyszył nam, jako zakładnik, poręczyciel i pośrednik, a jak był szczególnie jadać, że do tego terminu doprowadził nas, wyrazić mi trudno.

Nie bez wzruszenia też pewnie jechał król, pan nasz, i twarz jego młoda o niem świadczyła. Kilka lat wojując z królową, znając ją jako nieprzyjaciółkę nieprzejednaną, na końcu jechać do niej, było ofiarą, którą tylko mąż tak wielkiej przebiegłości, jak kardynał, mógł wyjednać.

Ofiara to była dla Kościoła i sprawy całego chrześcijaństwa.

Poczet królewski, dosyć liczny dla dostojęstwa jego, był jednak za małym, aby obawę jaką mógł obudzić. Na zamku też, gdy bronę podniesiono, ujrzeliśmy dwór rycerski Elżbiety i panów, którzy jej służyli, dosyć okazałe przystrojonych

i zbrojnych. Szło jawnie o to, aby niedostatek i zubożenie nie okazało się przed obcymi.

Szliśmy wszyscy z królem przed kardynała prowadzeni po wschodach do górnej sali zamkowej.

Czekała tu na nas królowa Elżbieta, której Władysław nigdy w życiu nie widział i spotykał po raz pierwszy. Ja, com ją w podróży niegdyś z Pragi do Znaim jadącą przy ojcu Zygmuncie oglądał zdala, naówczas młodą, świeżą i krasną, zaledwie poznać mogłem w niewieście przed czasem zwiedłej, postarzałej, cery woskowej, wychudłej, a takie cierpienie całą postawą wyrażającej, iż w sercu nieprzyjaciela nawet litość obudziłaby dla siebie. Pomimo to miała wielką powagę cesarskiej córy i resztki piękności.

Gdy król Władysław wszedł na salę i ukłon oddawszy, nieśmiało się przybliżył, wpatrzywszy się wprzód w twarz jego, która dobroć wyrażała, jakby wewnętrznem wzruszeniem skłonią do tego, królowa podała mu obie ręce.

Tak się odbyło pierwsze powitanie dosyć mileząco, ale pomyślnie, a kardynał, zabrawszy głos za oboje, zbliżył ich mową zręczną, do której był przygotowany.

Wpłynęło to na zachowanie się wzajemne osób do obu dworów należących, które niedowierzająco i ostro na siebie spoglądały, a później zaraz przyjaźniej obchodzić się z sobą zaczęły.

Tego dnia, jak sędzę, do żadnych układów nie przyszło... zaledwie do wzajemnego przybliżenia i porozumienia. Przyjmowano nas bez przepychu, ale tak, jak przystało królowej, i na niczem nie zbywało, a o pomieszczenie na zamku nie było trudno. Całe jedno skrzydło oddane nam zostało, a choć kardynał poręczał bezpieczeństwo, przecież polska straż królestwa przez całą noc na przemiany czuwała. Uważaliśmy też, że i Czesi tak samo z czat nie schodzili i nie zasypiali.

Następnych dni, rokowania bowiem nie po-

szły prędko ani łatwo, cokolwiek z tych zbytnich ostrożności z obu stron pofolgowano, zawsze jednak nad królem czuwać było potrzeba.

Władysław po przewycięzeniu pierwszej obawy przy spotkaniu z królową, aby zbytniemi wyrzuty go nie trapiła, odzyskał swobodę umysłu, a jako się pragnął okazać, czem w istocie był, tak sędzę, że dopiął tego. Królowej też oblicze, pierwszego dnia chmurne i posępne, stopniowo się rozgadało. Można było widzieć na niem i czytać, że skutek rokowań obiecywał się pomyślnym. Jakoż ostatniego dnia, gdy na następny wyjazd był zapowiedziany, w kościele jawryńskim zawarty układ odczytano dla wiadomości wszystkich, w języku węgierskim, polskim i niemieckim.

Król w podarku złożył Elżbiecie kilka szub sobolowych, z Polski przywiezionych i otrzymał wzajemnie kilka dzielnych koni.

Zauważyliśmy wszyscy wprzód jeszcze, niżejśmy o warunkach byli uwiadomieni, że królowa z poufałością prawie macierzyńską z panem naszym obchodzić się zaczęła, a i uśmiech, acz smutny, na ustach się jej zjawił.

Na zapusty król zaprosił Elżbietę do Budy, która mu bytność swą przyrzekła. O warunkach ugody mówić nie chcę, gdyż, jako się niżej okaże, i ona i wszystko, cośmy z pomocą kardynała z wielkim wysiłkiem dokonali tu, dziwnem zrządzeniem Bożem w niwecz obrócone zostało.

Mnie ostatniego wieczora oświadczył król poufnie, iż królowa Elżbieta wielce mu się życzyła i z zupełną ufnością potajemnie zaręczyła, połączywszy go ze starszą córką swoją, że go jak syna miłować będzie i we wszystkim posilkować i pomagać mu nie przestanie, byle się starał z rąk Fryderyka, króla rzymskiego, jakimkolwiek środkami syna jej i koronę jego odzyskać, a razem i dziedziczne księstwo austriackie, które zagarnął.

Gdy przysła chwila odjazdu, król, królowa, kardynał, wszyscy my, najlepszej myśli byliśmy, ciesząc się zawartym pokojem i obiecując sobie z niego przyszłość szczęśliwą.

Ja, który tak dawno przy osobie królewskiej zostawać mam czas i szczęście, wyznać muszę, że go dawno tak wesołym, tak uradowanym, tak ożywionym nie oglądał. Miałem sobie do wyrzucenia, iż dziwnem usposobieniem wewnętrznym, czułem się smutnym i niespokojnym, jak gdybym w tej chwili właśnie zawód jakiś i nową klęskę przeczuwał.

Na prośbę królowej z naszego dworu dziekan Lasocki, który przy spisywaniu ugody był prawą ręką kardynała, w Jawrynie pozostał. Myśmy z dobrą myślą do Budy powracali, krom mnie, który jechałem smutniejszy nazad, niż gdyśmy do Jawryny ruszali. Działo się to dnia czternastego grudnia.

Nieprzewidziane są wyroki Boże. Gdy Cesarini zwycięstwem swem, a my wojny ukończeniem cieszyliśmy się, naprzód to nas spotkało, że pozostali w Budzie panowie, o warunkach, jakkolwiek korzystnych pokoju usłyszawszy, od razu przeciwko niemu głosy podnieśli. O wyposażeniu córek Elżbiety kosztem państwa i oderwaniu choćby piędzi ziemi od niego ani słyszeć nie chcieli. Kardynał dał im wołać i gardłować, jak zwykle, czekając, by burza z gromami przeszła i umysły się uspokoiły. Pochlebiał sobie, iż ich skłonić potrafi.

Nie miał obyczaju w zgromadzeniach z wielu głów złożonych, silić się sam jeden przeciw wszystkim, ale pojedynczo biorąc przeciwników zniewalał do zmiany zdania; a dopiawszy tego, gdy większość nawrócił, dopiero występował. I tu zapewne takby się obszedł z nimi, gdyby Bóg inaczej nie zrządził.

Gdyśmy Jawryn opuszczali i żegnali królowę,

widzieliśmy ją wszyscy, acz znużoną, bladą i niezbyt krzepką, lecz zupełnie zresztą zdrową i na żadną dolegliwość się nie uskarżającą.

Nagle w cztery dni potem naprzód goniec z Jawryna, potem sam dziekan Lasocki, nadbiegł z tą wiadomością nie do wiary, że królowa Elżbieta nagle, trzeciego dnia po wyjeździe naszym, zmarła.

Opisać miłości waszej tego przerażenia i podziwu, jaki nas opanował, a boleści i żalości królowa, rozpaczy niemal biskupa Sabińskiego, którego dzieło, trud kilkomiesięczny marnie przepadł, słowy słabemi nie potrafię.

Przyczyna tego zgonu tak nagłego, jednemu Bogu najwyższemu wiadoma, pozostanie pono na wieki zakrytą. Było to może wyroków Opatrzności zrządzeniem, lecz po ludzku sądząc, mogło też być sprawą złych, którzy się spodziewają dla siebie korzyści z zamieszki. Sędzią nie chcę być, bom świadkiem nie był, lecz cesarzowi Fryderykowi pokój był nie na rękę, równie jak zacieźnym Czechom. Mogli się znaleźć tacy, co z Elżbietą chcieli i traktat zawarty przez nią pogrzebać.

Lasocki opowiadał o niesłychanym zamęcie na zamku w Jawrynie, o płaczu wiernych niewiast przy zwłokach królowej.

Kardynał zaś, chociaż zmarłej żałował, chwili nie stracił. Widział jasno, że na zawarty układ wcale rachować nie było można i że natychmiast musiał na nowo rozpocząć traktowanie z cesarzem Fryderykiem, opiekunem pogrobowca, z którym daleko ciężiej było dopiąć celu. Cesarz bowiem od początku przy prawach następstwa obstawał i skłonić go do zupełnego pokoju nawet kardynał się nie spodziewał, ograniczając się już tem, aby rozejm na lat kilka zabezpieczyć.

Biskupowi Sabińskiemu zaprawdę, sprawę chrześcijaństwa mającemu na widoku, nie szło nigdy o interesa pana naszego, byleby wyprawę

przeciwko Turkom uczynić możliwą. Coby później po odniesionych zwycięstwach nastąpić mogło, o tem nie myślał zawczasu. Ani mu też za złe brać się godzi, iż nasby poświęcić gotów dla obro-ny krzyża.

Z jego natchnienia już raz tu przybyło poselstwo tureckie, które nam pokój wprowadzie pod ciężkimi ofiarowało warunkami, ale, gdy się o nie z Grekiem układać było można, odesłaliśmy precz z niczem.

Postarał się Cesarini, byśmy je z wielką wspaniałością i wojenną okazałością przyjmowali. Zdumiewali się nam Turecy i towarzyszący im Grecy, którzy Boga się zaparli, poganom służą, ale nie nie wskórali.

Wszystko tu u nas brzmi i rozlega się przyszłą wojną. Nagli o nią Paleolog, żąda jej papież, zachęca, pomoc obiecując cały świat chrześcijański, a i młody pan nasz duszą i sercem jej pragnie. Wreszcie sługa wasz, który te wyrazy przesła, radby też wojnę mieć i widzieć skończoną, abyśmy wraz z królem w pomoc pośpieszyli naszemu królestwu, które z jednej strony łotrzyki śląskie napadają i plądrują, z drugiej Tatarzyn najeżdża, ażali prawda, aż pod Lwów nasz się zapędzając!

Bogu wiadomo, czy kiedy w przyszłości porachuje nam to historia, żeśmy własnego kraju zabywszy, własnej zaprzawszy się sprawy, stali na rubieżach, za krzyż Chrystusowy walczyć. A ten młody pan nasz, który wszelkich rozkoszy wieku swojego się zrzekłszy, zbroją odziany, czeka tu, rychło-li mu znak dadzą, aby siedł w bój... i trwa posłuszny na tych czatach żołnierza Chrystusowego, ażali nie godzien najwyższej chwały?!

Co z nami wygnaćcami, w służbie przeciw nieprzyjaciółom krzyża stanie się i jako obróci dola nasza, jeżeli żyw będę, miłości waszej, panu

mojemu najgodniejszemu nieudolnem piórem nakerślić nie zaniedbam. Całuję nogi miłości waszej, modlitwom jej niegodnego polecając służyć.

VIII.

Grzegorz z Sanoka, jak z listu tego widzimy, nie opuszczał króla Władysława, chociaż jak w kraju, tak i tu, nie odgrywał przy nim żadnej ważniejszej roli, bo więcej zawsze unikał jej, niż się o nią starał.

Nie był on stworzonym do tych zabiegów ruchliwych, w których trzeba było często twarzą i słowa przypochlebiać się, prawdę zakrywać, kroki mierzyć, i jak łowiec do zwierzyny, iść ostrożnie do celu.

Kunszt ten wysoko ceniąc w kardynale biskupie Sabińskim i prawej ręce jego, dziekanie Lasockim, chętnie im z miejsca ustępował, a nawet nad umysłem Władysława dozwolił osiągnąć władzę wielką.

Grzegorz z Sanoka, kochając młodzieńca, na którego rozkwitnienie patrzył, więcej go chciał mieć dla kraju, dla Polski, niż dla świata. Ale mógł-że walczyć z ludźmi, którzy mu ciągle sławę wielkich bohaterów prorokowali, Aleksandrem go i Cezarem przyszłym głosili, wystawiali mu chwałę, jakiej się miał dobić, i gorące serce rycerskie rozpalali, nie dając zwrócić się ku własnej ziemi i rodzinie.

Cenił i kochał król zawsze mistrza swego, rad mu się zwierzał, rad przed nim westchnął, ale się nie tał, że wielkiego owego głosu, którego papież Eugeniusz IV był tłómaczem, powołaniu na wodza i obrońcę usłuchać musi.

Rosło w nim serce bohatera, a Grzegorz, choć ze łzami w oczach, oziębiać go nie śmiał i sprzeciwić się szlachetnemu popędowi.

Wszystkich ogarniał zapał, który dokoła siebie szerzył kardynał, mając jakby od Boga zesłane natchnienie, wieszczym głosem zapowiadając, że Władysław urośnie na pierwszego bohatera swych czasów. Król tak codziennie podżegany, trwał w zapale, młodzież polska i węgierska, otaczająca go, uczucia te podzielała. Nieodstępny towarzysz, skarbnik, pisarz, mentor, i pośrednik, dziekan Lasocki, wtórował wiernie kardynałowi.

Zjednany tym samym widokiem, wslawiony już zwycięstwami, chęci nowych bojów i dostojności, rycerz mężny i wódz najlepszy, Jan Huniady, ile razy przybył do Budy, prawił o walkach z niewiernymi i o możności odzyskania na nich zdobyczy, wygnania z Europy.

Zdawało się, że rozpocząć tylko było potrzeba wojnę, iść i zwyciężyć.

Kardynał Cesarini ofiarował się też z krzyżem w rękę razem ciągnąć i stawać na placu boju. Obiecywano posiłki zewsząd, przyrzekano pieniądze, ale owi pielgrzymi zbrojni z Niemiec, z Włoch i z innych krajów, o których mówiono wiele, przybywali bardzo skąpo, a byli to po większej części odarci i lichy zbrojni łotrzykowie, którzy gdzieindziej miejsca i chleba znaleźć dla siebie nie mogli.

Lata, które tu przebył nasz Grzegorz z Sanoka, wysyłany czasem do Polski, powoływany przez króla nazad, nieopuszczający go prawie, choć tak jak bezczynny, zbogaciły jego doświadczenie, nauczyły go ludzi poznawać, lecz nie podniosły ani na stopień wyższy, ani położenie zmieniły.

Nauczył się języka węgierskiego tak, jak wprzód niemiecki sobie zupełnie przyswoił; przyjął zjedną wielu, nikogo z tych, których miał,

nie stracił, i pozostał widzem ciekawym tego, co się dokoła zawiązywało, płatało i gotowało na przyszłość.

Kardynał Cesarini wysoko cenił uczoność jego, łacinę, podziwiał zdolności do języków, bo Grzegorz z podróży włoskiej i italskiej mowy przywiózł znajomość, lecz nie znajdując w nim tak posłusznego narzędzia, jakiego potrzebował, wcale go do niczego nie używał.

W zdaniach też różnili się często. Kardynał Cesarini jeden tylko cel miał na oku, dróg do dojścia do niego nie wybierał, dla niego wiele gotów był poświęcić, siebie zarówno, jak i młodego króla, a co mu Grzegorz miał właśnie za złe. Z Grzegorzem więc miłą się zabawiał pogadanką, ale w sprawach ważnych zamykał się z Lasockim i naradzał, jego posyłał, nim się wysługiwał.

Niepospolitym też on był człowiekiem i nie darmo ulubieńcem biskupa Zbyszka, który go tu na swem miejscu zostawił. Uczony, bystrego pojęcia, w pracy niezmordowany, życia wstrzemięźliwego, żelaznego zdrowia, zawsze gotów zarówno sięść na koń i do pióra a z obu skorzystać, jak należało, dziekan był ulubieńcem kardynała, który nie wahał mu się najświetniejszej obiecywać przyszłości.

Poeta i śpiewak Grzegorz z Sanoka nie nadawał się do spraw, wymagających przebiegłości, utrzymując głośno, że prostą drogę zawsze uważał za najkrótszą i najlepszą. Trochę więc go lekceważono, a on obojętnie i nieco ironicznie na krzątających się spoglądał.

Po długich zabiegach około cesarza Fryderyka, owego pana «małego serca», który własne interesa zawsze stawiał przed innemi, udało się nieznużonemu kardynałowi zawrzeć nie już pokój, ale rozejm dwuletni i to na niekorzystnych warunkach.

Było to raczej pozorne, niż rzeczywiste za-

bezpieczenie się od domowej wojny, bo najemne Czechy z Giskrą pozostawały na tyłach. Lecz niecierpliwość była tak wielka, tak rozdrażniona oczekiwaniem, że król, ani Huniady, nie wahali się natychmiast, pomimo spóźnionej pory i nadchodzącej jesieni w listopadzie wyruszyć w pole.

Wszystko stało w pogotowiu tak, że gdy kardynał przybył z powrotem, zawrzało w Budzie... i wnet pułki wyciągać zaczęły.

Władysław był niewypowiedzianie szczęśliwy. Wieczora tego, gdy wiadomość przyszła, powitał Grzegorza, jak zwykle, powołanego do modlitw wieczornych, okrzykiem:

— Idziemy nareszcie! idziemy!

Oczy mu pały, drżał cały.

— Ty stoisz zimny, — dodał z wyrzutem — jak gdyby ci sława moja drogą nie była!

Mistrz podniósł ręce obie.

— Królu mój! — zawołał — także to o mnie sądzisz?

— Przebac, mój drogi — odezwał się Władysław — ty ducha tego wojowniczego nie masz... ja czuję, że powołany do boju! Wszystko się tak składa, abym w rękę Opatrzności i jej zrządzenie wierzył. Ona mnie woła i popycha! Stanie nas w polu, Bogu dzięki, czterdzieści tysięcy żołnierza, które łatwo podwójną siłę turecką zmódrz potrafią! Huniady sam zebrał dwadzieścia pięć, mamy Czechów na żołdzie papieskim, mamy ochotników, mamy Krzyżowców z Niemiec i Francji, Serbów i Wołochów.

— I co najlepsza — dodał Grzegorz — Polaków, którzy za ciebie, królu nasz, ostatnią krwi kroplę wylać są gotowi!

— Zwyciężymy! — krzyknął król z zapalem niezmiernym — a ty, mój mistrzu, nieprawdaż, wieszem łacińskim podasz potomości sprawy nasze?

— Pozwolisz więc miłość wasza — dodał Grzegorz — abym, opiewać mając, oglądał je?

— Jaktó! chcesz być z nami? — dodał król radośnie.

— Jeżeli kardynał Cesarini towarzyszyć się wam nie waha, jakżeby ja, jałmużnik i spowiednik wasz, miał pana swego opuścić?

W ten sposób Grzegorz z Sanoka zaciągnął się także na tę krzyżową wyprawę i razem z innymi wdział krzyż na piersi.

Oprócz niego, prócz młodego dworu i nieodstępnych towarzyszy, szli z królem polscy panowie: podkanclerzy, Piotr ze Szczekocin, Piotr Nałęcz z Szamotuł, Paweł z Sienna Wojnicki, Jan z Tarnowa, Mikołaj z Chrzastowa, Mikołaj Róży z Zakrzowa, Hinka Toporezyk z Balic, Michał Lasocki, Stanisław z Pleszowa i wielu a wielu innych. Wszystko rycerstwo najdzielniejsze, którego widok sam mógł trwogę wrazić w nieprzyjaciela. Z Węgrów co przedniejszego brało ochotny udział w wyprawie.

Mniej okazań stawiały się pułki zaciężne i obce, ale te tak rozkładano, aby na oczach nie były.

Przy królu jechał z krzyżem w rękę przez krucyfery poprzedzany kardynał Cesarini, który na siebie rachował najwięcej, aby wojsko zagrzewać i nie dopuścić mu ostygnać, dopóki by śmiertelnego nieprzyjacielowi nie zadało ciosu.

Pochód po uroczystym wyjściu z Budy, przy okrzykach, pieśniach, biciu we dzwony i modlitwach po kościołach posuwał się w takim ducha podniesieniu, z tak ognistym zapalem, że gdyby w tej pierwszej chwili nieprzyjacieli stawił czoło, jak burza zniósłby go ze szczeniem.

Z nadzwyczajnym pośpiechem przebywszy Dunaj, wojsko oskoczyło mury Zofii. Gród nie mógł mu się opierać, poszedł w perzynę, a zaciężni żołnierze mężnie się na rabunek rzucili. Wszystkich ożywiał ten duch, który płynął z młodego króla. Pierwszy on do dnia dosiadał konia, kładł się na

spoczynek ostatni, był jakby gorączką jakąś trawiony.

Nie dawał też mu ostygać kardynał, równie bojowniczego ducha. Nie się oprzeć nie mogło zwycięskim zastępom, a każda walka dodawała męstwa.

Turcy czynili zasadzki, napadali z boku, czatowali po wąwozach, lecz rzadko znaczniejszy ich oddział wychodził do walki.

Dnia 3 listopada po wielu bitwach zwycięskich nastąpiła krwawa i szczęśliwa pod Nissą. Zdobyto wrota Trojana, wąwozy Ssulu-Derbend. Turcy nie śmieli już wyjść w pole, ale osaczali przejścia, kryli się za skałami, z wierzchołków gór zasypywali strzałami.

Wśród tych szczytów, okrytych śniegiem, po drogach zeszlonych od lodu, położyło się wojsko na krótki spoczynek w przededniu wigilii Bożego Narodzenia. Zwycięski pochód, nieustanne utarczki pomniejsze, nie dające chwili do rozmyśłu ani na spoczynek, utrzymywało wojsko całe w tym stanie roznamiętnienia rycerskiego, który zaślepił na następstwa i nie dawał widzieć niebezpieczeństwa.

Dnia tego, gdy na noc obóz rozbito w dolinie wśród białych gór, z których wiatr dał śniegiem i mrozem, król do nędznego wszedł namiotu, aby jeśli nie zdjąć, to choć zwolnić na ramionach zbroję.

Starsi z jego towarzyszków, których konie po drodze popadały, widząc brak żywności, nadeżdżącą zimę, pozamykane wąwozy, w głębinach których Turcy siedzieli, pierwsi poczęli się domagać odwrotu. Dalej posuwać się nie było podobna.

Ale kardynał Cesarini, który sam chlebem suchym i roztopionym śniegiem żyć był gotów, pędził naprzód i o odwrocie mówić nie dawał.

Grzegorz z Sanoka u maleńkiego, rozpalonego

z biedą ogieńka, pod nędznym namiotem, którym wichler targał a śnieg doń zlatywał, grzał ręce zbiedzony, gdy nadszedł podkanclerzy, Piotr ze Szczekocin.

Nie zdjął on był zbroi z siebie, ani hełmu, w rękę trzymał kilka strzał, które w jego koszuli żelaznej uwięzły, a jedna z nich u ramienia lekko raniła.

Był to jeden z najwaleczniejszych rycerzy i jeden z najtroskliwszych o króla.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, mistrzu Grzegorzu — odezwał się do siedzącego, który nie dojrzał nawet gościa — jutro wigilia do Godów, pono ryby nie skosztujemy.

— Bylebyśmy chleb mieli — westchnął Grzegorz.

— Nie wszyscy go napewno dostaną — odparł podkanclerzy — kardynał sam żyje słowem Bożem i ogniem świętym, ale my, niegodni grzesznicy, wkrótce jeżeli nie od strzał nieprzyjacielskich, to od mrozu i głodu poginiemy Bogu na chwałę, ale komu na pożytek, nie wiem!

Grzegorz się uśmiechnął, poprawił ogieńka, który wiatr gasił.

— Mistrzu, czasby nam jeśli nie o sobie, to o królu pomyśleć — dodał Piotr ze Szczekocin. — Wy ucho pańskie macie. Włoch — święty człowiek, ani słowa, ale ani kraju nie zna, ani wojny nie rozumie. Zwycięstw, dzięki Opatrzności, odnieśliśmy dosyć, okazali cudów. Turcy dokoła nas otaczają, nam głód doskwiera, zima nad nami... nie wyjdzie stąd noga nasza!

— Ucho pańskie wprawdzie dostępne jest dla mnie — odezwał się Grzegorz — ale jakże zwycięzcę zatrzymać? Nie widzi on i nie chce dojrzeć niebezpieczeństwa, a gdyby je przeczuwał nawet, jedno słowo kardynała popchnie go dalej.

— Na Boga, mistrzu — przerwał podkanclerzy — króla i sławę jego ratować potrzeba! Zwy-

ciężyliśmy, lecz pragnąc nad siłę, stracimy plon zdobyty. Mówcie mu.

— Ja—odparł Grzegorz.—Nie posłucha mnie. Idźcie wy wszyscy, coście dali dowody męstwa i wytrwałości, macie większe prawo przemówienia nademnie.

— Chodźcie i ty z nami—zawołał podkancle-
rzy.—Król jest w swoim namiocie i już do jutrzej-
szej przygotowuje się potyczki, która nas niechy-
bnie czeka, bośmy wokół otoczeni. Chodźcie!

Cokolwiek zawahawszy się, wstał Grzegorz,
poprawił kożuszek na sobie i wzdychając, szedł
za podkanclerzym.

W gołem polu na śnieżnej zamieci, pootula-
ni opończami, nieopodal stali, cicho radząc, ryce-
rze polscy, starszyzna: Jan z Bobrku, Piotr Na-
łęcz, Paweł z Sienna i inni. Gwarzyli pocichu,
ale z żywością wielką, gdy Piotr ze Szczekocin
nadszedł z Grzegorzem.

— Do króla chodźmy — rzekł, przystępując
podkanclerzy.

O kilkanaście kroków był namiot Władysła-
wa z prostych wojłoków, mały i ciasny. Świeciło
się w nim trochę, a przez co chwila uchylane
oplotki widać było ciżbę we wnętrzu. Młodzież
napęłniała namiot.

Czeladź tymczasem u ognia chudego zamar-
złe zagrzewała wino i resztki skostniałego od mro-
zu mięsa.

Władysław stał w pośrodku, hełm zdjawszy
ze skroni, z włosami rozpuszczonemi, z oczyma
błyszczącemi, z czołem promieniejącem. On, Tar-
nowscy, Zawiszowie żywą prowadzili rozmowę.
Kardynał znajdował się obok w drugim namiocie
na modlitwie.

Gdy starszyzna ukazała się u wniścia, roz-
stąpili się młodszy; król, zobaczywszy ich gromadą
wciągających, zmarszczył się trochę.

Podkanclerzy zdjął szyszak i głos zabrał.

— Przychodzimy do miłości waszej—rzekł—
z obowiązku sług wiernych. Szliśmy naprzód, nie
zważając na nic, lecz dalej chyba kości położyć
przyjdzie. Wojsku żywności brak, konie padają,
mróz ściska; Turcy nas osaczają, a zima i śnieg
dobiją. Miłościwy panie, myśmy ginąć gotowi, ale
tobie, młodemu i do wielkich przeznaczonemu zwy-
cięstw i dzieł, nie możemy dać tu zastrzegnąć
marnie. Zwycięzcami byliśmy, ale czas powracać...
czas!

Wszyscy za podkanclerzem potakująco wtó-
rowali.

Król drgnął z niecierpliwości.

— Na Boga! — zawołał. — Wracać? wracać,
gdyśmy na progu zwycięstwa?

— Tego progu nie przestąpimy—rzekł pod-
kancle-
rzy.—Ludzie padają, jak muchy. Nie przed
Turkiem ustąpimy, ale przed mrozem i śniegiem,
przed głodem!

Mruczenie i kilka głosów potwierdziło słowo
Piotra. Król stał widomie zafrasowany...

Wtem z boku podniosła się ścianka i kardy-
nał w sobolowej szubce wcisnął się do namiotu.
Twarz jego zbladła wyrażała przestach, oczy nie-
spokojnie biegały.

Król, jakby na pomoc wzywając, wejrzał ku
niemu. Cesarini podnosił już ręce.

— Mówicie o odwrocie—zawołał—teraz, w tej
chwili, gdy... krok dalej, a hordy te pierzezną
strwożone przed nami?... Chcecie laur zwycięski
zedrzeć ze skroni waszego króla?

— Wasza przewielebność—począł powoli Pa-
weł z Sienna — nie widzieliście, jak my, co się
z wojskiem dzieje. Z głodu i zimna zginiemy tu
wszyscy. Koni połowa padła, w każdym obozo-
wisku zostawiamy trupa, nie od strzał nieprzyja-
ciela, ale od chorób i wysiłku. Litość mieć po-
trzeba nad ludem tym.

Cesarini zamilkł, spuściwszy głowę.

— Próżne obawy — szepnął cicho — opieka Boża nad nami. Opatrzność nie da ginać żołnierzom Chrystusowym!

Szmer dał się słyszeć między rycerstwem.

— Wasza przewielebność modlić się za nas racz; ale o wojsku dozwól nam myśleć, bo to nasza sprawa—rzekł trochę szorstko podkanclerzy.— Daliśmy dowody, że nam na męstwie nie zbywa, że nie z obawy ustąpić chcemy, ale z musu.

Wtem król, który słuchał zmieszany i smutny, wyciągnął ręce ku nim.

— Piotrze—odezwał się do podkanclerzego—zaklinam cię i was na wierność waszą dla mnie, jutro wigilia do Godów... jutro... tylko dozwólcie. Wiem i czuję, że wielką walkę zwycięską stoczymy.

— Potem — dodał ze smutnem westchnieniem—jeżeli rada wojenna postanowi, pociągniemy do Budy!

Wszyscy zamilkli; skłonił się podkanclerzy.

— Niech się stanie wola wasza — rzekł spokojnie—lecz pojutrze najdalej musimy wracać, jeżeli choć część wojska miłość wasza do Budy chcesz doprowadzić.

Natychmiast cofnęli się wszyscy z ciasnego namiotu, w którym pozostał król, kardynał, na boku młodzień, a u wnijsia Grzegorz z Sanoka. Zmierzył go nieufnym wzrokiem kardynał, jakby w nim przeczuwał przeciwnika.

— Znużeni są rycerze nasi — przerwał milczenie Cesarini — przebaczyć im to należy, lecz, zaprawdę, źle obrali chwilę do żądania odwrotu. Stracimy owoce całej wyprawy!

— Lękam się—odezwał się śmiało Grzegorz z Sanoka—aby dla owocu drzewo nie runęło. Siły ludzkie mają granice... a myśmy do niej doszli. Stan wojska okropny, śmierć grozi... Jeszcze chwila, a zguba nasza niechybna. Turek nas wojować nie potrzebuje; zima jest mu najlepszym przy-

mierzeńcem. Bitwy nie wydaje, bo wie, że legniem i bez niej.

Król słuchał, jakby zawstydzony. Cesarini się odwrócił milczący!

— Rycerstwo to—dodał Grzegorz—tyle okazało męstwa, że mu uwierzyć można, gdy mówi *non plus ultra*. Ono zginąć gotowe, lecz króla ocalić mamy obowiązek.

Syknął kardynał.

— Wszyscyśmy na równe wystawieni niebezpieczeństwo—rzekł—czemuż go nie czujemy?

— Waszej przewielebności święty zapal—odparł mistrz—nie daję ziemskich rzeczy dojrzeć.

— Jutrzejszy dzień rozstrzygnie—wtrącił król gorąco.—Zwycięstwo pewne. Ono podźwignie wojsko i sił mu doda.

Cesarini ręce podniósł ku niebu.

— Ten, którego narodziny w żłobku betleemskim pojutrze radośnie obchodzić mamy, Pan nasz i Wódz nasz zaopiekuje się nami.

Natychmiast król, jakby niemila już rozmowę chciał przerwać, zapytał Grzegorza z Sanoka o Zbigniewa Rosperskiego, który tego dnia strzałą pod pachwinę ugodzony, na wozie do obozu jechać musiał, bo dużo krwi utracił.

Grzegorz odpowiedział, że ranę zawiązano i krew zatamowano, ale Rosperski spoczynku potrzebował.

Wtem czeladź wniosła rozmarzłe wino, chleb czerstwy, ser i skromny posiłek, którego pomimo znużenia, ponieważ dzień był piątkowy, zaledwie dotknięto.

Późną już nocą pokładli się, kto mógł na spoczynek krótki, ledwie rozziewając ze zbroi.

Zaledwie szarzyć poczęło, w obozie wszystko się poruszyło. Czaty na otaczających dokoła górach dostrzegły ęmy pogan, którzy obrawszy sobie stanowisko ponad wojskiem, zabierali się zasypać

je strzałami. Gdzieniegdzie okrzyki, pisk i nawoływania dzikie słyhać było.

Król, wdziawszy już zbroję, konia niecierpliwie dosiadał i rwał się prowadzić swoich. Oddziały ściągano, namioty składano, dowódcy ludzi gromadzili, podnoszono chorągwie.

Jeden z pierwszych, Cesarini siedział na koniu, zdążając za królem, lecz Władysław, który naprzód z młodzieżą wyruszył, prosił go, aby przy obozie pozostał.

Równy ze dniem, nie z jednej strony, ale naokół zawrzał bój straszliwy. Zdawało się, że Turcy czuli, iż nieprzyjaciela sam pochód i zwycięstwa wysiliły, spadali więc z gór zuchwale i walczyli wściekle. Lecz brzmiała już Bogarodzica, polskie pułki z królem rzuciły się na pogan, a przed ich żelaznym zastępem kupy dzikie pierzchały.

Grzegorz z Sanoka stał za kardynałem, który z konia nie zsiadając, modlił się i błogosławił. Patrzył na króla swego, który, uniesiony przez konia, zniknął mu z oczów wśród tłumu wijącego się i wrzeszczącego. Strzały tureckie sypały się jak grad i słyhać było zdala dźwięczenie ich na zbrojach.

Dwa działka małe, które król miał z sobą, ustawione z boku, nabite drobnymi kulami, wysypywanymi w nie, dały się słyszeć zdala i huk ich rozległ się po górach. Tam, gdzie padł ich strzał, motłoch pierzchał. W ślad za nim biegli konni.

Lecz zaledwie jedną kupę rozegnano, druga się z gór spuszczała, jakby w ich wnętrzach niezliczone tłumy legły.

Dzień stał się wielki, biały, ale z nim razem zerwała się zamieć śnieżna, która z wawozów buchała obłokami i zakrywała walczących.

Całe wojsko z niezmierną zajądłością walczyło z poganami. Przy wozach i obozie zaledwie kto pozostał, bo i ciury zagrzone do boju biegły.

Po nad tem śnieżnem bojowiskiem, jakby jeden krzyk ogromny, ryczało głosów tysiące.

Nadeszło południe. Na chwilę z za przelatujących obłoków ukazało się blade słońce i znikło.

Walka nie ustawała. Cesarini modlił się, upatrując króla, ale go już dojrzeć nie było można. Z wiernym orszakiem swoim znajdował się w pierwszych szeregach.

Z południa już, pieszo, straciwszy konia, ranny w twarz, bo hełmu nieostroźnie uchylił, ukazał się nakuliwający Lasocki.

Grzegorz z Sanoka pośpieszył ku niemu.

— Co się z królem dzieje? — zawołał.

Zwrócił się kardynał ku niemu.

— Z królem? — odezwał się Dołęga. — Nie wiem już ile strzał w nim uwięzło i czy go nie raniła która, alem widział, gdy pędził naprzód i rozbił a siekł pohańców! Podkancelrzy hamował go napróżno. Ustąpić nie chciał, choć na góry te wdrapać się za niemi nie można; na karki nam spada ta szarańcza.

Cesarini pobladł. On sam nareszcie dojrzał niebezpieczeństwo i strwożył się o króla.

— Weźmijcie konia mego — odezwał się — a jeśli siły macie, jedźcie ku królowi, zaklnijcie go, aby powracał. Na lepsze czasy zachować mu się potrzeba.

Mrok zaczynał padać, gdy w końcu wojsko, które na pierwsze wyniosłości cudem męstwa się spięło, zadawszy Turkom niemało ciosów, bo stoki były niemi usłane, zwolna dla nocy samej cofać się zaczęło.

Grzegorz z Sanoka upatrywał króla; Cesarini niecierpliwszy jeszcze wyjechał naprzeciw niemu. Na górach widać było uchodzące Turków gromady, kryjące się w wawozach i na płaszczyznach śnieżnych leżące pomostem trupy. Powracające pułki nuciły pieśń zwycięską, którą wiatr, zrywa-

jąc, roznosił. Górą niebios z za białych obsłon, wieczornym lazurem przyémionych, zapowiadały nocne wypogodzenie i mróz.

Gwiazdy, co dnia tego w Polsce uroczystą odmówiły wieczrę z chrześcijańskim obyczajem łamania się poświęconym chlebem, tu świeciły powracającym z boju wygłodzonym, rannym, znużonym, ale rozpromienionym zwycięstwem.

Podkanclerzy i ci wszyscy, co wczoraj domagali się powrotu, dnia tego dokazali cudów, wojско, oprócz zaciężnych papieskich żołnierzy i cudzoziemców, do zimna nie przywykłych, skostniałych, biło się bohatersko. Król wracał ranny w rękę, mnóstwem strzał wśród dnia rażony, z których żadna zbroi jego i koszuli nie przebiła, oprócz jednej.

Rana ta, nieznacząca, tocząca się z niej krew radowała młodzieńca. Spoglądał na nią z dumą, pokazywał ją szczęśliwy. Była to krew za wiarę wylana!

Z podniesionym chełmem jechał teraz, śmiejąc się i żywo z Tarnowskimi rozmawiając, tak jak niegdyś na krużgankach zamku krakowskiego swawoląc z sobą, drażnili się wzajemnie.

Po nad głowami ich powiewały górą podziurawione od strzał chorągwie św. Wacława, Jerzego i królewska. Starsi rycerze jechali poważni i zadumani. Mieli słowo króla, że to była bitwa ostatnia. Dalej posuwać się nie było podobna. Przewidywali jednak, iż upojenie bojem dnia tego odwrót utrudni.

Podkanclerzy naradzał się ze swemi. Postanowiono, jakby wczorajszy rozkaz króla spełniając, gotować się do zwinięcia obozu.

Z wesołą twarzą Władysław powitał mistrza Grzegorza, ukazując mu ranę swą, pociętą zbroję i cały pęk strzał, które wiozł giermek, wyjawszy je uwięzione w królewskim rynsztunku.

— Bogu najwyższemu dzięki, dzień mieliśmy dobry i szczęśliwy! — zawołał król, wstępując do namiotu z Grzegorzem.

— Miłościwy panie—odezwał się mistrz śmiało—Bóg pobłogosławił pobożnemu orężowi waszemu, ale to ostatni dzień boju. Mamy zięcia Amuratowego w niewoli, poległ Begler-bey Rumelii, Turków padło dosyć, grodów i zamków obrócono w perzynę wiele, chorągwi nabrano tyle, że niemi sklepienie kościoła w Budzie zawiesić będzie można. Czas powracać!

Władysław odwrócił się smutny. Cesarini, który już był może dnia dzisiejszego doświadczeniem nawrócony, mileżał.

Wkrótce potem nadeszli wodzowie węgiersey i polska starszyna. Wszyscy zgodnie nalegali, aby się dalej poza ten wąwóz Isladi nie posuwać.

Ludzi chorych, koni rannych było bez liku, część wozów dalej już iść nie mogła, żywność była wyczerpana. Król, choćby z Cesarinim może chciał zwyciężyć przeszkody i choć w zmniejszonej garści naprzód się posuwać, nie mógł iść przeciwko zdaniu wszystkich.

Nazajutrz więc, w sam dzień Godów, po odprawionych pasterkach pod namiotami, do których się cisnęło rycerstwo, zaczęto robić przygotowania do podróży.

Wielką ilość wozów, uprząży, broni, sprzętu wojennego, musiano dać na pastwę ognia, aby się nie dostała nieprzyjacielowi. Konie ranne dobijać kazano. Poukładano stosy olbrzymie, podłożono płomień i rycerstwo otoczyło je, ogrzewając się przy nich wesoło.

Wstąpiła otucha we wszystkie serca na tę wiadomość, że rozkazy dano do zwijania obozów i odwrotu.

Wczorajsi wojownicy, Turcy zasaczeni po górach, spoglądali z nich na te przygotowania, nie rozumiejąc, co znaczyły.

Król spoczął przecież dnia tego. Lekką ranę przewiązano i zalano balsamem, który miał z sobą Cesarini. Resztki zapasów jadła zastawiono pod namiotami dla rycerstwa, lecz ta uczta na pobożowisku była prawdziwie rycerską i mniszą i zaledwie głód doskwierający zaspokoić mogła.

Drugiego dnia Godów pułki ruszyły z wozów, wyciągając nie bez ostrożności, gdyż przewidzieć było można, że Turcy z zasadzek wypadać będą i próbować, czy znużony nieprzyjaciół, który się cofał, nie postradał męstwa i siły.

Zaraz też drugiego dnia, pogaństwo ściągawszy się do kupy, rzuciło się z wrzaskiem zwykłym na tyły i tabory, sądząc, że łatwo uchodzących i zmęczonych pokona.

Spalenie wozów, pozabijane konie, krwawa bitwa ostatnia, kazały się domyślać, że wojsko słabem się czuło.

Zaledwie król usłyszał pisk dziczy i znany świst a szelest strzał, nie go utrzymać nie mogło. On, jego młodzież, starszyna polska, inne też pułki zwróciły się ku nieprzyjacielowi z taką gotowością do boju i zapalem, że Turcy zmieszani, zaledwie ujrawszy ich, tył podawać zaczęli.

Władysław z młodzieńcem zuchwalstwem puścił się w pogoń za nimi, i ze swoimi pięciuset Polakami, składającymi jego straż przyboczną, wbił się klinem w pośrodek tego pogaństwa.

Można się było obawiać, ażeby go nie osaczono, lecz taka była obawa chorągwi tej i tego hufca zwycięskiego, iż Turcy w wąwozy i parowy się cisnęli i uciekając, wkrótce zniknęli.

Króla podkancelerzy, konia mu za cugle pochwyciwszy, ledwie mógł powstrzymać, aby dalej się nie zapuszczał, gdyż zasadzka zdradliwa grozić mogła.

Tak się dokonała ta pierwsza wyprawa zwycięska, która imię Władysława szeroko po świecie roznieść miała.

Turcy, jeżeli nie całkowicie pokonani, to przerażeni zostali. Stracili oni ludzi i chorągwi mnóstwo, a straty ich były nieskończenie większe, niż wojska chrześcijańskiego, bo lud był gorzej zbrojony i wojował bezładnie, siebie nie oszczędzając, przez dowódców też nie szczędzony.

To, co wyliczał królowi przy powitaniu Grzegorz, zabicie Begler-beya Rumelii, wzięcie w niewolę zięcia Amuratowego, Mohameda Czelebi, grody i chorągwie, łupy zabrane, starczyły na okrycie sławą wodza chrześcijańskiego, młodzieńca, na którym teraz świat cały pokładał nadzieje. Po ostatniem odparciu Turków, pochód dalszy był już zwycięskim ciągnięciem, radosnem a wesołem.

Kardynał wysłał przodem gońców, wyprawiono listy głoszące, że wojsko laurami okryte powraca. Nim ono do Budy dociągnąć mogło, już i tu, i wszędzie, gdzie wieść doszła radosna, sposobiono się króla i kardynała przyjmować, jak tryumfatorów.

Polacy też, którzy dali niemałe dowody dzielności, przyznawali sobie słusznie wielką część w tem zwycięstwie, a większą jeszcze męstwu i rycerskiemu duchowi młodego króla. Od króla szedł ten zapal, jego słowo i przykład zagrzewały.

Budziło to zazdrość Węgrów. Oni doświadczeniu, rozumowi i kierunkowi swojego wodza, Huniady, gotowi byli więcej jeszcze przypisywać, i w powrocie spory się o to wszczynali niemałe, chociaż sam król młody oddawał swojemu pomocnikowi sprawiedliwość, a zasługi mu nie odejmował.

Huniady w istocie, znając kraje te i Turków lepiej daleko, był niezbędnym, lecz naczelnictwo w boju wszędzie przy królu zostawało.

Z pewnością też i kardynał Cesarini rościł prawa do tryumfu, do którego zagrzewał, chociaż posilki przez niego przywiezione, najmniej się na tej wojnie odznaczyły.

Przez dni kilka musiało wojsko spoczywać w Białogrodzie, dopóki się oddziały rozproszyły i opóźnione nie pościagały.

W Budzie przygotowano się na uroczyste, świetne przyjęcie zwycięzców. Dzień to był wielki, jeden z tych, które się w pamięci żywych wrażają na zawsze i przechodzą do potomności na kartkach dziejów. Rycerstwo przybrało się w szaty i zbroje najświetniejsze; wozy z łupami, chorągwie zdobyte szły za niem. Król z pokorą chrześcijanina, obyczajem starodawnym, szedł pieszo wprost do kościoła Panny Maryi, aby tam na ołtarzu złożyć trofea swoje.

Duchowieństwo, mieszczanie, cechy, chorągwie, przy biciu dzwonów wystąpiły na spotkanie. Obok króla szedł z krzyżem Cesarini, współwojownik i zwycięzca.

Lud witał okrzykami radosnymi, które wpędziły aż na krańcach Europy odbić się miały.

Jak Jagiello chorągwie krzyżackie na Wawelu, tak syn jego tureckie zawiesił u Panny Maryi w Budzie, oprócz tego na pamiątkę dzielnych swych towarzyszy broni polskich i węgierskich, rozkazał odmalować dwanaście herbów polskich i węgierskich. Umieszczono pomiędzy nimi herb, kardynalskim kapeluszem okryty, Cesariniego i celniejszych Krzyżowców.

Grzegorz z Sanoka, niemy świadek tej wyprawy, powracał z niej szczęśliwy do pana swojego, lecz przewidując wcześniej, że zwycięstwo to upoi, i oślepi, i przywiąże króla do tego teatru wojny, na którym pierwsze swe zdobył laury.

Listy, które odbierał z Polski, przybywający z niej Polacy, wiadomości, które tu przynoszono, dla mistrza Grzegorza czyniły powrót Władysława do kraju, pilnym i koniecznym.

Lecz Polska i jej sprawy malały i nikły, zajęte interesem chrześcijaństwa. Co znaczyło owo wołanie szlachty, zgromadzonej na obrady

w Sieradzu lub Korczynie, gdy głos Eugeniusza IV i Paleologa je głuszył?

Na naleganie mistrza odpowiadano niecierpliwie, że biskup Zbyszek i wielkorządcy starczą w Polsce i Litwie, że Kaźmirz zastąpi brata w Wilnie.

Tymczasem kardynał Cesarini, którego pragnienie zawojowania pogan wyprawa ta więcej wzmogła, niż zaspokoila, umiał z właściwą sobie zręcznością wypotrzebować tryumf ten, jako bodziec do nowej walki.

W umysłach zagrzanych jedna myśl się powtarzała, przechodziła z ust do ust, stawiała się hasłem.

— Teraz chwila nadeszła, która złamie potęgę turecką! Na pogan! na pogan!

Pewność zwycięstwa każdy nosił w piersi.

Jeżeli w tak nieszczęśliwych warunkach, zimą, z garścią niewielką otrzymano tyle zwycięstw, co dopiero gdy z całej Europy przybędą posiłki, gdy się najdzielniejsze rycerstwo skupi pod chorągwie młodego bohatera!

Cesarini listy pisał i rozsyłał, nawołując.

Z ciasnej komórki swej patrzył na to i przysłuchiwał się wszystkiemu mistrz Grzegorz, a że widział jasno i chłodno, wiele pięknych widm, które w oczach innym takim jaśniały urokiem, dla niego wyglądały szaro i smutno.

Często o to walki staczał z dziekanem La-sockim, którego kardynał sobie całkiem zniewolił i pozyskał.

Zapomniano, że Władysław był zarazem królem Polski. Grzegorz, ile razy był z nim sam na sam, miał sobie za obowiązek mu to przypominać. Po takiej cichej z nim rozmowie, król tęsknił znowu, niepokoił się, nieśmiało wnosił przed kardynałem, że radby choć na krótki czas jechać do kraju, który przytomności jego wymaga.

Mozolnie przygotowany dnia jednego grunt,

nazajutrz jak burza Cesarini i ks. Lasocki pustoszyli.

Domyślano się w końcu, że wpływ jakiś działa potajemnie i sprowadza te zwroty w usposobieniach.

Przez cały dzień król był pod wrażeniem rozmów o wojnie i marzeń o przyszłej olbrzymiej wyprawie, której pożądał. Z góry układano plany. Wprost uderzyć na Adrianopol i pogan do morza wrzucić, zniszczyć, wytępić. Sile krzyża, potędze męstwa bohaterskiego nie oprzeć się nie mogło. Wyobrażenia przedstawiała już chorągwie z krzyżem powiewające na szczytach wież, nad którymi księżyc się unosił. Władysław widział się pogromcą tej nawały, która zagrażała Europie.

Wszystko znikało z oczów w blasku tych świetnych marzeń, którymi karmił Cesarini.

Wieczorem, rozgrzany jeszcze, powracał król do swej sypialni, gdzie znajdował mistrza Grzegorza z jego książeczką modlitw, z twarzą wypogodzoną, spokojną i smutną.

Naówczas wszczynala się zawsze rozmowa o Polsce, o Litwie, o tem wołaniu i wzywaniu, wyciąganiu rąk do króla.

Z Polski tej dochodziły głosy:

— Myśmy ci pierwsi dali koronę, tyś nam winien opiekę... Opuściłeś nas...

Grzegorz z Sanoka stawał się tłumaczem miłości, tęsknicie ludu, jego prośb i przynaglań. Władysław słuchał i w duszy budziło się niezgasłe, ale przyćmione przywiązanie do własnej ziemi. Czuł, że tam powoływał go święty obowiązek.

Tu otaczała go wrzawa, sława, pochlebstwa, ale tam ręce wyciągała Polska, matka, brat, Litwa i utraczone prowincje. Książęta mazowieccy, Litwa, Ślązacy, najazdy, zatargi... czekały na króla.

Bystrzej może widział i głębiej Grzegorz z Sanoka, niż wszyscy współcześni. Litwa dążyła

do oderwania się z Kaźmirzem, a w Polsce tajemne, skryte knowania przygotowywały powrót Piastów do tronu.

Sam biskup Zbyszek, który napozór Jagiełłończykom sprzyjał, nie był wolen od pewnej dla Piastów sympatii. Później się to objawiło dowodnie, a najdowodniej bije z kart dziejopisa (Długosza), który duchem Oleśnickiego był przejęty i wszystkie jego przekonania podzielał, czynnościom służył.

Oddalenie Władysława, uczynienie go obcym Polsce w chwili, gdy Piastowie zyskiwali tam zwolenników, potajemnym tym dążeniem sprzyjało. Lecz były one tak skryte jeszcze, osłonięte i niewidoczne, że raczej je przeczuwać, niż dojrzeć można było.

Ponawiane przypomnienia obowiązków dla Polski, uczyniły wreszcie na Władysławie wrażenie silne. Otwarcie począł mówić kardynałowi, iż radby pojechać do kraju. Cesarini uląkł się. Groziło to ostygnięciem, któż wie? może zupełną zmianą usposobienia!

Huniady na wodza nie starczył. Europa nie znała go tak dobrze, jak króla, opromienionego urokiem bohaterskiej młodości.

Puścić go z rąk, z oczów, znaczyło tyle, co stracić.

Sama zwłoka groźną się zdawała. Turek przerażony mógł ściągnąć z Azyi siły nowe.

W izbach królewskich kardynał dnia jednego spotkał się z unikającym go Grzegorzem z Sanoka i przywitał z tą słodyczą, która zawsze przepowiadała u niego jakąś walkę i potrzebę pozyskania człowieka.

— Wśród tej wrzawy wojennej—odezwał się do niego kardynał z uśmiechem — wy, kochany poeto, musicie się tu nader czuć obareczonym... Cześć Muz potrzebuje spokoju...

— Pożegnałem też te boginie—odparł Grze-

gorz—i służę Marsowi, razem z przewielebnością waszą.

— Tak, o wszystkim musimy zapomnieć, pomnąć tylko na tę świętą wojnę—dodał Cesarini.

I chwilkę pomileczawszy, rzekł znacząco:

— Król, który dotąd zapalem nam wszystkim dawał przykład, od niejakiego czasu zdaje się tęsknić do Polski. Uważaliście to?

— Tak, i znajduję słusznem a naturalnem—odezwał się Grzegorz. — Dał już dowody, że do ofiar jest gotów, ale jako król polski ma obowiązki, których zaniedbywać nie może. Wiąże go tam przysięga.

— Wyżej wszystkich stoi przysięga na chrzcie Krzyżowi Pańskiemu—zawołał kardynał gorąco.

— Lecz obie się godzą z sobą—mówił spokojnie mistrz.

Zmarszczony i chmurny Cesarini zdawał się tracić cierpliwość.

— Posądzam was, kochany poeto, że wy to w królu budzicie tę niewczesną tęsknotę do kraju.

— Nie wstydzilibym się tego i przyznał, gdybym to czynił—rzekł Grzegorz,—lecz młody król nie potrzebuje, aby mu jego obowiązki przypomniano.

Wtem Cesarini za rękę go pochwycił.

— Ojcie kochany — zawołał. — Wszystko na świecie jest względne, obowiązki mają hierarchię i stopnie. Dla najwyższych trzeba podrzędne umieć poświęcić. Nie wątpię o miłości waszej dla pana, ale służycie mu źle, chcąc go uczynić małym polskim królem, gdy my go pragniemy mieć wielkim bohaterem chrześcijaństwa. Polska się nim pochlubić będzie mogła przed narodami!

Grzegorz z Sanoka skłonił głowę.

— Pozwolisz mi, przewielebność wasza, przypomnieć sobie, że już jedna królowa polska, Jadwiga, poświęciła się raz dla Kościoła i ochrzciła całą Litwę białą ręką swoją!

— Kościół pewnie jej tej zasługi nie zapomni—odparł lekceważąco kardynał. — Dziś chrześcijański świat wyrządza wam tę cześć, że waszego króla wybiera za wodza, a wy...

— A my — przerwał Grzegorz — skłaniamy głowy! Ale wolno nam rzec, że czynim ofiarę.

Ułagodzony znowu, przysunął się do mistrza Cesarini i poufale rękę mu kładąc na ramieniu, szepnął na ucho:

— Nie psujcie mi króla, proszę, nie ostudzajcie!

Grzegorz mileząco skłonił głowę, a kardynał, już spostrzegłszy kogoś potrzebnego sobie, oddalił się, pozdrawiając go miłym uśmiechem.

Tak samo ks. Lasocki zabiegał około starszyzny polskiego rycerstwa, którą wiadomości z kraju niepokoiły. Wszystko się składało, aby upoić i nie dać ostygnąć.

Wiadomość o zwycięstwach Władysława, o tej pierwszej wyprawie Krzyżowców, zwiększona może oddaleniem, doszła do wszystkich dworów Europy.

Pierwszy uradował się nią papież Eugeniusz IV i natychmiast wyprawił legata do Budy z powinszowaniem i błogosławieństwem. Wiózł on Władysławowi kosztowny obraz w podarunku i miecz poświęcany przeciwko niewiernym.

Na stalowej głowni jego stało złożonemi głoskami pod krzyżem:

«In hoc signo vinces.»

Przyjęcie legata było uroczyste, publiczne, połączone z tą wystawą i przepychem, które Władysława tu ciągle otaczały.

Wszystkie posłuchania na wielkiej sali zamkowej w Budzie odbywały się tak, aby oczy cudzoziemców olśniewały. Rycerstwo występowało w złotych zbrojach, w szatach z purpury i złotogłowi, w piórach, z tarczami sadzonymi, z pasami błyszczącymi od klejnotów, w łańcuchach

ciężkich, w szubach sobolowych. Polskie i węgierskie stroje szły o lepszą. Duchowieństwo też nie ustępowało im w okazałości.

Tak wkrótce potem przyjmowano posła króla Francji, Anglii, Hiszpanii, Arragonu, ks. Filipa Burgundzkiego, książąt Mediolanu i innych włoskich dzielnic, rzeczypospolitej weneckiej, florenckiej, genueńskiej.

Stroje i języki wszystkiego świata zbiegały się tu u tronu Władysława, a posłowie przywozili listy, głoszące chwałę jego, zagrzewające do boju. Mógł młody zwycięzca czuć się dumnym i zapragnąć pieć z tej czary, z której kto raz skosztował napoju, wiecznem się palił pragnieniem.

Oprócz pochwał i życzeń, niektórzy posłowie przywozili obietnice pomocy, zaręczenia posiłków. Cześć słowa, które później okazały się zwodniczymi.

Wszystkich panów, przybywających tu, Władysław musiał nie tylko z przepychem królewskim przyjmować, ale zwyczajem wieku ich obdarowywać.

Skarb to wycieńczało, lecz zapął, jaki panował na dworze, nie dozwalał oszczędzać, ani rachować. Ojciec święty obiecywał posilkować złotem, inni monarchowie dawali do zrozumienia, iż się też do obowiązku poczuwali.

Wśród tego rozgorączkowania kardynał Cesarini wymógł na królu, bo miał nad nim przewagę wielką, że Polakom wzywającym do Polski odpowiedziano zwłoką, a zwołano do Budy wielki zjazd na św. Jerzego.

Miał on na celu wyprawę nową.

Na ten dzień zawezwano i Giskrę, dowódcę zaciągów zmarłej królowej i miasta, które trzymały stronę pogrobowca.

Młody pan był zawsze tym samym wspaniałomyślnym, rycerskim mężem wielkiego serca, co

przebaczył i oswobodził niegdyś hr. Cilly i Władysława Garę. Bo, gdy na zjeździe przeciwko Giskrze zmówili się węgiersey panowie, aby jego i współników buntu, a niepokoju sprawców pochwycić, mimo listów żelaznych i poręczeń, król, dowiedziawszy się o tem, potajemnie Giskrę ułatwił ucieczkę, jemu i towarzyszom ocalając życie. Mężny na placu boju, burzył się na samą myśl przeniewierstwa.

Zjazd uchwalił pobór ogólny na wojnę, bo skarb był wyczerpany do dna.

IX.

W mieszkaniu swem na zamku, bo kardynał jak najmniej się od króla oddalał, siedział za stołem zadumany Cesarini. Wieczór się zbliżał i komnata, dosyć ciemna we dnie, cała już była mrokiem posępnym okryta, ale oblicze Włocha gęstsze jeszcze powlekały ciemności. Przy ludziach nigdy na tej twarzy, po której przechodziły błyskami wrażenia przelotne, poznać nie było można, jakie uczucie panowało w duszy. Kardynał jak zwierciadło odbijał to, co go otaczało; zdawał się odczuwać wszystko, lecz siebie nie zdradzał. Ruchoma ta maska była zagadkową przez to właśnie, iż się zmieniała co chwila. Taką ją czynił temperament włoski. Umiejętność życia okrywała nieprzebitą zasłoną.

Lecz w tej chwili, gdy sam z sobą nie potrzebował się ukrywać, ani baczyć na siebie, Cesarini zmarszczoną, posępną, nasróżoną niemal twarzą wypowiadał wielkie cierpienie. Poruszał się machinalnie, bez myśli, jakby nim krew rzuciła, powstawał, siadał, podpierał się i ręce to zacierał,

to łamał, to tarł niemi twarz i rozrzucał już przedzione włosy.

Niekiedy spoglądał niecierpliwie na drzwi, jakby oczekując na kogoś, i znowu wpadał w zadumę, która sprowadzała rozdrażnienie jeszcze większe. Walczył z sobą.

W progu ukazał się dziekan Lasocki, idący cicho, mierzonemi krokami, z również zafrasowanem obliczem.

Dwaj ci ludzie, pod wrażeniem jednych myśli, pod ciężarem wspólnym, niepodobni byli do siebie, jak te dwa plemiona, których krew mieli w sobie. Włoch miał krew zburzoną, Polak z zimną krwią zabierał się do boju. Ale Włocha bóg miał ostudzić i uczynić rozważnym, gdy Polak właśnie dopiero na placu mógł się rozgorączkować.

Różnica ta natychmiast na jaw wyjść miała. Na widok dziekana, Cesarini obliczu kazał mileżeć, a Lasocki mimo woli poddał się przykreemu wrażeniu, które z sobą przynosił.

— Tak jest — odezwał się cicho, do kardynała. — Niestety! nie ulega to wątpliwości! Jerzy, despota Rascii i Jan Huniady bez wiedzy króla, podstępnie, tajemnie weszli w układy z Turkami. Owoc tylu usiłowań stracony... zawarli pokój... to jest zmuszą króla do zawarcia go. Warunki są... korzystne... Ustępstwa, jakich się nigdy po Amuracie spodziewać nie było można!

Kardynał ręce załamał.

— Niestety! — zawołał, wyrażając się popularnie po włosku (*accidente!*), co razem jest rodzajem przekleństwa.

Chwilę mileżał.

— Iść przebojem — dodał pociechu — na nie się nie zdało... Walczyć w tej chwili przeciwko pokojowi niepodobna... Gra musi być inną...

Lasocki patrzył i zdawał się czekać na wytłumaczenie, niedobrze rozumiejąc jeszcze.

— Wysadzeni z siodła — dodał Cesarini — musimy iść przy koniu i głaskać go, dopóki się nań wsiąść nie uda.

Spojrzał bystro na Lasockiego, uśmiechnął się i dodał, jak zwykle, gdy bardzo coś uczuł mocno, po włosku:

— *Chi va piano, va sano... e lontano, lontano.* Musimy zgodzić się na pokój, pochwalać go nawet.

Przerwał i dodał, szepejąc, obiema rękami robiąc ruch, jakby rozdzierał coś w nich:

— Pójdzie ten pokój w kawałki!

— Lepiejby go nie dopuścić — rzekł Lasocki równie cicho.

— Niepodobna! — przerwał niecierpliwie kardynał. — Kopano dołki pod nami, wpadliśmy w nie... wprowadzimy z kolei kopaczy...

Położył palec na ustach.

— Słuchajcie mnie, proszę; nie sprzeciwiamy się pokojowi, pomagamy do niego...

Poruszył ramionami żywo.

— Tak, ale wyprawa przyjdzie do skutku i będzie świetna, będzie zwycięską... daję na to głowę moją. Pamiętajcie, jesteśmy za pokojem!

Przeszedł się po izbie raz i drugi kardynał, pociągając mucet i poprawiając czapeczkę na głowie.

— Wiecie warunki? — zapytał — ja się ich domyślam. Despocie oddaje zapewne Turek zabrane zamki i miasta... a Huniady?

— Huniadem oddaje Jerzy to, co z nadania Alberta i Władysława na Węgrzech posiadał...

— Panowie pamiętali, że pierwsza miłość od siebie! — rozśmiał się kardynał. — Nie dziwuję się despotcie, ale nie pojmuję wojewody! Huniady! ten nasz wódz i bohater!

— To też pokój nie jest jego sprawą, ale despoty. On Huniada namówił, wciągnął, zbałamucił, opętał. Wielki wódz dał się omamić!

— Huniady! — powtórzył kardynał.

— Despota wybrał do zawarcia pokoju z Amuratem chwilę sposobną — mówił Lasocki.

— Tak, wyprawa, którąśmy przeciw niemu sposobili i która przyjdzie do skutku — sierzdisto i z naciskiem rzekł Cesarini — napędziła mu strachu. Despota korzystał.

— Oprócz tego mówią, że Karaman, syn chana Tatarów, z ogromnym tłumem zbierał się iść na Natolię — dodał Lasocki. — Niewola Czelebiego, klęski poniesione, wszystko to dumnego najeżdżcę zmiękczyło.

— I Huniady, Huniady dał się omamić — wtrącił kardynał, a po chwili dodał: — Rozumie się, że i my jedziemy do Szegedynu!

Spojrzał na dziekana, który lekkim głowy skinieniem zgadzał się na wszystko.

Wieczór nadchodził szybko, w komnacie robiło się coraz ciemniej; sługa wniósł światło i razem z nim wtoczył się raczej, niż wszedł, ogromnego wzrostu opasły mężczyzna, którego twarz wschodniego wybitnego typu, z czarnymi wielkimi oczyma, więcej chytrości, niż rozumu oznaczała. Łatwo było odgadnąć, że on miał się za bardzo przebiegłego i mądrego, lecz czy nim w istocie mógł się zwać, wątpić się godziło.

Obejście się wielce pokorne, a zarazem niby dobroduszne, zdradzało ochotę uchodzenia za prostaczka.

Był to Grek, którego znano pod imieniem Arkadyusza, posługujący różnym, a teraz despotowi Rascii.

Kardynał, znawca wielki ludzi, oddawna go już ocenił i stosownie się obchodził z nim.

Oblicze Cesariniego w przewidywaniu, że na niem przybyły szpiegować będzie myśli, przybrało wyraz obojętnego spokoju.

Arkadyusz po niskim pokłonie, obejrzawszy się na Lasockiego, westchnął i ręce zacierając, począł:

— Przychodzę przewielebność waszą zapytać, bom nieświadom niczego a niespokojny. Wieść się rozchodzi, bałamutna może, o pokój? Nie zanosilo się na to?

Kardynałowi nie drgnął żaden mięsień twarzy.

— O pokój? — powtórzył. — Nie nie wiem. Skądże ta wiadomość?

— Pogłoska — rzekł Arkadyusz. — Miał ją jakoby przywieźć goniec od wojewody Siedmiogrodu i despoty.

— A cóż mówią o nim? — pytał zimno, ale z zajęciem pewnem Cesarini.

— Powiadają, że korzystając z usposobienia sultana, który siedmdziesiąt tysięcy dukatów za Czelebiego zapłacić musiał i dużo ludzi utracił, Huniady i despota skłonili go do przystania na bardzo dobre warunki.

— Cóż to zowiesz dobrymi warunkami? — uśmiechając się, spytał kardynał.

Arkadyusz pilno mu w oczy patrzył i ramionami poruszając, rzekł:

— Mówią o dobrych warunkach, ale ja, ja ich nie znam! Lecz... czyby król, pan nasz miłościwy, w którym taki zapał do boju goreje, przystał na to?

Cesarini ramionami poruszył, udając obojętność. Obrócił wszystko w żart.

— Kto wie? gdyby sultan Amurat opuścił Adrianopol i z całą swą tłuszczą powrócił do Azji!

Arkadyusz przymuszonym śmiechem odpowiedział, ale oczy jego nie schodziły z kardynała.

— A przewielebność wasza — rzekł — cobyście trzymali o pokój?

— Ja, mój Arkadyuszu — odparł kardynał — z powołania, jako duchowny, jestem człowiekiem pokoju. Wszystko zależy od tego, czem go okupić potrzeba.

— Pogłoska ta jeszcze do was nie doszła?— zapytał Grek.

— Dotąd nie wiem — odezwał się Cesarini.

— Zdaje się jednak, że listy jakieś przyszły od Huniady do tutejszych panów — zniżając głos, dodał poufnie gość, który, nie śmiejąc się, stał w uniżonej postawie. — Węgrzy sobie dosyć życzą pokoju. Wojna wszystkich znużyła, skarb wyczerpała. Króla do Polski wzywają, podobno jechać tam będzie musiał, bo się w jego Polsce zawichrzyło. Skarb też wyczerpany, bo młody pan szafuje nim po królewsku, a nim miasta złożą pobór uchwalony...

Zatrzymał się Arkadyusz, chcąc wydobyć jakąś odpowiedź od kardynała. Cesarini siedział z oczyma spuszczone, ręką białą po stole przebiegając i zdawał się tak obojętnym, jakby go ta sprawa najmniej obchodziła.

Grek, który postanowił go wybadać, nie poprzestał na pierwszej próbie.

— Waszej przewiełbności przypisują, że życzyliście nowej wyprawy i pogromu Turków; cóż tedy, gdyby do pokoju przyszło? Zmieszałyby się wszystkie szyki i poszły w niwecz przygotowania! Szkoda!

Kardynał tak zagadnięty, nie spojrzał nawet na Greka, ale patrząc na ścianę, odparł:

— Ci, co mi przypisują pragnienie wojny, nie mylą się, dziecko moje. Pogan pragnąłbym w istocie widzieć wyżenionymi z Europy, ale pokój zawarty nawet nie jest nigdy wiecznym. Cóż tu dopiero rozprawiać o niedokonanym? Ja nie wiem.

Odparty tak Arkadyusz westchnął i zwrócił się do Lasockiego, który stał zdala milczący.

— Wy, ojcze — rzekł — co wszystko wiecie, powinniście już byli słyszeć coś o tem?

— Byłem zajęty ekspedycją papierów do

Polski — odrzekł Lasocki — nie widziałem nikogo.

— Gońcy przybyli, bom ich sam widział — dodał Arkadyusz.

— Więc niezwłocznie się to wyjaśni — zakończył dziekan.

Grekowi zawiedzionemu nie pozostawało już nic nad zmianę rozmowy. Zwrócił ją na przedmiot obojętny i ciągle oczyma śledząc kardynała i dziekana, nie nie wydobywszy z nich, odejść musiał.

Cesarini wieczora tego, pod pozorem choroby, nie wyszedł na pokoje do króla. Nie chciał okazać zbytnej nawet ciekawości, niepokoju i pośpiechu.

Wiadomość o przybyłych pismach już się po całym dworze rozeszła, a Cesarini nie dał znaku życia. Lasocki słuchał, nie mówiąc nic.

Jeden z pierwszych dowiedział się Grzegorz z Sanoka o pokoju zamierzonym i na wpół już dokonanym przez potężnego Huniada.

Dla niego była to wiadomość pomyślna bardzo. Lękał się wyprawy przeciwko Turkom, na której tak niezmierne pokładano nadzieje... radby był króla widzieć w Polsce. Nadzieja zawarcia pokoju uradowała go, lękał się tylko wpływu kardynała i wojennej żądzy Władysława, a drżał z niepokojem.

Dnia tego wcześniej, niż zwykle poszedł do sypialni królewskiej, tak bardzo pragnął się z nim widzieć. Króla tu jeszcze nie było, pomimo, że godzina spoczynku zwykłego nadeszła. Nierychło dał się słyszeć szybki chód jego i żywa z towarzyszącym mu Gratusiem Tarnowskim rozmowa.

Król wszedł niespokojny i zasepiony. W progu pożegnał się z towarzyszem i zobaczywszy Grzegorza, wprost zmierzył ku niemu. Błady był i poruszony.

— Wiesz — zawołał — słyszałeś! Huniady pokój z Turkiem umówił!

Załamiał ręce.

— Wszystkie nasze najświetniejsze nadzieje rzucone w błoto! Nigdy drugi raz nie nastreczę się już taka zřęczność zgładzenia potęgi pogan! Starania kardynała, wysiłki Paleologa, pomoc wszystkich panów chrześcijańskich przyrzeczona. I wojewoda siedmiogrodzki, mój najlepszy wódz, ten prawdziwy bohater, prowadzi nas do tego upokarzającego układania się z tym rozbójnikiem okrutnym! do traktatów z pogany! Srom i hańba!

Wykrzyku tego mistrz wysłuchał spokojnie i dawszy ostygnąć królowi, począł zwolna.

— Ja w tem nie widzę nic tak dla nas nie-szczęśliwego a, uchowaj Boże, sromotnego. Prę-dziejbym się radował z tego końca, jeśli warunki pokoju korzystne.

— Pokój każdy teraz jest zgubą i hańbą! — przerwał król. — Cała Europa ma na nas obrócone oczy i na mnie pokłada nadzieje. Miałebym zawieść oczekiwania i okazać się tak mało-dusznym?

Grzegorz zmileczał nieco.

— Królu mój — odezwał się, umyślnie ociągając z odpowiedzią — za porywczó bierzecie to wszystko. Cała Europa karmi cię obietnicami, listami pochwalnemi i pochlebstwy, i za twą krew, daje piękne słowa. Gdzież są te obiecane zastępy i te ślubowane posiłki pieniężne? Przysłano nam garść włóczęgów, których w obozie wstydzić się i kryć z niemi było potrzeba. Polacy i Węgrowie walczyli sami. Krzyżowców niemieckich i włoskich niema co wspominać. Na przyszłą wyprawę nie dadzą więcej.

— Mylisz się — przerwał król.

— Bogdajbym się mylił — rzekł Grzegorz. — Pokój kilkoletni dałby czas urządzić sprawy polskie, przygotować się powoli, a silnie do ostatecz-

nej rozprawy. Huniady jest mąż odważny, baczny, świadomy potęgi, z którą walczyć będzie do wojny; ja w sumieniu mem pokój doradzam i modlę się do was, jeżeli słuszny, a godny... nie odpychajcie go!

Złożył ręce, w których trzymał książkę modlitw i stał tak przed królem, patrząc mu w oczy.

Władysław zdawał się nieco wzruszonym, lecz wprędee wróciło mu usposobienie, z którym przyszedł; tęsknota za sławą, za wojną, za tą aureolą rycerza chrześcijańskiego, której pożądał.

— A — zawołał — ty dobrze wiesz, czem mnie złamać możesz! Przypominasz mi Polskę i pierwszy względem niej obowiązek. Widziałeś sam, byleś świadkiem, że go spełnić żądałem, że chciałem jechać, że postanowiłem.

— A kardynał to jednym słowem w niwecz obrócił! — wtrącił Grzegorz.

— Nie kardynał! Wszyscy, wszyscy mnie błagali, abym pozostał — odparł Władysław. — Ta wyprawa ma być stanowczą i ostatnią!

— Losy wojny niepewne — odezwał się mistrz smutnie. — Największe nadzieje zawodzą. Jeżeli pokój możliwy, królu...

Tu Grzegorz przykląkł na jedno kolano.

— Zaklinam cię.

Władysław uchwycił go za ramiona.

— Grzegorzu mój, ojcie kochany — rzekł. — Ty wiesz, ja nie zależę od siebie. Papież, ojciec nasz, Paleolog, królowie, książęta... żądają tego po mnie. Zaszczyt to, cześć dla mnie i dla Polski naszej.

Grzegorz uczuł, że w tej chwili nalegać byłoby próżnem; spuścił głowę, rozłożył książkę, zaczął szukać modlitw wieczornych. Król też nie wznowił rozmowy, ale widać było, że rzucone przez Grzegorza słowa na opokę nie padły.

Nazajutrz rano panowie węgierscy, którzy odebrali listy od wojewody i despoty, po naradzie

weszli uroczyście i tłumnie do króla, domagając się posłuchania. Kardynał wiedział zawczasu o tem, że w Budzie nie było prawie jednego człowieka, któryby się nie cieszył nadzieją pokoju... pokoju, żadanego przez samych Turków!

Już to samo, że oni go pragnęli i wzywali do niego, pochlebiało dumie... a wewnętrzny stan kraju nakazywał z tego korzystać.

Kardynał wobec tak jednomyślnego domagania się, obrachowawszy, że oprócz Lasockiego, nie znajdzie poparcia w nikim, przybrał zagadkową postawę... stawiał się neutralnie. Wiedzieli wszyscy, że podzegał do wojny, że uwodził obietnicami wysłania floty, która miała pilnować na morzu i nie dopuścić, aby posiłki z Azji dla Turków przybyły; nie udawał więc, że zmienił zdanie (temu by nikt nie uwierzył)!... przybrał postać złamanego, zwyciężonego i ulegającego przeważnej sile człowieka. Król widząc, że nawet kardynał jawnie oporu stać nie myśli, zachwiał się.

Węgiercy panowie przybywszy tłumnie, wymownie i gorąco wyrazili zgodne zdanie swe, aby pokoju nie odrzucać. Kraj był wycieńczony, ogłodzony, znękany wojną, a sławy miał do syta.

Na to poselstwo, przemawiające natarczywie, nie mógł król inaczej odpowiedzieć, jak milczeniem przyzwalającym.

Kancelarz państwa i inni dopraszali się, aby Władysław, nie zwłócząc, udał się do Szegedynu, gdzie posłowie tureccy przybyć mieli.

Naglono tak o pośpiech, domagano się tak gorączkowo, iż opierać się nie było podobna. Kardynał, który dotąd zawsze głos zabierał i gotów był walczyć z przeciwnikami, zapewne rozrachowawszy ich liczbę, milczał. Oblicze jego pochmurne, niemal szyderskim jakimś uśmieszkiem skrzywione, stało, jak groźba niema ponad rozamiętnionemi.

Dawszy szeroko się wytłómaczyć Węgrom,

do których panowie polscy się nie mieszała, stojąc na uboczu, król wtrącił tylko:

— Pomnijcie, że Turek z chytryści i przebiegłości słynie. Być może, iż nas uwodzi pokojowemi nadziejami dla tego, aby nasze przygotowania wojenne wstrzymał. Gdybyśmy nawet do Szegedynu jechać mieli, to nie inaczej, jak wyprowadzając część wojska, którą gotową mamy, aby stała w polu i groziła mu wtargnięciem.

Kardynał po raz pierwszy mocno poparł króla.

— Najprostsza ostrożność i rozum doradzają to — rzekł. — Nie wprzód jechać, aż wojsko wyciągnie. Jeśli pokój ma w istocie stanąć, ono go poprze najdzielniej.

Panowie węgiercy widząc, że król stawiał to jako warunek, spojrzeli po sobie i zgodzili się.

Król nawzajem podróżę się nie opierał.

Łatwiej na pozór daleko, niż się spodziewali, panowie zdobywszy to, czego sobie życzyli, widząc kardynała milczącym, nie próbującym nawet oporu i sprzeciwiania się... nie mogli zrozumieć, jak się to stało.

Cesarini dotąd nigdy takiego nie okazał umiarkowania.

Wychodząc z posłuchania od króla, jeden ze znanych dobrze Grzegorzowi magnatów, spotkawszy go w podwórzu, a widząc, że mistrz nie bardzo z Włochem był w przyjaźni, począł, śmiejąc się, chwalić odniesionem zwycięstwem.

— Wiesz, ojcze, cud się stał! — zawołał do królewskiego kapelana. — Kardynał zaniemiał. Tryumf odnieśliśmy niespodziany.

— Sądzić? — przerwał szydersko mistrz. — Nie cieszyć się zawczasu, a nie dowierzać. Człowiek ten, gdy milczy, niebezpieczniejszym jest, niż w rozprawie. Dopóki on tu mieszka, wierząc mi, jest panem i was wszystkich przemoże, jeżeli nie rozumem, to przebiegłością.

— Ależ król jedzie do Szegedynu! — zawołał Węgrzyn.

— A pokój nie zawarty jeszcze! — szepnął Grzegorz. — Więcej powiem... gdyby zawartym był, ja i temu nie zaufam.

Zmarszczył się magnat, ale ręką uderzywszy po szabli i zakławszy w swoim języku, rzekł:

— Jeden przeciwko wszystkim nie nie dokaże!...

Rozeszli się tak.

Król złamany domaganiami się Węgrów, przymuszony traktować o pokój, obawiał się spotkania sam na sam z Cesarinim i wymówek a uzaleń, które go ominąć nie mogły.

Gdy po odejściu panów, weszli razem z nim do pobliskiej komnaty, król tak był zmieszany i upokorzony, że na kardynała spojrzeć nie śmiał.

Wielką moc mający nad sobą Cesarini, w pierwszej chwili nie okazał nic nad smutną rezygnację.

— Padam ofiarą — odezwał się — mojej wiary w Węgrów, ale spodziewam się, że oczyścić się potrafię. Niestety! za nierozważnie, za pośpieszenie zaręczyłem, że wyjdziemy w pole! Zawiadomilem o tem papieża, księcia Burgundyi, Wene-tów i Genuńczyków, którzy z flotami w pomoc nam śpieszą. Okrutny, sromotny zawód dla mnie, lecz Bogu go ofiaruję! — dodał pokornie.

Król, ujęty bólem tym, starał się go pocieszyć.

— Nic się jeszcze nie stało — rzekł — nie może się nie dokona. Znaie moje uczucia, wiecie, żem gotów... lecz...

Kardynał przerwał, dając znak ręką, że mówić nie potrzebuje.

— Cierpliwości... tak, miłościwy panie, burzę tę przetrwać potrzeba; nie przekonamy ich. Milczmy na teraz, patrzmy, czekajmy! Ja zostanę

ofiara, ja ogłoszony będę kłamcą i lekkomyślnym, ale czas to naprawi, wyjaśni i oczyści mnie.

Kardynał złożył obie ręce na piersi, oczy podniósł ku niebu, westchnął i ułożył tak twarz swą, że się wydawał prawdziwym męczennikiem.

Król poruszony mocno, uściskał go.

Postanowiona podróż do Szegedynu nie cierpiała zwłoki. Panowie obawiając się, aby jej co nie stanęło na zawadzie, wzięli się zaraz do przygotowań. Wojskom dano rozkazy wyciągania pośpiesznego nad granicę, dwór sposobił się do podróży. Król sam prosił Cesariniego, aby go nie opuszczał, kardynał też wybierał się mu towarzyszyć. Dwór polski, młodzież, niektórzy z panów, Grzegorz z Sanoka, dziekan Lasocki, wszyscy jechali za królem.

W Szegedynie czekali Węgrowie, bardzo licznie zebrani, wszyscy, którym szło o to, aby pokój zamierzony stanął w istocie.

Czasu tego, który upłynął od pierwszych gońców wojewody siedmiogrodzkiego do zjazdu w Szegedynie, kardynał używał bardzo oględnie, lecz zrzęcznie.

Publicznie wcale nie występował przeciwko traktatowi. Pytany bolał tylko, że sprawy węgierskie zmuszały do tego kroku, który w Europie, po świecie surowo mógł być sądzony. Gdziekolwiek rozmowa o pokoju rozpoczęta została wobec liczniejszych świadków, Cesarini wcale w niej nie brał udziału. Okrywał się wielce znaczącem milczeniem.

Na osobności z młodzieżą polską i węgierską, odzywał się z wielkim żalem, że rycerstwu wydzierano chwałę, którą się okryć miało. Przemawiał gorąco, a że słowo jego działało na umysły, do których z dziwną zrzęčnością było zawsze zastosowane, odchodzili od niego gorętsi z żalem w duszy, z niechęcią przeciw starszyźnie, która

dała się pieniędzmi i mamiącemi korzyściami uwieść do sromotnego kroku.

Tak pokątnie tylko działając, Cesarini publicznie przeciw układom nie nie działał... był świadkiem bezczynnym przygotowań do nich.

Wszystkich, a najbardziej Grzegorza z Sannoka, to zachowanie się kardynała w zdumienie wprawiało. Mistrz Grzegorz nie krył się z tem wcale, że pokoju dla króla pragnął i popierał go wszelkimi siłami.

Lasocki równie był zamknięty i milezący jak ten, który nim władał.

Młody król walczył z sobą. Mistrz, mający jego zaufanie, bo przed nikim się z taką otwartością nie wywnętrzał, jak przed nim, najlepiej wiedział, co się w tej młodej, zburzonej duszy działo. Wieczorem czasem znajdował go na modlitwie cichej, ze łzami na oczach. Jednego dnia poddawał się konieczności, drugiego wracał do żalów swych i pragnień.

— W pół drogi do celu... zaparto mi ją! Los złamali... przyszłość tak świetna, zgubiona na wieki!

— Królu mój! — wołał Grzegorz — nie masz lat dwudziestu... przeciwko Tatarom i Turkom we własnym kraju będziesz mógł walczyć i wsławić się. Ten pokój—to palec Boży! Kardynał jest zaślepiony... nie obwiniam go, bo wiem, że sam gotów jest z życia uczynić ofiarę; ale rachuby jego mylne, zaufanie w pomoce płocze, nieprzyjaciela za lekko ceni.

Król bolał niewymownie.

Kilka dni oczekiwano na postów tureckich. Wiadomem już było, że na czele poselstwa ma się znajdować Grek, renegat, o którym Arkadyusz mówił, zapierając się z nim znajomości, jakoby ze słuchu tylko, lecz drudzy utrzymywali, że dwaj jednoplemienni byli z sobą w tajemnych stosunkach. Głoszono go, jako przebiegłego wielce i chy-

trego człowieka. Wstręt zawczasu budziło to, że przechodząc do służby tureckiej, zaparł się dla niej Boga i przyjął mahometańskie wyznanie.

Grek, przeciw któremu przodem wysłano mały poczet dla bezpieczeństwa, dodając Arkadyusza za tłómacza, nadsiażdżał w sto koni, bogato i wspaniale strojnych i objuczonych. Sułtan dodał mu kilkunastu janczarów, dla świetności orszaku.

Z Szegedynu wysypało się, co żyło, dla zobaczenia tego wjazdu, który się odbył w milczeniu, ale z uroczystością wielką.

Od granicy już, wedle zwyczaju, podejmowano Turków, dostarczając im żywności, wyznaczając gospody, a w Szegedynie czekały na nich domy opróżnione i tłuste barany, któremi się żywić mieli.

Turcy wieźli dla króla podarki kosztowne, koni kilka najpiękniejszych, materyj, tkanin różnych i klejnotów.

Na dzień następny pierwsze posłuchanie naznaczone było.

Dla Greka Rodokosa i tych, co się z nim królowi przedstawić mieli, zawczasu posłano, zwyczajem wschodnim i u nas zachowywanym, szuby sobolowe, jedwabiem kryte i suknie kosztowne, które wdziawszy, poselstwo sprawić mieli.

Młody król przyjmował Turków na tronie, otoczony co przedniejszymi ze dworu swojego panami, z całym majestatem monarszym. Przy tronie stali trzymający chorągiew, miecz wielki obnażony, laski i godła pańskie urzędnicy węgierscy.

Grek, po turecku przyodziany, w szubie na wierzch, którą mu podarowano, przykląkł przed królem i w krótkich słowach powitał Władysława. Zagaił tem, że pan jego pokój z sąsiadem zawrzeć jest gotów.

Rodokos miał powierzchowność niepowabną, czarny był, oczy mu biegały niespokojnie, ruchy

miał dziwne i dumą nadrabiał, czując, że podłym się wydawać musi. Z twarzy jego niewiele się dawało wyczytać, wejrzenie skośne przypominało dzikie zwierzę, w ustach było coś złego. Na przemiany uniżony do zbytku, jakby potem przypominał sobie od kogo i z czym przychodził, rwał się zuchwale.

Po tem posłuchaniu wielkiem, rozpoczęły się dopiero z wyznaczonymi panami węgierskimi umowy o pokój. Turek tak skłonny był do zgody, że prawie bez sporu oddawał wszystkie zamki zagarnięte w Rascii, część Albanii dla despoty. Bułgarów tylko zatrzymać chciał dla siebie.

Przytomny Jerzy, despota Rascii, który najwięcej miał korzystać z tej powolności Turka, rzucał się na kolana, błagał, zaklinał, aby nie opuszczano tak szczęśliwej zręczności odzyskania twierdz i grodów obronnych, które niegdyś wiele krwi kosztowały, a dziś darmo zwrócone być miały. Panowie też węgiersey obstawali równie gorąco za pokojem.

Kardynał zdala patrzył, słuchał, marszczył się, lecz przeciwko prądowi ogólnemu nie mógł wystąpić. Nie chciał opierać się nadaremnie i być pokonanym, a czuł, że nie zwycięży.

Oprócz króla samego, który smutnie przyjmował te warunki, nie mogąc zaprzeczyć, że były korzystne, prócz kardynała i dziekana wszyscy zdawali się zgodzie cieszyć pokojem, który na lat dziesięć miał być zawarty.

Jęki i błagania despoty, który oprócz zamków miał odzyskać dwóch swoich synów, będących w ręku Amurata, przyczyniały się też wielce do przyspieszenia układów.

Grek zdawał się nad wszelkie przewidywanie powolnym, godził się na warunki już wprzód oznaczone, wymagań nowych nie stawiał.

Trzeciego dnia Lasocki dał znać Cesariniemu, że pokój był już tak jak zawartym. Kardynał

pobladł, ale nie rzekł ani słowa. Wyszedł, jak zwykle, do króla i ani spytał go o nic, ani wymówek mu nie czynił.

Traktat ów dziesięcioletni z obu stron miał być poprzysiężonym, przez Turków na alkoranie, przez króla na Ewangelię.

Rodokos, w chwili, gdy o tem była mowa, obstając mocno, aby przysięga jak najuroczystsza była i jak najsilniej obowiązująca, wniósł, ażeby król ją na poświęconej Hostyi u ołtarza złożył, na tem, co dla chrześcijanina najświętszem było.

Nie bez przyczyny Grek się tego domagał. Wiedział on dobrze, iż przy królu byli ludzie, którzy przeciwko traktatowi mieli go podżęgać i do złamania namawiać. Arkadyusz myśl tę mu poddał.

Na pierwszą wzmiankę o tem Grzegorz z Sanoka, który się w izbie znajdował, podniósł głos z gwałtownością wielką:

— Nigdy w świecie być to nie może! — krzyknął. — Przysięga na Hostyę niesłychana u nas, zwyczaj żaden jej ani dopuszcza, ani uświęca! Byłoby to profanacją! Na to dozwolić nie można.

Grek obstawał przy swoim.

Oburzony, wybiegł mistrz wprost do króla, przy którym znalazł kardynała z zaciętymi ustami i piorunującymi oczyma.

Pomiędzy Cesarinim a Grzegorzem z Sanoka w ostatnich dniach przychodziło codzień do sprzeczek i sporów często w rzeczach małej wagi, jak gdyby Cesarini oprzeć się nie mógł niechęci swej do tego człowieka.

Gdy mistrz ze zmienioną a gniewną twarzą wpadł na pokoje, kardynał zmierzył go wejrzeniem złośliwym.

— Miłościwy panie — odezwał się Grzegorz z zapalem. — Grek bezbożny domaga się rzeczy niegodziwej, niemożliwej... Chce przysięgi na

Hostyę! Byłoby to profanacya! Tego dopuścić się nie godził!

Władysław porwał się z siedzenia, ale nie odpowiadając, spojrział na kardynała, jakby go wyzywał. Cesarini się skrzywił ironicznie.

— Jeżeli pokój robicie i króla do przysięgi nań zmuszacie — odezwał się — dlaczegożby i na Hostyę nie miał przysięgać? Zwyczaju tego nie ma, ale i zakazu niema! Taka czy inna przysięga będzie nieważna!

— Jakto? — wykrzyknął Grzegorz, cofając się zdumiony. — I to wasza przewielebność mówicie? Wy? książę Kościoła? Dopuszczilibyście, aby dla sprawy ziemskiej Boga samego używać i czynić świętość narzędziem?

— Przysięgamy na Krzyż i Ewangelię — odparł kardynał — dlaczegożby nie na Hostyę? *).

— Nigdy w świecie nie dopuścim tego! — zawołał Grzegorz.

— Powtarzam wam — wtrącił Cesarini — że nie widzę w tem ani profanacyi, ani nie nadzwyczajnego... a ta przysięga...

Lekeeważąco ręką potrzęsnał.

— Heretykom i poganom ani wiary, ani przysięg nie jesteśmy obowiązani dotrzymywać — dodał kardynał.

Grzegorz się wzdrygnął.

— I to miałoby być chrześcijańską nauką? — zawołał gwałtownie — nauką tego Zbawiciela, który nieprzyjaciół miłować kazał, a za złe dobrem odpłacać? Który w Ewangelii swej nikogo z pod prawa miłości nie wyjął?

Cesarini spojrział z rodzajem politowania na mistrza Grzegorza, ramionami poruszył i odwrócił oczy w inną stronę.

Grzegorz podszedł do króla.

*) O tym sporze z Cesarinim Kalimach opisuje w życiu Grzegorza z Sanoka. P. A.

— Miłościwy królu — rzekł z powagą i namaszczeniem — chociaż przytomny tu legat Ojca świętego zdaje się być za tą niesłychaną formą przysięgi, której Turek, a raczej chytry Grek, jego poseł, wymaga, ja, jako stary twój sługa i stróż sumienia, błagam cię, warunku tego nie przyjmuję.

— Byłem i jestem za pokojem — dodał — ale taką okupioną ceną... nigdy!

Kardynał pilno patrzył na króla.

Być może, że popierając przysięgę na Hostyę, chciał jej zapobiedz i pokój ten zniweczyć w chwili, gdy już był bliskim zawarcia. Domyślał się, iż pobożny Władysław pójdzie za radą mistrza. Jakoż król okazał jawnie, że na te wymagania przystać nie może.

— Nie będę im przysięgał inaczej, tylko wedle obyczaju — rzekł stanowczo. — Nie bój się, mistrzu mój, świętokradztwem się nie skażę.

Uśmieszek przebiegł po ustach Cesariniego; mileząco spojrział na Grzegorza, który stał jeszcze.

— Mam odnieść tę odpowiedź króla? — zapytał.

— Tak, powiedz im, że jeżeli mi nie ufają, przysięga żadna wiary nie wzbudzi — odparł Władysław.

Grzegorz zwycięsko spojrział na Cesariniego, który w obliczu miał coś szyderskiego, i oddalił się.

Na pokojach króla czekali potem rozwiązania tego sporu o przysięgę dosyć długo. Trochę znieczierpliwiony niepewnością tą, Cesarini wyprawił Lasockiego na zwiady.

Dziekan powrócił, przynosząc wiadomość, że Grek upierał się przy swej przysiędze na Hostyę, ale widocznem było, że ulegnie i od warunku tego odstąpi, ograniczając się krzyżem, Ewangelią i ołtarzem.

Kardynał, posłyszawszy to, pochmurniał; ostatnia nadzieja zerwania układów znikła.

Nazajutrz król poprzysiągł zawarty traktat dawnym obyczajem, a Turcy zamki w przeciagu ośmiu dni wydać się zobowiązali.

X.

Milczenie, cierpliwość, obojętność, z jaką kardynał Cesarini patrzył na zawarcie pokoju w Szegedynie, podżeganie dziwne, gdy szło o przysięgę, lekceważenie jej... dla tych, co jak Grzegorz z Sanoka, znali Cesariniego, niepojętem się wydawało.

On, co był duszą i sprężyną wyprawy przeciwko Turkom, co czuwał tu tylko nad tem, aby wojnę krzyżową przeciw niewiernym uczynić nieubłaganą i ostateczną... w chwili zawarcia dziesięcioletniego pokoju zachował się tak, jakby w istocie już nie miał najmniejszej nadziei skłonienia do walki. Nie pozostawało mu nic więcej, jak powracać do Rzymu, gdyż pobyt jego na dworze króla Władysława nie miał celu.

Nie mówił jednak wcale o odjeździe, a w drodze do Budy, jak w Szegedynie, zachował się z tą samą obojętnością. Grzegorz z Sanoka, który śledził każdy ruch tej zagadkowej postaci, przekonał się tylko, że przy każdej zręczności sam na sam z królem i z tymi, których znał usposobienie rycerskie, kardynał starał się obudzić żal, iż pokój ten odbierał im laury, sławę, zasługi, niweczył wszystkie ich nadzieje.

Król też był smutny i zamyślony. W podróży na jednym ze spoczynków, nie oglądając się na to, że Grzegorz był przytomnym, Cesarini począł te żale rozwodzić.

— Zaprawdę—mówił do króla—nigdy Turek

nie dał dowodu większego przewrotności a rozumu, jak teraz. Czuł i wiedział dobrze, że siły całego chrześcijaństwa zbierają się przeciwko niemu, że im nie podoła. Dlatego zgodził się na wszelkie warunki, jakichby nigdy inaczej duma pohańca przyjąć nie dozwoliła! Przeszła wojna, w której wy, miłośnicy panie, okryliście się taką sławą, nauczyła go, czego się ma spodziewać po drugiej wyprawie! Nieszczęsny ten pokój drogo opłacicie. Nie mówię o sobie, com się zobowiązał za was w obliczu Europy, bom wyszedł na kłamcę... wszakci Chrystusowe dzieci w oplwanych sukniach powinny się nauczyć chodzić! Znoszę to z pokorą... Żal mi większy was, bo wam palmę z rąk wydarto!

Król wdychał.

Toż samo utyskiwanie powtórzyło się w Budzie...

Dnia jednego kardynał z taką mówił gorącością, z takim przejęciem, że lży niemal młodemu panu wycisnął.

— Ojciec mój—wyrwało się z ust Władysławowi—nie krwawcie mi serca. Stało się, przysięgę złożyłem,—jest przysięga!

Cesarini ruszył ramionami.

— Przysięga niewiernym, nieprzyjaciołom Chrystusa! Podechwycona, przynaglona przez Huniadego i despotę? Co warta ta przysięga! Nic! Papież i ja rozgrzeszylibyśmy, gdyby ją złamać przyszło.

Król pobladł i drzeć zaczął.

— Ojciec mój—odparł wychowany w poszanowaniu nie tylko przysięgi, ale danego słowa młody Jagiellończyk—wy byście mnie może rozgrzeszyli, ale moje sumienie nigdy!

Na ten raz, nie popierając swojego zdania, Cesarini skrzywił się pogardliwie i zamilkł.

Wieczorem król ułamek tej rozmowy powtó-

rzył Grzegorzowi z Sanoka, który, słysząc to, zadrżał i ręce załamał.

— Królu mój—rzekł—przysięga każda jest świętą... poganom, czy wiernym dochować jej potrzeba. Kardynał jest uniesiony wielką myślą zagłady nieprzyjaciół Krzyża Chrystusowego, ale się myli. Zapał mu nie daje widzieć jasno prawdy! Na Boga! nie dajcie się zwieść z prawej drogi!

Tymczasem zaledwie król do Budy powrócił, ów tak na pozór uspokojony kardynał, który z początku utyskiwał tylko, począł już nie własne żale, ale nadchodzące zewsząd pisma i podżegania do wojny przynosić.

Pierwsze listy, które nadeszły, były od kardynała Franciszka tytułu św. Klemensa, dowódcy papieskiej floty z doniesieniem, iż okręta jego, oraz połączone z niemi statki Wenetów i Genuańczyków stały w pogotowiu do wyjścia, że mogły wprędce wyruszyć na morze, aby Turkom zaprzeczyć przeprawę do Natolii i posiłków nie dopuścić.

W listach tych, wyprawionych wprzód, nim się dowiedziano o zawarciu pokoju, naglono króla, aby wedle danego słowa, ze swej strony pośpieszał do Romanii i wojnę rozpoczynał.

Kardynał przybył do króla z pismami temi szydersko uśmiechnięty, ironiczny, i rzucając je na stół, wybuchnął już wcale innym tonem, niż wprzód.

— Ani Ojciec święty, ani rzeczypospolite, ani książę Burgundyi nie wiedzą,—zawołał—że my tu pokój zawarliśmy. Floty są gotowe. Europa na nas rachuje. Co za srom! jakie upokorzenie, jakie niebezpieczeństwo dla sprawy chrześcijaństwa, którą opuściliście!

Król słuchał przerażony.

— Pokój was wiąże, ale Europy nie obowiązuje... ona go znać nie chce. Ojciec św. poczynił

takie ofiary, kardynał Franciszek czeka, a my tu... z założonemi rękami...

— Widzieliście konieczność, mój ojcze — rzekł król.

— Widziałem nie konieczność, ale upór despoty i Huniady—odparł żywo Cesarini—a teraz widzę wiarołomstwo wasze względem papieża. Przrzekliście, ale złamaliście słowo wasze.

Król rzucił się z załamanemi rękami ku Cesariniemu.

— Możecież mi to zarzucić?—wykrzyknął.

— Zaprawdę! zaprawdę!—wołał, rozogniając się kardynał.—Papieżowi i panom chrześcijańskim daliście przyrzeczenie, słowo rycerskie, a teraz... wystawiamy je na sztych...

— Ojcze mój, litości!—odezwał się król błagając.—Widzieliście postępowanie moje,—byłem zmuszony!

— Więc cóż warta wasza przymusowa przysięga?—przerwał tryumfując kardynał.

Nie umiał Władysław odpowiedzieć na to, lecz z piersią uciśnioną, przerażony, smutny wyszedł i zamknął się w swej sypialni.

Kardynał był znowu, jak wprzód, rozgorączkowany. Nie ograniczył się na tem nawracaniu króla; zaniósł pismo kardynała do kanclerza, do panów polskich, wszędzie toż samo powtarzając i usiłując zawczasu przygotować do tego, że zawarty pokój i złożona przysięga nie miała żadnej wagi.

Przyznać należy ognistemu kardynałowi, że umiał sprawę swą popierać wymownie i przekonawająco.

Przed kanclerzem węgierskim starał się okazać, że na naród spada hańba za to przeniewierstwo.

— Króla nie obwinia — mówił. — Młodzieniaszek, niedoświadczony, mógł się wam dać uwieść i przekonać. Hańba czeka Węgrów za zdradę

Chrystusa... Na was świat cały rzuci winę i słuszenie! Wy w obliczu historii będziecie dźwigać hańbę tego zawodu. Ojciec święty wam tego nie przebaczy.

Pismo to pierwsze już poruszyło umysły... Wielu z Węgrów i niemal wszyscy Polacy szemrali przeciwko pokojowi.

Kardynał coraz głośniej dowodził, że traktat ten nie miał żadnej wagi, a przysięga króla—znaczenia. Mówił głośnie wszystkim, a coraz natręczywiej powtarzał, że gotów jest wziąć złamanie przysięgi na swe sumienie i króla uroczyście z niej rozgrzeszyć.

Zaledwie wyrzeczone słowo to doszło do Grzegorza z Sanoka, który z oburzenia i gniewu wpadł w zapamiętanie, począł równie głośnie wołać, że nikt, nawet Ojciec święty, od dobrowolnie złożonej przysięgi uwolnić nie może.

— Sam Pan Bóg—krzyknął w zapale—tego, co było spełnionem, nie może unicestwić! Co się stało, źle czy dobrze, stało się, i człowiek dźwiga następstwa. Niech Bóg uchowa, aby króla kto śmiał namawiać do złamania przysięgi! Skalać tem tego czystego, bohaterskiego pana naszego! Nigdy!

Jeszcze wrażenie po liście kardynała nie ostygło, gdy z Konstantynopola przyniesiono list błagalny od cesarza Jana Paleologa, który zaklinał króla, aby się Turkom nie dał omamić, a szedł ich zawojować teraz, gdy godzina ich zguby naznaczoną była, gdy on mógł im zadać cios śmiertelny.

Kardynał tryumfował, lice jego promieniało. Krzątał się goręcej, niż kiedy, nie poczynając od króla, ale potajemnie nalegając na znaczniejszych panów węgierskich. Dowodził on im, pojedynczo każdego z nich biorąc do siebie, że zawarty pokój był zdradą, hańbą, a zobowiązania dawniejsze, przysięgę tę czyniły nieważną.

Powaga Cesariniego, wymowa jego, listy z Rzymu i Konstantynopola, wszystko to z wolna zaczynało działać na słabe umysły i zachwiała nimi.

Rycerstwo cheiwe sławy, zagrzane tem, że papież, rzeczpospolite włoskie, książę Burgundyi, krzyżowcy angielscy i francuscy pomoc obiecywali, zaczęło głośnie utyskiwać.

Grzegorz z Sanoka sam niemal jeden pozostał ze swem niezłomnem przekonaniem, że słowa i pokoju należało dotrzymać.

Kardynał umiał sobie pozyskać młodzież, z królem Władysławem najpoufalej obcującą, dwóch z Tarnowa i Zawiszów. Młodość ich czyniła łatwemi do przekonania. Cesarini w kilka dni wmówić im potrafił, że powinni byli króla nawracać i starać się przygotować do wojny... mimo przysięgi.

O tej przysiędze wszędzie i ciągle odzywał się z taką wzgardą, ponawiając to, że brał złamanie jej na swoje sumienie, że rozgrzeszyć był gotów publicznie, iż w końcu wielka większość dworu już ją lekceważyć zaczęła.

Stracona owa wyprawa przeciwko Turkom wydawała się tak niezawodnem zwycięstwem, że żał po niej obłąkiwał umysły rycerstwa.

Pozostawał kardynałowi do zwalczenia mąż, od którego najwięcej zależało, wódz najdzielniejszy,—człęk prawy, nieskalany niczem, rycerskiego ducha, Huniady. Pokój, zawarty z Turkami, zapewniał mu Bulgaryę. On sam z despotą przyczynił się do jego zawarcia, a bez Huniady, wojna była niemożliwą. Kardynał wezwał go dla widzenia się z sobą nie do Budy, lecz do małej odosobnionej miejsciny, w której zjechać się mieli.

Wojewoda siedmiogrodzki, powołany listem, w którym nie było mowy o celu narad, przybyć obiecał. Kardynał, nie wydając się z tem, dokąd jechał i po co, zniknął z Budy.

Jakim sposobem potrafił przekonać i nawrócić wojewodę i skłonić go do zgody na złamanie traktatu zawartego, pozostało tajemnicą. Kardynał powrócił z tej wycieczki wesół, z rozjaśnionem czołem, i nazajutrz, stawiając się przed królem, począł powitanie od tych słów.

— Mógłbym miłości waszej powinszować, gdybym wiedział, że wiadomość, którą przywożę, sumienia królewskiego, zbyt surowo trzymającego się litery zobowiązań, nie oswobodzi od skrupułów. Turcy się zobowiązali w osiem dni zdać zamki. Upłynęło już dużo więcej czasu... słowo złamali, my też od dotrzymania go jesteśmy wolni!

— Turcy oddali trzy zamki—odparł król—zawiadamiając, że resztę niezwłocznie uwolnią. i załogi wyprowadzą.

— Nie rozumiem dlaczego byście miłość wasza mieli im okazywać powolność, którejby oni, zaprawdę, waszej miłości nie uczynili. Nie dotrzymali traktatów... są więc zerwane.

Król spojrzał niespokojnie dokoła, badając jakie to na innych przytomnych uczyni wrażenie, i nie odpowiedział nic. Czuł w duszy swej przy tych naleganiach ucisk wielki. Co wieczór bolał i skarżył się przed Grzegorzem z Sanoka, który z uporem niezachwianego przekonania, starał się go krzepić i umacniać, aby trwał przy swej przysiędze.

Na twarzach przytomnych nie mógł król nic wyczytać, oprócz zafrasowania. Nikt nie przeczył temu, że Turcy, ściśle biorąc, traktatu nie dotrzymali.

Kardynał nie nalegał. Chciał wszystko tak przygotować, aby na ostatku mieć tylko do przełamania skrupuły króla. Rachował na jego młodość, na swą wymowę i natarczywość.

W największej tajemnicy rozkazał Lasockiemu przygotować i spisać akt, stwierdzony najuro-

czystsza przysięgą i pieczęciami, którym zobowiązali się ci, co do niego przystępowali, nie zważając na żadne inne śluby i przyrzeczenia, iść walczyć z poganymi i w walce tej trwać do końca.

Król jeszcze o niczem nie wiedział, gdy już na wspomnionym dokumencie stały imiona i pieczęcie kanclerza państwa, Szymona Rozgona, biskupów kilku, wojewody siedmiogrodzkiego, wszystkich niemal urzędników węgierskich.

Kardynał po jednym naprzód ich pozyskiwał sobie, potem kilku zebrawszy, ich imionami resztę pociągnął.

Czas upływał; należało naostatek uderzyć na samego króla. Cesarini się przygotował do tego i do walki z Grzegorzem, o którym wiedział, iż go złamać nie potrafi. Wpływ skromnego spowiednika musiał ustąpić przed powagą ojca Kościoła.

Młodzież, będąca przy Władysławie, zwolna go oswajała z myślą tą, iż wojna mogła jeszcze przyjść do skutku. Ale król dotąd zamykał im usta przysięgą.

Starszyzna polska, rycerze dzielni, jak Jan z Rzeszowa, Paweł z Grabowa, Jan Wątróbka, Jędrzej z Sienna, Piotr z Latoszyna i inni mnodzy, już ze względu na Polskę, do której króla odciągnąć chcieli, już z poszanowania przysięgi, której świętość im Grzegorz z Sanoka codzień wpajał, stali na uboczu, i przy każdej zręczności starali się hamować zapal wojenny Władysława.

Ale jak z jednej strony to trudnem było, bo król bolał okrutnie, że uczynił zawód papieżowi i książętom, którzy mu zaufali, tak z drugiej nie mniej trudnem było złamać w nim poszanowanie ślubu, uroczyście przed ołtarzem złożonego.

W młodem sercu jego i umyśle wrzała walka straszna, która się na licu, w mowie, w życiu całem odbijała. Nie mu nie smakowało, chodził

niespokojny, modlił się prawie ze łzami... szukał pociechy i nigdzie znaleźć jej nie mógł.

Grzegorz z Sanoka z żelaznym, niezłomnym uporem, powtarzał codziennie:

— Królu, słowa i przysięgi każdy powinien dotrzymać, a kto stoi na świeczniku, ten stokroć winniejszy, gdy da zły przykład...

Z jednej strony słysząc ciągle, że przysięga nie była ważna, z drugiej, że nie jej naruszyć nie mogło, Władysław w sobie nie znajdował rozwiązania tej wątpliwości.

Tak stały sprawy królewskiego sumienia, gdy kardynał, mając już za sobą biskupów, Huniada i panów węgierskich, zjawił się u króla z licznym poczem duchowieństwa i panów, aby ostateczny szturm przypuścić.

Dziekan Lasocki, o którym mówić nie potrzebowaliśmy, na kilka dni wprzód, przysposabiał Władysława... Sam on czuł, że się coś gotowało. Duchowieństwo i panowie, nie zdradzając się, milczeli znacząco, gdy była mowa o pokoju...

Chwila obraną została tak, że mistrz Grzegorz, który się do klasztoru Franciszkanów rano udał, nie mógł przeszkodzić rozmowie.

Z kardynałem przybywali Szymon Rozgon, kanclerz państwa, Piotr, biskup czanadzki i Warzyniec palatyn... nie licząc dziekana...

Już zebranie tych osób zapowiadało, że Cesarini niósł z sobą sprawę ważną, która się rozstrzygać miała. Odgadnąć było łatwo po udziale kardynała, o co chodziło...

Król, wychodząc, zadrżał i pobladł. Przeczował, iż Cesarini zechce go skłonić do zapomnienia przysięgi, ale nie domyślał się, że towarzyszący mu już się zobowiązali nie poszanować jej...

Z wielką uroczystością i majestatem wysłańca głowy Kościoła, kardynał rozpoczął mowę. Dowodził w niej, że nie król i nie korona węgierska

łamała traktat, lecz sami Turcy go naruszyli i nie dotrzymali. Dodał, że on powagą Ojca św. rozgrzesza i rozwiązuje sumienie, że wojna stała się nieuchronną, świat cały patrzy i czeka na nią.

Naostatek zachował argument najsilniejszy i wskazując kanclerza, palatyna, biskupów, rozwinął akt przygotowany, przy którym wisiała też pieczęć Huniady...

Pozostawał jeden król, jeden Władysław, i losy chrześcijaństwa od niego zawisły... W jego rękę była cała przyszłość, jego słowo miało ją rozstrzygnąć!

Gdy to mówił kardynał, wszystkich oczy zwrócone były na króla, który stał, patrząc na kartę rozwiniętą przed sobą, na biskupów, na kardynała i wargi mu drżały, a głos nie mógł się dobyć z piersi. Zamiast słowa, dwie wielkie łzy stoczyły się na pergamin...

Milczenie długie panowało w sali. Władysław stał, rękę położył na piersi uciśnionej, zadumał się i w końcu rzekł głosem drżącym.

— Przysięgi złamać nie dopuszcza mi sumienie; ale koronę złożyć, abym nie stał na zawadzie wielkiemu dziełu, gotowym...

— A któż nam takiego, jak wy, bohatera zastąpi? — odezwał się kardynał. — Nie, bez ciebie na czele niema wyprawy...

— Huniady! — przebaknął król.

— Wódz wielki, lecz wojewoda siedmiogrodzki nie zastąpi króla Polski i Węgier! — począł gorąco Cesarini i skłonił się tak, iż niemal kolano ugiął przed królem.

Władysław schylił się szybko ku niemu... Wtem Cesarini obejrzał się na Rozgona i innych biskupów i kanclerz począł głosem trochę niepewnym powtarzać to, co wprzód kardynał tak wymownie wykladał...

W milczeniu słuchał król, nie dając znaku przeciwnieństwa, ni zgody. Kardynał, który badał

młodą tę twarz zmienioną, cierpiącą, zboląłą, czekał, ażali na niej promyk nie zabłyśnie... Widział tylko coraz potęgujący się niepokój.

Po biskupach, którzy wszyscy wtórowali Cesariniemu, odezwał się Lasocki z żywością i poufalością starego sługi, domownika, doradcy...

Ze wszystkich może mowa dziekana, który najlepiej wiedział, jak do młodego pana przemawiać należy, najsilniejsze na nim uczyniła wrażenie. Otworzy mu się usta, Władysław bronić się zaczął słowy i argumenty Grzegorza z Sanoka... Lasocki odpierał je, zasłaniając się legatem papieża, powagą Ojca św.

Obronić się temu naciskowi król nie mógł. Widocznie czuł się już złamanym, oglądając się, czy mu kto na pomoc nie przyjdzie. Ale wszyscy byli przeciwko niemu...

Zachwiany, znużony, Władysław padł na krzesło, oparł się na rękę i nie odpowiadając już nic, pozostał nieruchomym.

Ktoś inny możeby się ulitował nad stanem jego, lecz nie kardynał Cesarini, który właśnie z tego rozbrojenia i chwilowej bezsilności, musiał korzystać. Nastąpił więc na króla, aby w niepewności ich nie zostawiał...

Władysław spojrzał błagająco i nie odpowiedział nic. Cesarini milczenie wytłómaczył jako przyzwolenie.

Lasocki miał już pod datą dnia tego przygotowane pismo królewskie (d. 4 sierpnia 1444 r.), i natychmiast na głos czytać je zaczął.

Cesarini zwyciężył.

Gdy w kilka godzin potem Grzegorz z Sanoka wróciwszy z klasztoru, wszedł na podwórcę, uderzyła go zmieniona ich fizygnomia. Młodzież z okrzykami i weselem dawno tu niewidzianem, biegła jakby już się przysposabiając do jakiejś wyprawy...

Amor z Tarnowa zastąpił mu drogę, podnosząc rękę do góry.

— Mistrzu!—zawołał,—dobra nowina! Idziemy na Turka! Wojna ogłoszona.

— Śni ci się?—odparł mistrz.

Wtem przybiegł Gratus.

— Nie wiecie więc? Król i wszyscy panowie przyłożyli pieczęcie do aktu, ogłaszającego wojnę. Idziemy na pogan!

Nie wierząc uszom swym, mistrz pobiegł wprost do króla.

Była to chwila właśnie, gdy Władysław po kilkogodzinnej walce powróciwszy do sypialni, jakby chciał Boga o przebaczenie prosić za to, że uległ wywartemu nad sobą gwałtowi, padł przy klęczniku przed krucyfiksem na modlitwę, złożone ręce trzymał po nad głową...

Zastał go tak Grzegorz z Sanoka... i litość wielka serce mu przejęła. Uczuł, że jeżeli była wina czyja, nie spadała ona na króla. Nie rzekł więc ani słowa, nie uczynił wymówki; ukląkł z nim na modlitwę, a z wezbranej piersi wyrwało mu się łkanie i oczy zalały łzami...

XI.

Dnia dziewiątego listopada, w wigilię św. Marcina, wszystkie siły, towarzyszące królowi Władysławowi w wyprawie przeciw Turkom, stały już na równinie pod Warną...

Pochód aż dotąd nazwać było można szczególnym i zwycięskim, równie jak zuchwałym; jednakże wpatrzwszy się w zgromadzonych około namiotu młodych Zawiszów, polskich rycerzy, którzy tu oddzieliwszy się od tłumu, osobną gromadką

stali, gwarząc po cichu, trudno było dojrzeć na twarzach ich zapału tego, ochoty i ożywienia, które za sobą przynosi zwycięstwo.

Wieczór nadchodził powoli; chwilami od morza zrywał się wicher gwałtowny, rozdasany, przełatywał nagle po równinie nader błotnistej i biegł gdzieś skryć się w wąwozach gór.

Następowała potem cisza grobowa, przerywana tylko jakimś szumem i mruczeniem jednostajnem, przychodzącem od morza.

W prawo na niebiosach jaśniejszych czerniały baszty i nieforemne wieże zamku w Warnie. Horyzont dalej jeszcze opasywały sine góry, na których tle gorzały łuny, rozproszone od tureckich obozowisk, które się rozkładały tuż blisko. Wszystkim oczy zwracały się niespokojnie ku tym światłom czerwonym.

Blżej, jak dojrzeć, widać było porozkładane ognie polskich, węgierskich i posiłkowych rót, wśród taborów, które je zasłaniały w części.

Wieczór był chłodny, na niebiosach rozbite chmury czarne pędziły, to się skupiając, to się rozpraszając ku górom.

Z tyłu po za obozem królewskim i w prawo błyszczały, odbijając płowe niebios jasności, limany i błota nadmorskie. Gdzieniegdzie z poza niskich namiotów gromadami podnosiły się głowy wielbłądów, które od koni oddzielać musiano. Słychać było gwar żołnierstwa to głośniejszy, to cichszy, głuszony rżeniem koni.

W głosie zwierząt w tej chwili było coś jakby rozpaczliwe wołanie o ratunek, niepokój i trwogę. Słuchając, żołnierzy przechodziły mimowolnie dreszcze; żegnali się nieznacznie.

Stojąca przy namiocie gromadka gwarzyła, ale głosy i twarze były smutne, mowa nie rażna. Wzrok biegł ku tureckim ogniskom. Wszyscy mówili zwolna, zadumani, cicho, jakby nie chcieli, by ich podsłuchano.

Nieopodal przy namiocie królewskim wielka nadworna chorągiew to szeleściła wiatrem rozdymana, to opadała na drzewce.

Oprócz dwóch młodych Zawiszów, synów Czarnego, którzy szli na poganach pomścić bohaterską śmierć ojca, stali w skupionej gromadce: Wątróbka, Jędrzej z Sienna, Piotr z Latoszyna, a tuż przy wozie, wyprężonym i zatoczonym pod opiekę namiotu, który go od wiatru osłaniał, obok rannego w jednej z dawnych potyczek Jana z Rzeszowa, stał ze smutnie zwieszoną głową Grzegorz z Sanoka.

Starszy z Zawiszów, piękny nad podziw, rycerskiej postawy mężczyzna, ze wszystkich zgromadzonych miał najweselsze oblicze i drugim ducha, a buty dodawał. Wszyscy wydawali się znuczeni.

W jednej z chwil, gdy wiatr ustał i cisza zaległa nad obozem, na szarych niebiosach ukazało się czarne stado jakiegoś ptactwa i powoli ciągnąć poczęło nad obozem.

Grzegorz z Sanoka podniósł głowę i po krakaniu, które dochodziło uszu, poznał złowrogie stado kruków. Dostrzegł je i ranny leżący na wozie, Jan z Rzeszowa.

— Ho! ho! — odezwał się — przemyślne ptactwo wcześniej na jutrzejsze pośpiesza pobojuwisko. Zła wróżba!

— Nie wiadomo dla kogo — przerwał zdala Zawisza wesoło.

Zamilkli.

— Rzymianie — szepnął Grzegorz z Sanoka — z prawej strony lecących kruków nie lubili, ale ktoby w to wierzył!

— To pewna — przerwał Wątróbka — że jutro, w dzień rycerskiego św. Marcina, przyjdzie się z ichmością Turkami rozprawić stanowczo. Z języka pochwytanego wiedzieliśmy, że dążą za nami krok w krok, a oto ich mamy na karku.

— Im prędzej, tem lepiej — dodał Jędrzej z Sienna. — Co ma być, niech się dokona. Wojsko niezgorzej położone u twierdzy i moczarów, a różnina do boju dogodna. Byleby Bóg pobłogosławił!

Znowu jakiś czas milczano.

— Gdybyśmy zawodu nie doznali od tych wszystkich, w piękne słówka zamożnych panów chrześcijańskich, którzy tyle obiecywali, a nie dotrzymywali nic, gdyby nadciągnęły posiłki, gdyby...

— Tak, gdyby — przerwał gwałtownie Grzegorz z Sanoka — na tem «gdyby» wszystko się opiera. Gdyby owa flota Genuńczyków i Wenetów, co to na straży stać miała, aby Turków nie puszczać, sama ich po sztuce złota od głowy nie przewoziła!

— Nie może to być! — zaprzeczył Zawisza.

— Jak nie może! — odparł Grzegorz. — Wszakże szpiegi nasze, co na to patrzali, pod przysięgą zeznali.

— Od Orszowej nam dobrze szło — dodał z wozu, podnosząc się i na łokciu opierając, Jan z Rzeszowa. — Mieliliśmy iść wprost na Adryanopol i tam z flotą i posiłkami się połączyć, a no, zamalo nas było, aby się tak ważyć. A dlaczego zamało, niech odpowie...

— Kardynał Cesarini! — namiętnie dorzucił Grzegorz.

— Co tu na kardynała zrzucać winę — sprzeciwił się Zawisza. — Nie on winien, ale ci, co go wysłali, a którym zawierzył. Idzie sam z nami, nie jak kapłan, ale jak żołnierz, i losy nasze dzieli...

— A nie obrachował, na jakie nas naraził — niechętnie mruknął mistrz.

— Wy bo go nie lubicie! — rzekł Zawisza.

— Ani się z tem taję, że mu za złe mam, iż króla pchnął, gdzie być nie powinien. Tego mu przebaczyć nie mogę — rzekł Grzegorz.

— Zamku żadnego bez dział po drodze zdo-

bywać nie mogliśmy — odezwał się Wątróbka — a i to złe, bo w nich załogi tureckie się gnieżdżą i poza nami zostają.

— A czemu je brać było? — odezwał się Wątróbka. — Działek mamy ino dwoje i to małych, kule do nich garścią sypią, murów niemi nie mogą złamać!

— Działami się na prędko pochód trudno było obciążać — dodał Zawisza.

Grzegorz z Sanoka stał zadumany.

— Najrozumniej było — odezwał się — gdyśmy widzieli, że siła zamała a posiłki nie pewne, do Nikopolis zawrócić.

Byłem przy królu, gdy Drakuła przyjechał. Popatrzał tylko na nasz obóz, a potem na młodszego pana i do nóg mu przypadał, prosząc, aby powracał i nie ważył się dalej. Zna on siły Turków dobrze.

— Z czem wy ciagniecie? — mówił. — Sultán, jadąc na łowy, więcej z sobą ludzi bierze.

Lży miał prawie na oczach, gdy to mówił, syna królowi chciał dać, ludzi, konie, aby na wszelki wypadek ratować się mógł. Król i kardynał podziękowali, ale rady nie posłuchali! Daj Boże, byśmy nie żalowali tego...

Wszystkiego razem mamy z piętnaście tysięcy ludzi z Wołoszą, a dwa tysiące wozów, dla których się wlec potrzeba, bo rycerstwo wygodę i przepych lubi!

— Mistrzu — gwałtownie zakrzyknął Zawisza — już i na nas poczynacie sarkać? A godzi się to? Niesiemy życie ochotnie.

— To też mi żal, aby ofiara marną nie była! — dokończył Grzegorz i zamilkł.

Czas jakiś podumawszy, Wątróbka wtrącił:

— Przecież nie darmośmy już szli, gdy Szumen i Petrecz zdobyliśmy po drodze.

— No i Warna się poddała — wtrącił Piotr

z Latoszyna—ale to wszystko na nic, jeśli ich jutro nie pokonamy.

— Król jest pełen najlepszych nadziei—począł Zawisza.—Bieda tylko, że mu od siodła wrzód na nodzeabrał, i na koń ciężko wsiąść będzie; przy Bożej pomocy jednak zważyć na to nie myśli.

Rozmowa wlokła się tak przerywana, a noc nadchodziła. Wśród ciemności widać było tylko ognie oddalone i bliższe, rozsypane na czarnej przestrzeni. Niebo się wypogadzało, wiatr ustawał.

Kupka z pod namiotu powoli się rozchodzić zaczęła. Pozostał tylko przy rannym, jak przykuty tęsknicą, Grzegorz z Sanoka.

— Niewypowiedziany ból czuję w sercu — rzekł cicho, — gdy na naszego młodego pana patrzę, niewinnego baranka, wydanego na ofiarę tej dziczy, za dobroć swą i wielkie serce. Nie mogę się złym przeczuciom obronić!

— Ale! Zasię! — żywo odparł ranny. — Ja znowu tak wielkiego niebezpieczeństwa nie widzę. Jest nas niewielu może na te tłumy niesforne pogańskiej hłasty, ale z naszych każdy zbrojny dobrze i stanie za kilku. Byliśmy ich w pierwszym starciu złamali!

— Tak, i nie zapędzili się za uciekającymi umyślnie, bo to ich sztuka — rzekł mistrz; — u nas serce gorące, ochota wielka i w boju człek pamięć traci.

— Ale czas do namiotu — zawarł Grzegorz, podając rękę rannemu. — Okryjcie się ciepło i śpijcie, jeśli możecie.

W namiocie królewskim świeciło się jeszcze. Mistrz wszedł do niego. Król z wyciągniętą nogą bolącą siedział, ale twarz miał wesołą. Kardynał odpoczywał obok niego; czoło miał zasępione.

— Nie cierpię — mówił — tych puhać, co wszędzie ze złą wróżbą przelatują i psują najmężniejsze serca. Cóż z tego, że Turcy się okazali

już przed nami? Śledzą ruchy nasze, ale pierwsi na nas napaść się nie ważą.

— A my jutro, mając ich tak blisko, mogliśmy wycierpieć? — począł król. — Czas się bić w polu... żołnierz pochodem więcej się nuży, niż w boju.

— Z ogniów miarkując — wmieszał się przybyły Grzegorz — siłę mieć muszą znaczną.

— Łuźnie idą i obozują, zawsze szeroko się rozkładając — dodał Cesarini i wstał z siedzenia. — Zobaczemy, co jutro pokaże.

Dzień następny wstał piękny i pogodny. O brzasku kardynał odprawił Mszę świętą. Powietrze było uspokojone, słońce wschodziło jasne.

W obozie jakby się do potyczki nie przygotowywano, ruch się zwykły rozpoczął. Dowódcy jednak objeżdżali tabor i oddziały. Kazano przywdziewać zbroje i konie gotować, gdy na skraju obozu od gór krzyki słyszeć się dały.

Czeladź nadbiegła, wołając.

— Turcy idą... już, już następują!

Król natychmiast wyskoczył z namiotu, o nodze nabrzmiałej zapomniawszy i dosiadł konia.

Huniady już na przedzie w lewo swoich szykował.

Ze wszech stron wołano:

— Na koń! na koń!

Wtem przypadł Wątróbka, pytając króla, czy taborem wozów każe wojsko otoczyć.

— Tabor nas uwiezi i zamknie! — począł król, już jadąc naprzód — niech wozy z tyłu zostaną! Ludzie, za wozami się nie kryjąc, lepiej walczyć będą. Naprzód, naprzód!

Zachwiał się, mówiąc to Władysław, taki ból uczuł w nodze, i Gratus z Tarnowa za rękę go pochwycił, aby nie padł. Ale natychmiast dźwignął się, chwilowe przemógłszy cierpienie, i chciał jechać, gdy go drudzy powstrzymali.

Huniady dopadł na koniu i zobaczywszy

Władysława, mocującego się z bólem, poczał wołać, że sam uszykuje wojsko, a król z oddziałem swych nieodstępnych pięciuset miał stanąć w pośrodku, między szykami a taborzem.

W tej chwili ziemia tętnić zaczęła i pułki na skinienie Huniady ustawiły się w półksiężyc.

W lewo ponad Dziewińskim jeziorem zabrano miejsce pięć chorągwi węgierskiego rycerstwa, którym sam Huniady miał dowodzić. W pośrodku zostawiono miejsce dla króla z jego orszakiem, który właśnie się zbierał, wdziawszy swe najpiękniejsze zbroje i najwspanialsze szaty, bo dla wojska bój, to święto uroczyste i musi się do niego przybrać, jak na ślub, lub do trumny.

W prawo za chorągwią króla uszykowały się posiłki wołoskie, za niemi czarna węgierska chorągiew, pułk Szymona z Rozgonu, biskupa Jagierskiego, ban Sławonii ze swymi, rota kościelna Cesarinięgo, a na prawo w step chorągiew św. Władysława z biskupem Waradynu.

Z tyłu ustawiły się tabory, które zaprzęgano, aby za wojskiem mogły podążać.

Czasu do uszykowania się było dość, bo ów zapowiedziany nieprzyjaciół ukazał się dopiero, gdy słońce już się ku zachodowi miało.

Dotąd cisza była w powietrzu wielka i niebo pogodne, a czyste. Król już stał w miejscu swem, otoczony młodzieżą, gdy nagle z zachodu wicher, jak piorun silny, uderzył na szyki i wszystkie chorągwie, które ponad niemi stały podniesione wysoko, poszarpał i przygniótł do ziemi. Żaden z tych, co je trzymali, nie zdołał się oprzeć sile tego huraganu.

Jedna tylko chorągiew św. Jerzego przy królu, około której Zawiszowie stali, wytrwała, choć poszarpana.

W dolinie suchego krzewia i karłowatych drzewin dość było. Z poza nich naprzód Turcy skryci ukazywać się zaczęli, a na ich czele, z ogrom-

nemi tarczami i kuszami, najdzielniejszy hufiec pieszych janczarów.

Na prawem skrzydle przy chorągwi św. Władysława rozpoczął się pierwszy bój z wrzaskiem i piskiem dziecy, która nim sobie ducha dodawać zwykła. Były to właśnie najsłabsze pułki biskupie i przy nich papieski żołnierz kardynała, który nie wytrzymał gwałtownego natarcia.

Wszystka ta gromada, gdy raz popłoch między nią popadł, rzuciła się, biegnąc w stronę Galaty, między cieśniną morską, jeziorem i górami ku Rumelii.

Naprawdę dowodzący powstrzymać ich usiłovali. Część Turków, rzucając za zbiegłymi dziury i oszczepy, puściła się w pogoń na zarośla i góry. Wołosza też, w pobliżu postawiona, samą się ujrząwszy, uszła z placu i rozbiegła się na wsze strony bezładnie.

Cudem prawie chorągiew św. Władysława utrzymała się z garścią mężniejszych, ku której w paręset koni pobiegli na pomoc kardynał Julian i ban. Bitwa się tu cała skupiła. Część Turków ścigała uchodzących, inni gwałtownie na chorągiew napadli, ale tu znaleźli rozpaczliwy opór.

Gdy się to działo, król stał jeszcze chwilę w pośrodku, w tej nadziei, że po pierwszym starciu bój może się odmiennem szczęściem obrócić, lecz niecierpliwość jego i zapal zaledwie otaczający pohamować mogli. Starszyna zaklinała, aby się zachował na chwilę stanowczą.

Nie było jednak sposobu wstrzymać go już; gdy zobaczył chorągiew św. Władysława osaczoną, spiął konia i na oślep rzucił się w tę gęszcz walczących, a za nimi wierni jego towarzysze.

Grzegorz z Sanoka, który wraz z innymi duchownymi i dworem stał przy taborze na przedzie, ujrzał złoisty hełm jego poruszający się zdala i jak grom spadający na pohańców.

Hufiec królewski z taką gwałtownością padł

na karki Turkom i taką w nich rzeź sprawił, że zastępy ich zachwiały się, ugięły i pierzchać poczęły.

Króla widać było ścigającego ich daleko, wśród tej błyszczącej kohorty młodzieży, która z podniesionymi mieczami leciała za nim. Z tyłu pozostała chorągiew św. Władysława, której król w pomoc chciał śpieszyć, zawsze jeszcze przez gromadę Turków obłożoną.

Zwrócił się więc na jej obronę i tu jeszcze mistrz widział go zwycięzcą. Ale z gór i krzaków płynęły coraz nowe tłumy pohanów, pole już nimi było usłane, nawała nowa cisnęła się na pobojuwisko.

Swoi i nieprzyjaciele zmieszali się w gąszcz wściekłą, wśród której stada wielbłądów, konie dzikie, ludzie i trupy zbliżali się w kupy walczące, bo i ci, co leżeli obalenii da ziemię, koniom podryzali nogi, jeźdźców chwyтали za strzemiona.

Wśród wrzasku, ryku i wrzenia, chrzęstu broni, świstu strzał, już ani głosu dowódców, ani nawoływania swoich nikt nie mógł dosłyszeć.

Król, który zwycięsko dotąd walcząc, ploszył przed sobą, co żyło i kładł trupem, znalazł się nagle wśród zastępów pieszych janczarów, wielkimi tarczami, jak murem, osłoniętych, wśród gradu strzał i bełtów, które nawet zbroje żelazne przebiwały.

Sypano niemi z poblizkich wzgórzów, z krzaków nieustannie.

Grzegorz z Sanoka, który dla lepszego widzenia wdrapał się na wóz, wysoko naładowany, ujrzał króla jeszcze przerzynającego się przez te gąszcze i tłumy, ale z rycerstwa jego coraz ktoś słaniał się i ubywał.

Złocene hełmy padały i znikaly. Przez jedną krótką chwilę zdawało się, iż spodziewać się było można zwycięstwa. Grzegorz obie ręce podniósł do góry. Wtem pułki, które króla popierać były

powinny, zachwiały się w miejscu i rozsypały, jak bicz paciorków, gdy nie, trzymająca go pęknie.

Huniady szedł jeszcze za królem.

Mistrz przerażony zamknął oczy, a gdy je otworzył, w dali nie zobaczył już nic oprócz gęstego tłumu janczarów i Turków, rozbiegających się w pogoń na wszystkie strony.

W taborze zadrżało wszystko, ludzie stracili przytomność. Niektórzy chwyтали konie i dosiadłszy je, jak szaleni puszczali się, nie patrząc, gdzie biegli, oślep wrogowi pod miecze.

Grzegorz z Sanoka stracił też przytomność; nogi ugięły się pod nim, w oczach zaćmiło; w piersi zabrakło oddechu.

Orzeźwiła go rzucona na twarz woda i wołanie pacholka królewskiego, który mu do konia służył; lecz Grzegorz ani go zrozumieć, ani posłuchać nie mógł. Jak dziecko dał się pochwycić, na koń rzucić i pociągnąć, sam już nie wiedział dokąd.

Słyszał tylko wrzask bojowy po za sobą, do koła w powietrzu świst strzał, jęki konających... potem głuche wrzenie i szum, potem wiatr szleszczący w gałęziach drzew.

Gdy do przytomności przyszedł, leżał na ziemi wśród zarośli, a nad nim wierny Petrek okrwawiony klęczał i w dłoniach przyniesioną poił go wodą.

Noc nadeszła... a z nią po wrzawie bitwy, po szalonej ucieczce, którą Petrek, trzymając osłabłego na koniu, kierował, ciemności i cisza, zdająca się spoczynkiem grobu; Grzegorz usnął, sądząc, że z boleści dusznej na zawsze zamknie powieki.

Obudził go chłód poranka i Petrek, stojący nad nim z końmi, a naglący do dalszej ku Dunajowi ucieczki. Posłuszny mu mistrz wstał i pod-

dał się jego wodzy. Stracił rachubę czasu, osłabił i życia już nie pragnął.

.

— Nad Dunajem jesteście! Bóg nas ocalił! — zawołał Petrek, który do leżącego na ziemi Grzegorza przybiegł, przynosząc mu kawał chleba, gdzieś wyżebrany, lub wydarty.

Po długim głodzie chleb ten suchy wydał się najrozkoszniejszym jadem. Grzegorz odzyskał powoli zmysły. Leżeli wśród mokrych zarośli, nieopodal słychać było szum rzeki.

Mistrz także usiłował się podnieść.

— To głos ludzki! — zawołał — w pomoc iść trzeba...

Przerażony pacholek napróżno starał się go wstrzymać, aby na niebezpieczeństwo się nie narażał i nie zdradził. Coraz wyraźniej dochodzące jęki nie dały wytrwać Grzegorzowi, który odepchnawszy Petrka, puścił się chwiejnym krokiem w zarośla ku rzece.

Ciągle powtarzające się coraz słabnącym głosem jęki doprowadziły go ku sobie. Rozpostarliszy gęste gałęzie, Grzegorz spojrzał i stanął osłupiały.

W krwawej kałuży leżał człowiek w poszarpanej i podartej odzieży, na pół obnażony, ranny, drgając ostatnimi życia wysiłkami.

Twarz w części zaschłą krwią okryta, nie dozwalała rozpoznać rysów.

Grzegorz przybliżył się ostrożnie, pokłakł i schyliwszy się nad nieszczęśliwym, krzyknął z podziwu i przerażenia. Poznał w konającym kardynała Cesariniego.

Umierający otworzył oczy, spojrzał i dłoń wyciągnął ku niemu, ale ta bezsilna opadła *).

*) Scena ta w życiu Grzegorza z Sanoka przez Kallimacha.
P. A.

— Tyżes to? — zawołał, ręce załamując Grzegorz.

Słabym, ledwie dosłyszalnym głosem Cesarini zamruczał:

— Jam jest, ratuj mnie... Z Huniady zjechaliśmy się po bitwie... Siedziałem w łódce, aby się przeprawić przez Dunaj. Przewoźnik... złoto moje... wiosłem mnie ubił i wrzucił do wody...

Nie miał już siły mówić.

Grzegorz począł w głos modlitwę nad konającymi, którą Cesarini, poruszając ustami, zdawał się powtarzać.

— Niech ci Bóg przebaczy — dodał w końcu — boś ty był sprawcą wszystkich nieszczęść naszych, a jeżeli król nasz, bohater ten, padł ofiarą... a! niema dla ciebie przebaczenia... Tyś go zabił!

Z piersi kardynała wyrwał się słaby okrzyk, jęk raczej i z nim ostatnie wyszło tchnienie.

* * *

Straszne to były dni, gdy jedni po drugich do Budy przybywać zaczęli z placu boju, niedobitki nieszczęśliwe, którym życie prawie miłem nie było, z taką boleścią nieśli z sobą wspomnienie okropnej klęski...

Każdy przynosił jakąś wieść, baśń, pogłoskę, nikt nie umiał powiedzieć, ani co się stało z królem, ani z tymi rycerzami, którzy razem z nim znikli.

Guzegorz z Sanoka leżał, chorobą powalony, zniechęcony do życia, nie śmiejąc pomyśleć o powrocie do Polski, bo cóż tam miał odpowiedzieć biednej matce, któraby go spytała:

— Coś uczynił z synem moim?

Przez długi czas i na Węgrzech i w Polsce ludzono się jakąś dziwną nadzieją, że królowi udało się ująć i życie ocalić, że powróci.

Znajdowali się ludzie, którzy mówili, że go tam, lub indziej widziano. Nierychło potem przyszła wiadomość od Turków, że głowę męczennika za wiarę, ściętą na placu boju, w tryumfie rzucono pod nogi Amuratowi.

Ze świetnego tego pocztu młodzieży polskiej, która go nie odstępowała, nikt nie pozostał. Zginęli Amor i Gratus z Tarnowa, Marcin i Stanisław z Rożnowa, dwóch synów Zawiszy Czarne go i wielu a wielu innych.

Z wziętych do niewoli rannych Polaków dwunastu najpiękniejszych, najurodziwszych, najdzielniejszych sultan kazał wybrać, aby ich zmusić groźbą śmierci do zaparcia się Chrystusa.

Mężni młodzieńcy wiedzieli, jaki ich los czekał. Sprzysięgli się więc napaść na Amurata i śmierć mu zadać, a w popłochu starać się zbiedz z Adryanopola.

Razem z nimi zamkniętemu w więzieniu młodemu Bulgarowi zwierzyli tę tajemnicę, a ten, siebie ocalając, zdradził ich.

Czekała ich śmierć.

Zaparli się wszyscy w więzieniu i mężnie samobójstwem bohaterskiem żywot rycerski zamknęli. Taką naówczas młodzież miała Polska!

Grzegorz z Sanoka nierychło zebrał się na odwagę powrócenia do kraju. Naostatek tęsknota za nim, dawni towarzysze i przyjaciele skłonili go, aby opuścił Węgry i przybył znowu do Krakowa.

Pierwsza część żywota jego była dokonana; czekała go tu wkrótce archikatedra lwowska, której resztę dni miał poświęcić.

Mąż wielkiego umysłu, nauki rzadkiej na owe czasy, samoistności sądu nadzwyczajnej, pozostawił po sobie pamięć jednego z najznakomitszych ludzi tej epoki.

Pamięć Warneńczyka, bohatera, który, niedoszedszy lat dwudziestu, zjednał sobie imię nie-

śmiertelne rycerskiem poświęceniem za wiarę, uczcił pierwszy i największy z poetów polskich wierszem, którym my to wspomnienie starych dziejów zakończymy:

We krwi nieprzyjacielskiej upadł zmordowany
Wpółśród ziemi tureckiej, jego poświęcone
Kości nie są w ojczystym grobie położone...
Grób jego jest Europa, Stup—śnieżne Bałkany,
Napis: wieczna pamiątka między chrześcijany!

Drezno, 1882.

KONIEC.

MUZEUM
JIK
ROMANOWIE
284

